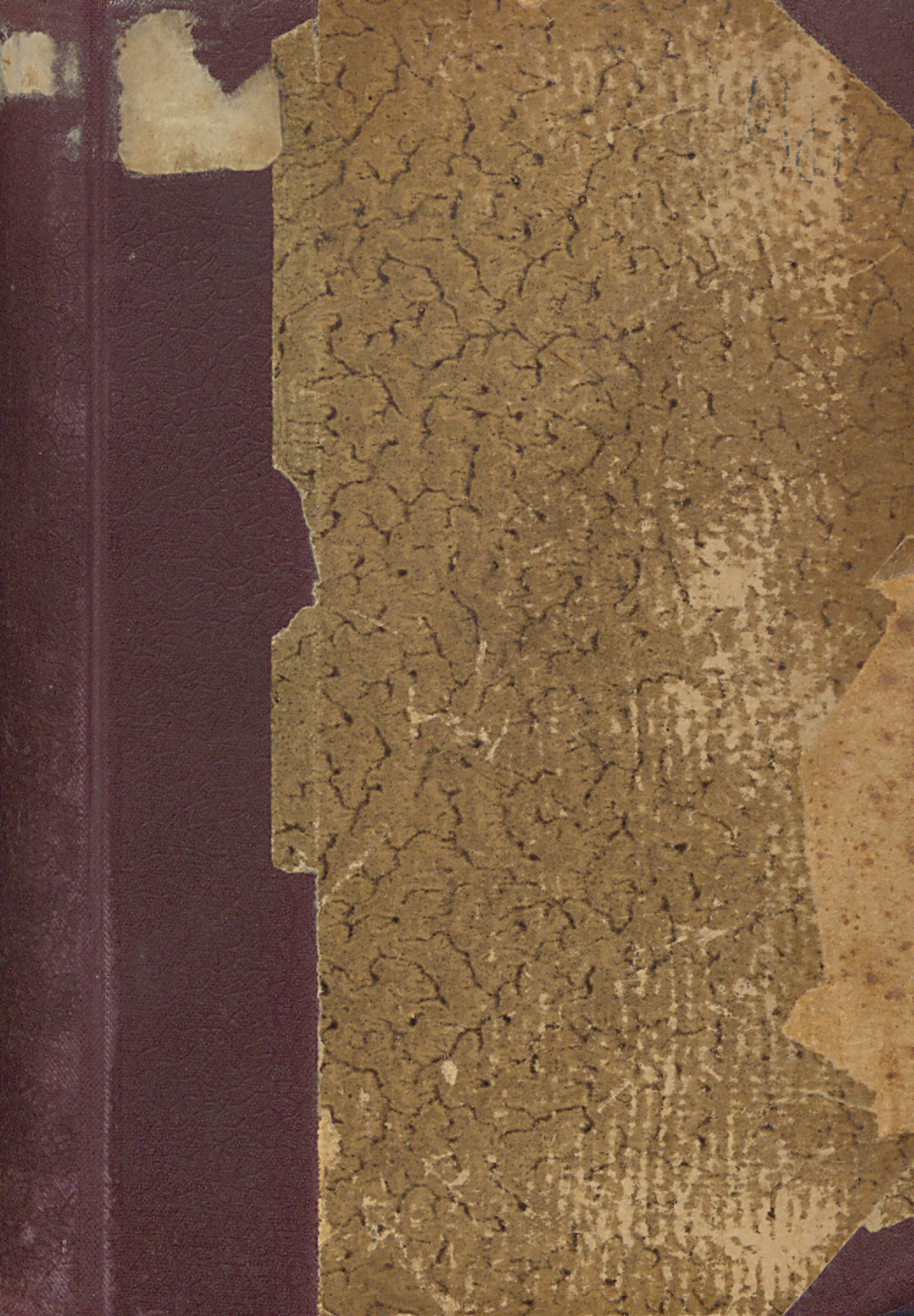




12/8-10

37 X 1.1.19

N^o Inb. TX - 70

Nr Inw. gl.	Nr Inw.	Dział
1523	187	U

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNEJ EPOKI.

TOM PIERWSZY.

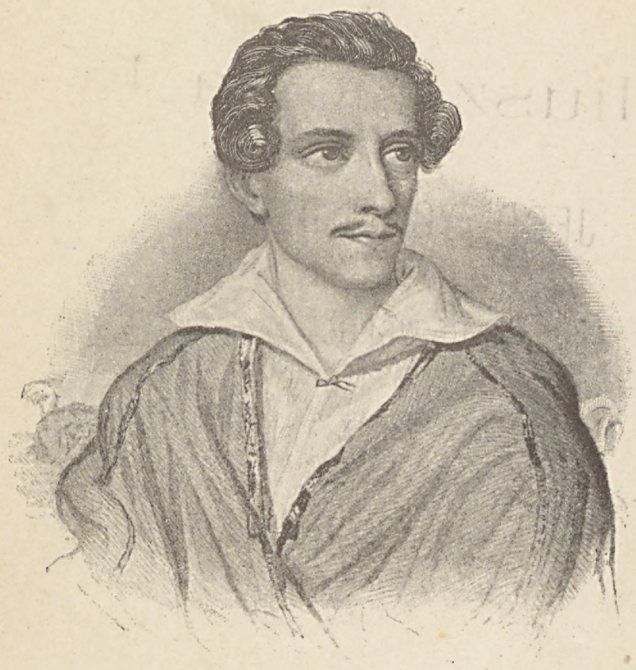
BIBLIOTEKA
dla uczniów
CK. VII GIMNAZJUM
w Lwowie.



WYDAWNICTWA I KOMISA
KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
WE LWOWIE.

Borkowski Sewer Jerzy hr. Dunin. Spis nazwisk szlachty polskiej, 8vo, Lwow, 1887, str. 611	6 —
Bronikowski Jan III. Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII. w. 2 tomy	4 20
Dzieduszycki W. Historia malarstwa we Włoszech, z 20 rycinami	5 80
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński. Przyczynek do biografii i charakterystyki	— 60
— Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny	— 40
Hirschberg A. Dr. Dymitr Samozwaniec. Opowiadanie historyczne	4 20
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne, Serya VII.: Zbrodnia kamieniecka; Beatrice; Zakładnicy lwowscy; Fatyma; Babka; Spuścizna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich	3 20
— Nowe opowiadania historyczne: 1. Pod krzyżem. 2. Losy kresowego miasteczka. 3. Wartabiet. 4. Zemsta kozacza. 5. Porwanie króla	3 —
Jodko Antoni Narkiewicz. Szkic historyczny umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości od zawiązku społeczeństwa do początków sztuki chrześcijańskiej, przeszło 600 ilustracyj. 3 tomy	13 —
Jokay Maurycy. Bjelica Liwoczańska. Powieść historyczna z węgierskiego. 2 tomy	3 20
— Złote czasy Siedmiogrodu. Powieść 2 tomy	3 40
— Od Wisły do Gangesu. Powieść	3 20
Kitowicz A. X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. 2 tomy. Wyd. z przedmową Wład. Zawadzkiego	3 60
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński, 2 tomy	7 60
Lemcke Dr. K. Estetyka. Wydanie trzecie znacznie uzupełnione tłum. p. B. Zawadzkiego z 67 rycinami w tekście	6 —
Lityński Michał. Syceylia. Szkice z podróży r. 1896	1 —
Łozliński Wład. Nowe opowiadania p'ana Wita Narwoja	3 —
— Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie, z 107 rycinami. Wydanie drugie	10 —
Małecki A. Dr. Studya heraldyczne, 2 tomy	6 —
— Grochowy wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem, Komedia, wydanie drugie, 1897	1 30
— Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki. 3 tomy, trzecie popr. i pomn. wyd.	5 40
Pamiętniki Jana Ch. Paska. Nowe wydanie krytyczne według rękopisu z biblioteki Cesarskiej w Petersburgu, przygotował i wstępem opatrzył Dr. Bron. Gubrynowicz	2 50
Rehman Ant. Dr. Echa z południowej Afryki. (I. Szkic z podróży po Natalu i Transwallu)	2 60
Rolle M. Z przeszłości. Okręg Rawski — Starostwo Barskie do r. 1779	2 60
Sapieha Xłazę Paweł. Podróż. Wschód Azji. Japonia. Chiny. Z ilustracyami w tekście	5 —
Sas Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie z lat ubiegłych, 2 tomy	3 80
Sass. Pamiętnik znaleziony. Opowiadania historyczne	2 60
Wilczyński Alb. Nowe fotografie społeczne, zebrane przez autora „Kłopotów starego komendanta“. 2 tomy	3 60

złr. et.



ROKU 1809, MIESIĄCA 8, DNIA 23, W KRZEMIENCU, URODZONY. ZMARŁY W PARYŻU 1849. ROKU, 4 MIESIĄCA, 3-DNIA.

CZTERDZIEŚCI LAT CZASU NA ZIEMI.

OSIEMNAŚCIE HISTORYCZNEGO ŻYCIA PO ZA KRAJEM

NOCJEDNĄ PRZY GROBIE CHRYSZTUSA W JERUZALEM, PRZEPĘDZU.

DZIEŁ DOKONAŁ.

BOGA PODZICO (1830). POEZIE TOMÓW III. KORDIAN. ANIELKI. POEMA O PIEKLE, TRZY POEMATY.

BALLADYNA MAŁEFA. LILLA WENEDA. BENIOWSKI. KS. MAREK. SEN SREBRNY. I KRÓL. DUCH.

O. 'jaka spłynie z przepowiedni...
Juliusz Słowacki

Małecku Antoni

15

Juliusz Słowacki

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STOSUNKU DO WSPÓŁCZESNEJ EPOKI

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO

TOM PIERWSZY

Trzecie poprawne i pomnożone wydanie

L. 962.

BIBLIOTEKA
dla uczniów
CK.VII.GIMNAZJUM
we LWOWIE.

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

1901

Czytelnia



sygn. 884 (091) Romantyzm

47924

884(091): 929 (432) A2

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 47924



BGZs 47924

PRZEDMOWA

do trzeciego wydania.

Dwadzieścia lat minęło od chwili, kiedy książka nie-
niejsza ukazała się w drugim wydaniu. Od tego czasu
prace badawcze nad życiem i dziełami Słowackiego nie
ustawały i przynosiły rokrocznie bądź to nowe szczegóły
biograficzne, bądź też ciekawe wyniki dalszych badań kry-
tyczno-porównawczych. Wyszło i osobne, obszerne dzieło,
w którym życie poety z wyczerpującą drobiazgowością zo-
stało opracowane. Mimo to monografia Małeckiego cieszyła
się nie słabnącą z latami poczytnością i dwukrotny jej
nakład od dawna w zupełności jest rozprzedany. Ten stan
rzeczy był powodem, iż Wydawcy powzięli myśl skłonić
Autora do ponownego ogłoszenia książki. Otrzymali jednak
odpowiedź, że w wydaniu, jakiego żądają, musiałby być grun-
townie i skrupulatnie spożytkowany cały, tak dotyczący
życia poety, jak i krytyki dzieł jego materiał, który po
roku 1880 w takiej obfitości się ukazał. Wracać zaś do
rzeczy, która go w tak odległej przeszłości zatrudniała,
Autor obecnie nie ma ani chęci ani czasu, będąc zajęty
innymi poszukiwaniami. Nie mając jednak nic przeciw
temu, żeby uskuteczniło nowe wydanie, bez zmiany da-
wniejszych edycji, w jakikolwiek inny sposób naznaczające

postęp prac dalszych nad tym przedmiotem, powierzył profesor Małecki tę pracę podpisanemu, który im więcej uczuł się zaszczycony tem poleceniem, tem bardziej pragnął należeć do zaufania uczynić zadość.

Zdawało mi się, że odpowiem celowi, jeżeli przeprowadzę rzecz tak, ażeby do niezmienionego tekstu pierwotnych wydań poddawać w miejscach odnośnych szereg not, poniżej tekstu poumieszczanych, streszczający to wszystko, przez co w ostatnich dwudziestu latach wiadomości o Słowackim zostały zbogacone. Przy takiej formie, dzieło samo pozostaje w układzie, jakim było dotąd, a staje się uzupełnione informacjami, w których czy to badacz, czy też ciekawy czytelnik znajdzie uwidoczniony cały dzisiejszy naukowy dorobek, dotyczący Słowackiego. Jedynie same drobiazgi i bezwartościowe próby krytyczne pomijałem milczeniem. W dodatkach do domu trzeciego podałem z nowo odkrytych materiałów do biografii poety wyjątki z listów jego matki do A. E. Odyńca i listy Juliusza do pani Joanny Bobrowej.

Nakoniec z przyjemnością składał serdeczne podziękowanie p. Władysławowi Bełzie i p. Juliuszowi Birkenmaierowi za cenną pomoc w żmudnej pracy korektorskiej

We Lwowie, d. 6 października 1900 r.

Dr. Bronisław Gubrynowicz.

PRZEDMOWA

do pierwszego wydania.

Oddając do rąk publiczności tę książkę o Juliuszu Słowackim, uważam za potrzebne wyłomaczyć się, skąd mi przyszło na myśl pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował tylko skromne stanowisko pisarza, a którego dziełom przy całej ich genialności sam nieraz niedostatki wytykam. Że mnie z tej strony będzie zaciepiała krytyka, o tem wcale nie wątpię. Niechże przynajmniej — jeżeli nie rozbroi, to bodaj złagodzi surowość jej zarzutów szczere i otwarte opowiedzenie, jak ta praca moja powstała i w jakim celu była podjęta. Dała mi do niej główny powód oddana do rąk moich w odpisie korespondencya Słowackiego, prowadzona z różnemi osobami: z Zygmuntem Krasińskim, z Teofilem Januszewskim, wujem poety, z Kornelimi Stattlerem, znakomitym niegdyś profesorem malarstwa w Krakowie, a przede wszystkim z matką. Do matki swojej pisywał poeta nasz w stałych i częstych odstępach i zwykł jej był przez cały czas życia swego na emigracyi szczegółowo zdawać sprawę ze wszystkiego, z czego się tylko życie jego splatało. Rozczytując ten nader znaczny zbiór listów (jest ich tyle, że wypełniłyby dwa spore tomy), nie mogłem się oprzeć w pierwszej chwili

urokowi, jaki wywiera to rzeczywiście bezprzykładne bogactwo wyobraźni, strumieniami rozlanej w owych potocznych i poufnych rozmowach nieznanego zupełnie dotychczas z tej strony wieszczą; i porwany myślą, że to prawdziwy pamiętnik wewnętrznego życia poety, że to istna fotografia najskrytszych poruszeń serca — zamierzałem nakłonić koniecznie krewnych jego do bezzwłocznego ogłoszenia tej całej korespondencji. Dalsze czytanie jednakże dało mi uczuć niebawem niestosowność tego żądania. Nie tylko bowiem czas obecny zdaje się być cokolwiek jeszcze za rychłym, żeby wszystko, co się w niej mieści, bezwarunkowo można było drukować; ale i tego nie mogę zataić, że kiedy się odczytuje zbiór listów cały w jednym ciągu jeden po drugim, doznawać się zaczyna z czasem przy tak wielkiej ich obfitości — znużenia. Ostatecznie bowiem każdy list jest tylko listem, choćby go pisał i genialny poeta! Doniesienia o bieżących potocznościach życia, o zdrowiu, kłopotach, powodzeniu i t. p. zajmują tu zawsze miejsce sobie właściwe; a nawet i najpoetyczniejsze ustępy nie mogą się nie powtarzać w podobnym ciągle sposobie. Wskutek czego czytający te wynurzenia poufne traci coraz bardziej zmysł dla rzeczy prawdziwie niepospolitych, ginących w tym nawale powszednich konwencyjności.

Nie uważając zatem jak na teraz za pożądane, żeby korespondencya ta była drukowana w całości, a nie mogąc z drugiej strony i tego z przekonaniem swoim pogodzić, żeby pojedyncze z listów urywki, wyjęte na chybi trafi ze związku, było właściwem dawać do rąk publiczności w sposób, jak to uczyniono naprzykład z listami Krasińskiego lat temu kilka: wziętem sobie za zadanie zużytkować ten materiał inaczej. Postanowiłem z osnowy listów rozwinać wątek autentyczny życia Słowackiego tak mało komu znanego dotąd dokładniej; a zapomocą lepiej rozwiniętego poglądu na koleje tegoż życia, rzucić też nieco światła i na jego dzieła. I oto w takito sposób powstała książka niniejsza, poświęcona zarazem i biografii poety

i krytycznemu rozbirowi pism jego, w odniesieniu do całego ogółu ówczesnych usiłowań w literaturze naszej, stanowiących jakby tło dla wyłącznego uwag moich przedmiotu. Przyznaję otwarcie, że kiedyś się zabierał do tej roboty, nie wystawiałem sobie, że się ona do tej objętości rozciągnie. Nie ręczę nawet za to, czybym się był zabrał do niej, gdybym to był przewidywał. Ale zabrnawszy raz w rzecz, i spostrzegłszy się, w co ja wszedłem, trochę zapóźno: nie chciałem się już cofać po czasie. Prowadziłem tedy coraz dalej naprzód pracę zaczęłą, pocieszając się nadzieją, że cokolwiek się stąd wywiąże, nie będzie bez pewnego interesu a może i pożytku. Mianowicie zaś towarzyszyło mi w tem zajęciu to przekonanie, że warto jest przypatrzeć się choćby też raz jeden z bliska.... życiu Poety! Warto poznać w tym autentycznym, z własnych świadectw utworzonym obrazie, z czego to u natur wyjątkowych, noszących to chlubne miano, zazwyczaj splata się ów wątek uczuć, szaków, rzadkich pociech, częstszych boleści, niebiańskich natchnień i cierpień nieraz najdotkliwszych, który tłum ludzi, stojących u ich piedestału, nazywa później sławnem życiem genialnego człowieka.... Tyle o tem już pisano w romansach! Każdy wystawia sobie stan duszy tych ludzi nadzwyczajnych — po swojemu. Prawdy bezwzględnej nie może być nigdy w takich wymarzonych i tylko z własnej głowy branych opisach. Otóż zdarzyła się sposobność, sposobność w literaturze naszej do tej przy najmniej pory jedyna, że przy pomocy takiego zapasu włośnoręcznych zwierzeń, wyrzeczonych w chwilach zawsze stanowczych, pod wpływem uczuć zbyt świeżych, żeby przypuszczać, że ten, co to pisał, fałdy swojej togi sztucznie drapował i stawał w postaci człowieka, który pozuje.... możemy krok w krok, jak cień za ciałem towarzyszyć jednemu z podobnych ludzi przez całe pasmo dni jego i mieć jak na dłoni przed sobą całą genezę i dziejów jego jako człowieka i natchnień jego jako artysty. Dlaczegoż nie mielibyśmy korzystać z tej sposobności? Nie miałaby wize-

runek taki mieć przynajmniej tyle wartości, co obrazy charakterów i opisy przygód wymarzonych w fantazji?

Ale odeprze niejedną na to: przecież Słowacki nie był największym naszym poetą! jeżeli więc o to chodziło: to należało sobie wybrać kogoś takiego, któryby sprawiedliwiej mógł tu służyć za pomnikowy posąg wieszczego usposobienia. — Prawda! Autor Lilli Wenedy niewątpliwie miał coś w duchu swoim chorobliwego. Między dziełami, których ostatecznie dokonał, a tą potęgą jego poetyckiej zdolności, która w pojedynczych tylko miejscach bije u niego całym blaskiem świetności, gdzieindziej zaś już tylko »dymi przez słowa«, niema należytego stosunku. Z tem wszystkim i ta anormalność, która nas w osobie jego uderza, nie był to symptom oderwany i czysto osobisty. To było znamię typowe czasu, to było cierpienie właściwe mniej więcej całej tej generacji, do której Juliusz należał. Już przeto dla tej jednej przyczyny uważam życie jego za przedmiot pod każdym względem godny głębszego rozpatrzenia.

A zresztą — należy zawsze korzystać ze sposobności, jaka się właśnie nadarza. Mickiewicz nie zostawił po sobie takiego materiału do odtworzenia wizerunku całego swego żywota; dlatego też niejedno z źródeł jego natchnienia na zawsze dla potomnych pozostanie zagadką.

— Obok Słowackiego, stawionego na pierwszym planie, umieściłem w obrazie moim cały chór osób różnych współczesnych, z którymi łączyły go bliższe lub dalsze stosunki i o których często mówi w swojej korespondencji. Zdawało mi się, że nie mogą być obojętne szczegóły dotyczące ich doli, wpływów na nich działających i okoliczności, wśród których żyli. Ściąga się to głównie do tych pisarzy naszych, co życie spędzili na wygnaniu. Jeżeli wreszcie szczegóły podobne wydają się może dzisiaj jeszcze pomniejszej wagi, nie będąc tak dalece nieznanymi rzeczami dla pokolenia dzisiejszego: to rozumiem, że nie będą bez interesu dla późniejszych, do których tradycje

żyjące pomiędzy nami, dojdą tylko w drobnych okrucieństwach. Cóżbyśmy dziś za to dali, gdybyśmy tyle wiedzieć mogli na przykład o znakomitościach naszych z Zygmunrowskiej epoki! Byłaby to nielogiczność, rozbijając się za najdrobniejszych wiadomości, jeżeli takowe dotyczą od dawna zgasłych — a za nie ważyć sobie wspomnienia dotyczące osób, których mogły jeszcze w ziemi nie zakłęsy i zaledwie darnią porośły. Przyjdzie czas, że i te grobowce znukną z przed oczu żyjących, a wtedy będzie tem droższą wiadomość o wszystkich, którzy w ich głębi spoczęli....

— Ze stroną opisową i historyczną dzieła mego połączyłem i część krytyczną. I wytłómaczyć się muszę, dlaczego rozwodzę się tak obszernie nawet nieraz nad takimi utworami Słowackiego, którym sam wielkiego znaczenia artystycznego odmawiam. Dzieła tego poety, niesłusznie przez ogół mało poszukiwane, zaczęły od lat kilku tu i owdzie prawie znowu nad zasługę i miarę entuzjazmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze powiększać. Przy takiej sprzeczności sądów i punktów widzenia — bardzo wiele zależy na tem, ażeby sobie zdać raz sprawę na usilniejszych studiach opartą, tak ze zalet jako i przywar właściwych Słowackiemu. Krótkie wyroki na nie się tu nie przydadzą. Dorażnie wypowiedane mniemania nikogo jeszcze nie przekonały o niczem. Zresztą wszelkie krytyczne rozbiory zdaniem mojem wtedy tylko mogą być prawdziwie pożyteczne, kiedy nie ograniczając się do tego, żeby czytać naganą czy pochwałą wpłynąć na dalsze roboty krytykowanego pisarza, poruszają pytania sięgające donośnością swoją nieco poza zakres poruszonego właśnie przedmiotu. Niech mi się tu wolno będzie odwołać do wielkiej w takich rzeczach powagi. Krytyki Lessinga, w jego »Hamburskiej Dramaturgii« objęte, są ciągle jeszcze pouczające, chociaż mało która ze sztuk przez niego tam rozbieranych bywa jeszcze grąwaną, a choćby tylko czytowaną przez kogo.... Daleki

jestem od chęci przypisywania moim krytycznym wywodom znaczenia, któreby je zbliżać mogło do mistrzowskich rozbiórów Lessinga; ale godzi się każdemu iść w ślady za człowiekiem, którego sposób się uznaje za godny naśladowania.

— Na zakończenie powiedzmy słówko, czy się godziło robić użytek, przeznaczony dla wiadomości całej publiki, z listów prywatnych. Poruszył to pytanie co do Mickiewicza niedawnymi czasy znakomity nasz krytyk Julian Klaczko i bardzo się stanowczo wyraził za tem, że »ogłaszanie poufnych pism i listów znakomitych w narodzie ludzi nie jest rzeczą ani tak niechybnie godziwą, ani też nad wszelką wątpliwość pożyteczną, jak się to niejednemu wydaje«. Rozróżniając pomiędzy ludźmi czynu, do których policzył polityków, wojowników i dyplomatów, a mistrzami słowa i sztuki: uważa szanowny autor, że tylko pierwszych uważany być może i prywatny nawet żywot za godziwy przedmiot badań powszechnych, podczas gdy osobistość drugich radby on usunąć ile tylko być może z przed oczu ciekawych natrętów, a to dlatego że biografia artystów i poetów bywa prawie zawsze mikrografią ducha.

Przyznając chętnie, że mogą niewątpliwie zdarzać się wielkie przesady w nieoględnem traktowaniu prywatnych stosunków czyichkolwiek, czy tam kto walczył na świecie bronią, czy wreszcie piórem. Z tem wszystkim zdaje mi się, że jednak podnosić do reguły powszechnej zaleconej tu dyskrecyi nie można. Koniec końcem, trudnoby było zaprzeczyć temu, że pospolicie dzieła poetów wtedy dopiero zaczynają być należycie zrozumiałe i pożyteczne dla wszystkich, kiedy się wie dokładnie, wśród jakich okoliczności one powstały, to jest kiedy się dobrze zna przebieg życia ich autora. A już to samo upoważnia do tego, aby się starać zbogacić biografią jego szczegółami jak najdokładniejszymi skądkolwiekbądź. Zresztą i najszczytniejsza poezya, ażeby nie była próżnym blichтром i tumanem dla niedoświadczonych, powinna być popartą życiem poety.

Mam to przekonanie, że narodowi służy wszelkie prawo do dochodzenia tego, co mu poeta daje: czy to szych, czy złoto szczerze? czy przedewszystkiem wierzył on też w to wszystko, co słowami swemi wygłaszał, i czy sam żył podług tego? Gdzie bowiem rozdział nieprzeskoczny między pismem a czynami, tam zwykle i czyny lichy i pisma wielce podejrzaney wartości!... A nakoniec nie zapominałmy i o owem odwiecznym zdaniu, że *natura horret vacuum*. Jak w świecie fizycznym, tak też i w biografjach znakomitych ludzi aż nadto często się zdarza, że niezapełnione niczem próżnie lubią zapełniać się czemkolwiekbądź: w rzeczach fizycznych zapełniają się wiatrem a w ludzkich — ploteczkami. A te nie zawsze wypadają na korzyść osób, do których się ściągają.

(1866).

Autor.

PRZEDMOWA

do drugiego wydania.

Oddawałem dzieło niniejsze, w pierwszym jego wydaniu, do rąk publiczności z obawą, żeby czyta zbyt zbytnia jego obszerność, czy też wypowiedane bez ogródki zdania co do pisarza, z pewnem bałwochwalstwem uwielbianego z jednej strony, z drugiej zawsze traktowanego z uprzedzeniem i przesadną niechęcią, nie stały się powodem surowej sąd i zowad nagany. Przewidywania te nie zostały stwierdzone skutkiem; owszem miała ta książka powodzenie — nad zasługę. Dlatego też puszcza ją w świat, i teraz głównej rzeczy w niej nie zmieniwszy, a tylko co do dat poszczególnych starałem się osnowę poprzedniego wydania w miarę materyałów, jakimi obecnie rozporządzałem, tu i owdzie uzupełnić albo sprostować.

Materyałami, o jakich tutaj wspominam, były mi listy, które od znajomych i przyjaciół Juliusza po wyjściu już dzieła tego i z jego właśnie powodu otrzymywałem z szczegółami poprzednio nieznanymi. Szczególnie ważne były pomiędzy nimi notatki i objaśnienia, jakich dostarczył w kilku listach do mnie pisanych ś. p. Eustachy Januszkiewicz, dokładnie obeznany ze wszystkim, co się działo w emigracyi, szczególnie w kołach literackich. Drugim takim

nader ważnem źródłem był świeżo odszukany, własnoręczny Pamiętnik Słowackiego, o którego osnowie, a nawet istnieniu nie zgola przedtem nie było wiadomo. Pamiętnik ten był pisany w dwóch pierwszych latach pobytu Słowackiego za granicą, t. j. w roku 1831 i 1832. Obejmował całe dzieje młodości poety, lata szkolne, uniwersyteckie, i co po nich nastąpiło aż do chwili, gdzie te zwierzenia już autor pisał — poczem zamiast Pamiętnika był prowadzony już Dziennik, wypełniony zdarzeniami bieżącymi z roku 1832, opowiadaniemi pod ich bezpośredniem wrażeniem.

Wielce ubolewać należy, że ta praca Słowackiego doszła czasów naszych w skąpych tylko urywkach. Kto ją odszukał, skąd jej dostał — powiedzieć nie umiem. Wszystko co się tylko znalazło, mamy oddrukowane w krakowskim Przeglądzie Polskim z roku 1879 (w zeszytach za miesiąc lipiec). Otrzymała redakcyja Przeglądu te szczątki od pana Wacława Gąsztowta w Paryżu, a ten je za wdzięcza panu Hieronimowi Żychoniowi, który mu ich do ogłoszenia udzielił; jak zaś pan Żychon do nich przyszedł? nie powiedziano. Tyle tylko będzie pewnem, że ten rękopis autentyczny, jakkolwiek do tak wczesnych lat w życiu poety odnosi się, wyjść musiał z jego papierów albo przed samą jego dopiero śmiercią albo też nawet po jego już zgonie. Obejmował on bowiem w sobie oprócz tych pamiętnikowych fragmentów także i brulion pierwszego rapsodu Króla-Ducha, zatem dzieła będącego ostatnim jego utworem i drukowanego pod sam już koniec życia Juliusza.

Urywków odrębnych jest w tej ocalonej pozostałości w ogóle cztery. Pierwszy urywek jest zatytułowany jako »rozdział czwarty« (trzech pierwszych rozdziałów nie ma). Był on pisany w Dreźnie, dnia 17 lipca roku 1831, a zawiera w sobie wspomnienia z pierwszego roku po przeniesieniu się ponownem matki poety do Wilna, t. j. z roku 1817. Potem następuje próżnia aż do »rozdziału dzieśiątego«. Ten rozdział powstał już w Paryżu, był pisany

dnia 20 lipca roku 1832, a opowiada o rzeczach z roku 1827. Jedenastego i dwunastego rozdziału znowu niema. Znalazł się dopiero »rozdział trzynasty«, opowiadający dzieje z końca roku 1827 i 1828: to było pisane dnia 22 lipca 1832. (Te daty co do postępu Pamiętników dają nam widzieć, jak szybko szła ta robota: w dniu 20 lipca rozdział dziesiąty, w 22 tegoż miesiąca już rozdział trzynasty — zatem na czas między tymi dniami pośredni, t. j. na dzień 21 lipca, przypada jedenasty i dwunasty rozdział!). Z trzynastym rozdziałem styka się bezpośrednio »czternasty«, z wspomnieniami roku 1828 i początku 1829; data nad tym — nb. niedokończonym — rozdziałem: »Paryż, 24 lipca 1832«. — Dalszego ciągu Pamiętnika nie mamy! Musiał on jednak być prowadzony co najmniej aż do zdarzeń roku 1832, w którym zaczęły być notowane zajścia współczesne, bieżące, w formie już Dziennika.

Z tego Dziennika zostało kilka tylko kartek, pisanych dnia 20, 21, 22, 23, 24 i 25 lipca roku 1832. Szczegóły tu opowiadane jednakże są już albo pomniejszej ważności albo też powtórzył je nasz autor w listach swoich do matki z owego czasu: tak na przykład odwiedziny chorego przyjaciela swego Zienkowicza w Wersalu, o których pisał obszernie i prawie temi samemi słowami w liście z dnia 30 lipca tegoż roku. To upoważnia do wniosku, że w znacznej mierze mamy pewnie w korespondencji Juliusza i gdzieindziej pewien refleks jego zapisków w tym Dzienniku zawartych.

Pisałem dnia 13 czerwca 1880 r.

Autor.

I.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju.

Wśród Litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmiészani w tłumie.
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie.
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Piers mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem —
Włos na czole dzielony na ramiona spadał,
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewczycich warkoczy. —
Ludzie nieraz »on umrze« mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem, — lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...¹⁾

¹⁾ Pisma Juliusza Słowackiego. Wydanie II pomnożone staraniem dr. Antoniego Małeckiego, Lwów 1885. I. 19. — Według tego wydania — jeśli nie jest inaczej zaznaczone — podane są wszystkie cytaty poezyi w tej książce.

»Młodszy wiekiem«, o którym mowa w tym wierszu, to właśnie nasz poeta. Powyższemi słowy sam on siebie opisał w wierszu zatytułowanym »Godzina Myśli«, który był po raz pierwszy drukowany na końcu III tomu »Poezyi« paryskiego wydania. Godzina myśli poświęcona jest wspomnieniom lat szkolnych, wspomnieniom pierwszych marzeń, pierwszych rozczarowań, pierwszej przyjaźni i pierwszej miłości. Wiersz ten stanowi między materyałami, które mam przed sobą, najważniejsze źródło do skreślenia wewnętrznego wizerunku Juliusza w tej właśnie życia jego epoce. Opowiadania osób, które pamiętają te czasy i na młodość jego patrzyły, jakkolwiek ciekawe i zajmujące, nie potrafiłyby zastąpić tych zwierzeń z pierwszej ręki podanych; dostarczają bowiem tylko szczegółów do zestawienia samej zewnętrznej strony tego obrazu. Drugiem źródłem jest Pamiętnik Juliusza, pisany w roku 1831 i 1832 już na emigracyi. Posiadałny z niego jednak tylko kilka urywków ocalonych, gdyż reszta zginęła. Urywki te wydał W. Gąsiorowski w roku 1879 w krakowskim »Przeglądzie Polskim« w zeszytach za miesiąc lipiec, a L. Méyet przedrukował w pierwszym tomie wydanej przezeń korespondencyi Słowackiego¹⁾.

Odbывał więc Juliusz szkoły »wśród litewskiego grodu« — w Wilnie. Tutaj także spędził najrychlejszy poranek życia, nim jeszcze został do szkół oddany. Jednakże właściwym jego krajem rodzinnym, krajem, który tyle razy w pismach swoich z wyłącznem przywiązaniem wspomina jako swoją krainę,

¹⁾ Wydanie to listów Słowackiego, dokonane według autografów, jest nader staranne; w dwóch tomach mieszczą się listy poety do rodziny, tom trzeci obejmuje korespondencye z innemi osobami.

Według tego wydania poprawiono teksty listów Juliusza przytoczone w niniejszej książce i do niego odnoszą się odsyłacze.

»Gdzie po dolinach moja lłwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem — «¹⁾

nie była to Litwa, lecz Wołyń. Urodził się w Krzemieńcu dnia 23 sierpnia 1809 roku — z ojca Euzebiusza Słowackiego i matki Salomei z domu Januszewskiej²⁾.

Ojciec jego zajmował wtedy jeszcze posadę profesora języka polskiego w liceum Krzemienieckim, którą z rąk założyciela tegoż zakładu, Tadeusza Czackiego, otrzymał był już w chwili tejże szkoły otwarcia. Niedługo potem zamienił ją na profesurę uniwersytecką. Właśnie bowiem w tymże roku 1809 ogłoszono w akademii wileńskiej konkurs na katedrę historyi literatury, czyli jak naówczas nazywano, na katedrę wymowy i poezyi. W dowód stosownego uzdolnienia do objęcia tej profesury, zażądano rozprawy »O sztuce dobrego w języku polskim pisania«. Wskutek tego — po upływie dziesięciomiesięcznego przeciągu czasu, tyle go bowiem dozwolono do wykonczenia żądanej pracy — zostało do Wilna nadesłanych kilka rozpraw tej treści. Była pomiędzy niemi i praca profesora z Krzemienia. Po rozpoznaniu wad i zalet wszystkich pism nadesłanych, komisya rozpoznawcza, z profesorów akademii

¹⁾ Pisma pośmiertne. Lwów 1885. I. 86.

²⁾ W listach matki Słowackiego do Odyńca (Przewodnik naukowy i literacki, Lwów 1898 str. 1240) podany jest następujący szczegół o chrzcie Julka: (24 maja 1827) Wczoraj Hersylię i Julka ochrzciłszy w kościele św. Michała, dziś poszli do katedry bierzmować się... Julek wziął na chrzcie imię Władysława, a dziś Wacław. Zygmunt⁴⁾.

W innym liście (Przew. nauk. str. 1162) — mylnie przez wydawcę datowanym 26 kwietnia 1827, ma zaś być 26 maja 1827 — pisze matka, że Julka do chrztu trzymał Pelikan, prof. uniwersyteckiego z swą żoną.

L. Méyet: »Chrzest Jul. Słowackiego« (Kalendarz na r. 1900 wydany staraniem katolickiego Towarzystwa dobroczynności w Petersburgu).

złożona, do której przedewszystkiem należeli sławny Gotfried Groddeck, profesor filologii, i rektor uniwersytetu Jan Śniadecki, przyznała stanowcze pierwszeństwo Euzebiuszowi Słowackiemu. Wskutek tego nastąpiło w roku 1811 ostateczne powołanie jego na katedrę i przeniesienie się rodziców poety naszego do Wilna.

Zawód Słowackiego jako profesora wszechnicy był tem użyteczniejszy, że przypadł na czasy, gdzie konieczna potrzeba tej profesury coraz dotkliwiej czuć się dawała. Przez cały ośmioletni ciąg trwania odrodzonego pod kuratoryą księcia Adama Czartoryskiego uniwersytetu wileńskiego aż do owej chwili, przez cały czas od roku 1803 do 1811, katedra poezyi i wymowy ciągle tam wakowała. Nauk tych nie wykładał tam aż potąd żaden nawet zastępca profesora. Wzywano wprawdzie ze strony uniwersytetu od czasu do czasu różne co sławniejsze w epoce owej znakomości literackie i naukowe do objęcia rzeczzonej posady: powoływano na nią naprzód Kopczyńskiego, później Karpińskiego, a dalej Niemcewicza, nakoniec Franciszka Xawerego Dmóchowskiego i Woronicza. Lecz wszystkie te kandydatury rozбивały się o jakieś już to polityczne, już osobiste i uboczne trudności, tak iż dopiero więc w roku 1811 zasiadł na tej katedrze po raz pierwszy Słowacki. Był to mąż wielce czytany i światły. Wprawdzie więcej on wykształcenie swoje zawdzięczał własnym swoim usiłowaniom, aniżeli mistrzom jakim i zakładom naukowym głośniejszej sławy. Za granicą bowiem za młodu na żadnych akademiach nie bywał. Krajowe zaś szkoły, w których się kształcił, w tamtych jeszcze czasach zbyt wysoko nie stały. Pomimo tego wszelako, przy gorliwym pełnieniu obowiązków, przy rzetelnem zamiłowaniu tak powierzonego sobie przedmiotu, jak i młodzieży, działał Słowacki w zakresie swoim z wielkim dla niej pożytkiem. Co większa, starał się i posunąć dalej samą naukę, którą miał sobie poręczoną

jak o tem najlepiej świadczą pozostałe jego pisma¹⁾. Jak wiadomo, próbował on sił swoich nawet i na polu poezyi. Mianowicie wiele tłómaczył, n. p. Henryadę Woltera i różne ustępy z dzieł kilku poetów łacińskich. Ułożył wreszcie dwie tragedye oryginalne niezgorszym wierszem, t. j. *Mendoga* i *Wandę*. Sztuki te pisane są wprawdzie zupełnie na sposób francuski, czyli jak to zwykle nazywamy, klasyczny: jednakże pamiętać tu należy, że takie to już wtedy były u nas w tej mierze powszechnie wyobrażenia. Nikt w tym rodzaju literatury nie pisał inaczej za Księstwa Warszawskiego. W każdym razie tedy działanie takiego profesora, wśród grona dzielnej litewskiej młodzieży, obiecywało Wilnu jeżeli nie takie plony, jakie się — dzięki innym okolicznościom — okazały w późniejszych latach, kiedy to liczył się do uczniów uniwersytetu Zan i Mickiewicz, to zawsze jednak zapowiadało ono rzetelne i przeważne korzyści. Do ziszczenia ich zupełnego atoli nie przyszło; we trzy już bowiem lata po przeniesieniu się swoim do Wilna, t. j. w roku 1814 dnia 29 października, zakończył profesor życie. Umarł przedwcześnie, w czterdziestym drugim roku wieku, na piersiową słabość, która o wiele rychłej wycieńczała już siły jego²⁾.

¹⁾ Pisma Euzebiusza Słowackiego wyszły w 4 tomach, w kilkanaście lat po zgonie autora, w Wilnie r. 1824—6. Na czele pierwszego tomu umieścił Leon Borowski rozprawę: „O życiu i piśmach E. Słow. profesora wymowy i poezyi w Imperatorskim Uniwersytecie wileńskim“. W niej wspomina o nieznanym do dnia dzisiejszego pamiętnikach jego, pozostawionych dla syna. — F. Hösick skreślił charakterystykę profesora w „Szkicach i opowiadaniach hist. liter.“ Warszawa 1900, str. 77—82. Ob. nadto artykuł L. Méyeta: „Na Rossie“ (Tygodnik ilustrowany Warsz. 1897 nr. 44) i E. Pawłowicza: „Grób E. Słowackiego na Rossie“. (Wspomnienia z nad Wilii i Niemna. Lwów 1882).

²⁾ Po zmarłym profesorze pozostał testament — ustęp z niego ogłosił p. F. Hösick w biografii Słowackiego (I. 32) — w którym nieboszyk przeznaczył na utrzymanie żony i syna dochód

Tyleśmy mieli do powiedzenia o ojcu.

Co się tyczy matki, to opowiadania wszystkich, którzy ją znali, w tem się zgadzają, że jeżeli które z rodziców usposobieniem swoim mogło wpłynąć na ów wyższy i excentryczny nastrój ducha Juliusza, to rozumieć to należy właśnie o matce, która też w nim całe swoje szczęście widziała. Był on dla niej jedynym celem życia, jej dumą, jej nadzieją, jej wszystkim na ziemi. Ze strony syna także niemniejsze było przywiązanie do matki. Od pierwszego dziecięctwa swego aż do zgonu — przez wszystkie życia koleje, czy to pod jej okiem wzrastając, czy trawiąc na wygnaniu długie lata samotne, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłączenie i niemalbył rzekł religijnie czcił i miłował. Już same listy jego do niej pisywane przekonywają, że nie miał on przed nią nigdy nic skrytego, nie coby w jakikolwiek sposób zakrawało na tajemnicę. Z szczerą ufnością dziecięcia i ze swobodą przyjaciela zwierzał on jej się z każdej pociechy i nadziei, z każdej boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a czasem nawet i szaleństw drażliwego swego usposobienia. Ale bo była też to osoba rzadkiej giętkości ducha. Łączyła w sobie własności, których harmonijne, miłe dla wszystkich otaczających połączenie w jednej osobie tylko się rzadko kiedy i chyba wyjątkowo spotyka. Łatwa, połoćna, nadzwyczaj żywa, a jednak czująca głęboko i z natury jakiegoś już tęskniejszego nastroju — pociągała ona ku sobie każdą szlachetniejszą naturę. Zawsze potrzebując czegoś takiego koniecznie, coby jej myśl żywsem napełniało zajęciem, brała udział we wszystkim, co ją otaczało, i znajdowała w sobie nawet dla rzeczy małych dość tej skrętniej drobnostko-

dożywności z kapitału 70.000 złp.; na wypadek powtórnego zamążpójścia wdowy, a to umierający przewidywał, prosił ją w gorących słowach, ażeby przynajmniej połowę tego dochodu obracała na utrzymanie i edukację Juliusza.

wości, która naturze niewieściej dodaje tyle powabu, jeżeli się z nią kojarzy zmysł i głębsze wyrozumienie także i dla spraw wyższych, dla spraw wynikających z obowiązków matki, obywatelki, chrześcijanki... Matka Juliusza wszystko to w sobie godziła. Sercem i wykształceniem stawiona prawie na równi z duchowem stanowiskiem syna, odgadywała mimowiednie, a często i pojmowała świadomie tajne nieraz intencje jego poetyckich utworów. I nie tylko nie ukrywała przed nim swojego zdania o wszystkim, cokolwiek jej przedłożył; ale niekiedy nie szczędziła mu i wyraźnej nagany, jeżeli rzecz niezupełnie smakowi jej zadość czyniła. Nagany takie przyjmował Juliusz od niej — może od niej jednej — z bezwarunkowem poddaniem... Słowem, była pomiędzy temi dwiema naturami jakaś tajemnicza a szczególnie ścisła sympatya. Wielu zaś dostrzegało nawet pewnego wręcz podobieństwa pomiędzy matką a synem, które im też tłómaczyło niejedną stronę skądinąd dziwnie uderzającą w charakterze poety. A jeśli w dalszych ustępach życia Juliusza rysy tego podobieństwa coraz więcej się zacierają, a wychodzą natomiast na wierzch pod niejednym względem różnice — to było to skutkiem dyametralnie odmiennych życia kolei, jakie każde z nich przechodziło. A krom tego było to następstwem i tej jeszcze okoliczności, że poetyczne usposobienie matki było oczywiście więcej biernem, a kierowało niem przedewszystkiem serce, swobodnie i miłościwie na świat zewnętrzny zwrócone: podczas gdy fantazyja poetyczna syna, w sobie zamknięta, twórcza, lecz dumna, brała raczej z siebie samej pęd ku wszystkiemu, w czem się miała objawić, nie wiele dbając o świat i ludzi i o całe otoczenie zewnętrzne.

Po zgonie Euzebiusza Słowackiego, osierociął wdowa opuściła Wilno i przeniosła się z jedynem dziecięciem swoim, pięcioletniem naówczas, napowrót

w strony swoje rodzinne. Osiadła na nowo w Krzemieńcu, w domu rodziców swoich Januszewskich, którzy stale w temże mieście zamieszkiwali. Po upływie trzech lat jednakże wyszła powtórnie za mąż. Oddała rękę doktorowi Augustowi Bécu, znowuż profesorowi uniwersytetu wileńskiego w wydziale lekarskim¹⁾.

Dr. Bécu był także wdowcem i miał dwie córki niedorośle, potrzebujące macierzyńskiej opieki, Aleksandrę i Hersylią. Oto, co o tem drugim swojej matki małżeństwie zapisał Juliusz w Pamiętniku swoim, w kilkanaście lat później kreslonym:

»1817 r. w sierpniu przyjechał do Krzemieńca profesor Bécu w zamiarze ożenienia się z moją matką. Zdecydowali się rodzice (Januszewscy), już to żeby na przypadek ich śmierci miała opiekuna, już to dla mojej edukacyi, która w Wilnie mogła daleko lepiej być przedsięwziętą. Trzema dniami przed ślubem dowiedziałem się o tem; myśl wyjazdu do Wilna bardzo mnie ucieszyła. Pamiętam ślub mojej matki o godzinie 9 wieczorem w kościele licealnym²⁾, mała liczba przyjaciół była przytomna; widząc

¹⁾ Krótką biografię pani Bécu podał Bolesław B. Rz. w „Dzienniku literackim“ (Lwów 1856 nr. 29) p. t. „Życie matki J. Słowackiego“. Następnie drobne szczegóły biograficzne opowiedział A. E. Odyńiec w swych „Wspomnieniach z przeszłości“. Opowiadania p. S. Beaupré posłużyły F. Hösicke do skreślenia charakterystyki pani Bécu (Życie Słow. I. 14—18); najciekawszy jednak materiał przyniosły listy jej pisane w latach 1826—1842 do A. E. Odyńca, ogłoszone przez L. Méyeta w „Przewodniku naukowym i literackim“ (Lwów 1898). Ustępy z nich odnoszące się do Juliusza podajemy w dodatkach do tomu III niniejszego dzieła.

Nader subtelną charakterystykę p. Bécu skreśliła M. Konopnicka w artykule p. t. „Wspomnienia o pani Słowackiej-Bécu, matce J. Słowackiego“ (Świt. Warsz. 1886 nr. 105). — Testament jej ogłosił H. Biegeleisen w rozprawie: „Ze stosunków rodzinnych J. Słow.“ (Biblioteka warszawska 1895, str. 100—1).

²⁾ Ślub ten odbył się nie w roku 1817 ale w r. 1818 dnia 17 sierpnia, poczem dopiero wyjechali państwo Bécu z Juliuszem do Wilna.

moją matkę płaczącą serdecznie, także płakałem. Przy końcu sierpnia wyjechaliśmy do Wilna. Miałem wtenczas lat 8. Wilna nie pamiętałem zupełnie. Panny Bécu, Olesię i Hersylkę, a teraz siostry moje¹⁾ zastałem w Dąbrowni; ledwo mogły dostrzec małego swojego przyjaciela, tak byłam mały i szczupły. Obrazikiem zaraz jedną z nich zgryźliwą jakąś uwagą; przy wieczery opowiadałem w zapale jakąś komedya, tak że aż wstałem od stołu, łącząc do opowiadania dziwaczne giesty. Przybywszy do Wilna, zaraz pobiegłem do mego małego ogródka. Potem z matką odwiedziłem grób mego ojca na Rossie; klęcząc na kamieniu, zmówiłem pacierz i płakałem, bo o łzy u mnie nie było trudno²⁾.

O szkolnych czasach i pierwszej młodości Juliusza niewiele mam do powiedzenia. Tyle mi tylko wiadomo, że miało to być miłe dziecię, o pięknej, ale bladej twarzy — nikłe ciało i zawsze słabowite. W czwartym roku życia odbył ciężką, kilkomiesięczną, nader niebezpieczną słabość, z której go ledwie przywrócono do zdrowia. Tem rychlej się za to obudzać w nim zaczęły duchowe siły i niepospolite jak na wiek jego zdolności. Za życia jeszcze ojca zaczęto go uczyć czytać. Elementarzem jego t. j. książką w dosłownem znaczeniu pierwszą, w której poznawał litery, były Bajki Krasickiego. Potem dana mu była do ręki Iliada Homera w przekładzie Dmóchowskiego. Dziwili się wszyscy, że to czytanie sprawiało temu dziecku przyjemność i że wyobrażnia jego zdążała za tymi obrazami wieszczki starożytnego. Po przeczytaniu Iliady, brał się do różnych innych książek, a dowiadywał się ciągle, czy niema jeszcze innego

¹⁾ Do tych to więc sióstr przyrodnych Juliusza odnosi się owo miejsce w przytoczonym powyżej ustępie z *Godziny Myśli* o dziewczicach „gładkimi dłońmi trepiących co dnia czarne włosów jego pierścienie“. (P. A.).

²⁾ Listy Słowackiego. Lwów 1899. t. I. str. 1—2.

takiego dzieła, jak Iliada. Matka obiecała mu dać Eneidę Wirgilego. »Z jakąż niecierpliwością czekałem tej książki! Dostałem ją na koniec, lecz mamże wyznać? Znużyła mnie okropnie i dotąd jeszcze (pisał to w roku 1831 w Dreźnie w Pamiętniku swoim) usypiające ma dla mnie skutki, gdy Iliada Homera i dziś mnie jeszcze zachwyca«...

To czytanie Iliady i Eneidy przypada na lata już wileńskie, w ciągu których Juliusz pobierał najpierw w początkowych przedmiotach naukę prywatnie w domu ¹⁾, a potem został oddany do szkół publicznych ²⁾. W szkołach objawiała się we wszystkim znowu pewna przedwczesność całej jego organizacyi duchowej. Objawiała się zaś nie tyle w postępach naukowych,

¹⁾ Guwernerem jego był Hipolit Błotnicki, tłumacz słynnej powieści Goldsmitha „The vicar of Wakefield“; gry na fortepianie uczył Juliusza niejaki Fock, Niemiec, organista przy kościele św. Jana w Wilnie.

²⁾ Z tych lat szkolnych dochował się do naszych czasów autograf najwcześniejszego — znanego nam — listu Słowackiego, pisanego do stryja Erazma; czas napisania przypada na r. 1819 lub 1820. Oto ten list w całości:

„Kochany Stryaszku Dobrodzieiu! Czuję że to źle, że tak dawno do Stryaszka nie pisałem, ale żeby tu kochany Stryaszek był i widział iak dużo zatrudniony jestem, iak z iednćy lekcji na drugą idę, tak że nawet nie mam czasu poyśdź na spacer, toby mi to moje uchybienie łaskawie przebaczył. Do tego byłem chory na odre i musiałem teraz nadgradzać przez czas choroby opószczone lekcje. Teraz zdrów zupełnie jestem i radbym abym moim zdrowiem i postępowaniem mógł kochanego Stryaszka pocieszyć po poniesionych stratach, które i ia czuję.

Z powodu następujących świąt składam obojgu kochanym stryioswu i siostrzyczkom nayszczersze moje życzenia i całuję serdecznie ich rączki najprzywiąznszy ich

synowiec

Juliusz Słowacki.

List ten ogłosił L. Méyet w artykule p. t. „Z nieznaných pamíetek“ (Tygodnik ilustrowany Warsz. 1893 nr. 188).

choć i pod tym względem liczył się zawsze młody Słowacki do celujących uczniów; ale daleko więcej uderzała każdego jakaś dziwna skłonność do samotnych marzeń, jakaś tęskna fantastyczność chłopczyzny.

Jak wiadomo, lata 1818—1824 w obrębie akademii wileńskiej — stanowiąc będą na zawsze w dziejach umysłowości naszej czasy opromienione urokiem najpiękniejszych wspomnień i nigdy niezapomnianych zdarzeń. Zdarzenia te sięgały daleko po zakres urzędowej że tak powiem instrukcyi naukowej. Był to brzask nowej ery w myślach i pieśniach, świtanie nowego życia, życia rdzennie narodowego. Co tylko z młodzieży żyło duchowo, podzielało ten prąd powszechny. Promienie jego dosięgały i niższych szkół, z wysokości katedr akademickich. Poezya była jakby symbolem tych wszystkich uczuć, które młodzież łączyły. Świeża sława Mickiewicza i jego rówieśników silnie działała i na najmłodszych wychowañców szkolnych zakładów litewskich. A jeżeli na kim wywierało to wszystko potężne, wstrząsające wrażenie, to na Juliuszu. Oddźwiękła w sercu jego ta struna poetyczna, która i bez tego już w duszy jego była napięta. Żądza wielkiej autorskiej sławy zaczęła go już nawiedzać w dzieciństwie. Niejednokrotnie on sam o tem wspomina w listach swoich do matki, pisanych już w późniejszym wieku na emigracyi. — »Droga moja — mówi do niej n. p. w liście z dnia 20. stycznia 1845 roku — ja ośm lat mając, przysięgłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał — a za to za grobem o wszystko się upomnę« ¹⁾. — Albo w innym liście: — »W dzieciństwie, kiedy byłem exaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie poetyczne, choćby zresztą najnieudźniejsze, — żebym był pogardzony przez cały wiek

¹⁾ L. II. 218.

mój i tylko żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci¹⁾... A w owym poemacie, z którego ustęp dałszy na czele obecnego rozdziału, wręcz wyznaje mówiąc o sobie, że

»Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natęgnięniom dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmym niebie.

Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślącym ludzi tłumem,
Ma przed sobą krainę duchów do zdobycia«...²⁾

Wogóle tedy cały tryb spędzonego jego dzieciństwa, wszystkie jego zabawy, zajęcia, stosunki i zapędy okazują nam się w obrazie, który jak upoważniał do najpiękniejszych nadziei o tem dziecku, tak też mógł wzbudzać i pewne obawy o jego dalsze koleje... Jeżeli bowiem dumnie i poetycznie to brzmi, powiedzieć o kim, że cały jego poranek życia nie był taki, jak zwyczajnych ludzi, to z drugiej strony wiele prawdy i w tem być mogło, co później sam on wyrzekł o sobie z goryczą w jednym z listów do matki (Paryż dnia 4 października 1832 r.): — »Darujcie mi, bo w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka«³⁾.

Teraz trzeba nam tu wspomnieć o dwóch okolicznościach, nader ważnych w jego wieku młodzieńczym i bynajmniej też nieprzepomnianych przez poetę w *Godzinie Myśli*. Jedną okolicznością taką była przyjaźń najściślejsza, idealna, dogonna, jaką był zawarł od pierwszych ławek szkolnych z pewnym starszym od siebie kolegą. Pamięć jego często mu była przytomna w późniejszym nawet wieku, na emigracyi.

¹⁾ L. I. 80. ²⁾ P. I. 20. ³⁾ L. I. 137.

Nieraz w listach swoich o nim wspomina. Jego to też i wtedy miał na myśli, kiedy mówił o owem dwojgu dzieci, niezmięszanych w tłumie, w szkolnej sali obok siebie siedzących. Jednem z tych dzieci był to, jak już wiemy, sam Juliusz. Drugiem był ów jego przyjaciel. Imię mu było Ludwik.

»Włosy miał jasne, kolor oczu lazurowy
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody —
Trawił się. — Jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki, ławym kryształem pokryte,
I godzinami myśli w nieruchomość white,
Tonąc w otchłan marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty«¹⁾.

A zatem i Ludwika usposobienie nie było takie, jak reszty uczniów, których oni obydwa nazywali też — tłumem. Miało ono wiele podobieństwa do natury Juliusza, tylko że tu sentymentalizm już wyraźnie był chorobliwy. Kiedy bowiem młodszy przyjaciel, Juliusz, jako poeta snuł sobie rojenia jakieś napowietrzne i tylko w sferze idealnej: tymczasem »jego towarzysz większy nauką i laty«, odnosił się w swoich nieokreślonych cierpieniach duszy bezpośrednio do otaczającego go świata rzeczywistego, czyli jak się wyraża nasz autor, »nigdy od krain myśli nie odłamał życia, sprzągnął razem i powiązał dwa niezgodne światy«. Z czego atoli takie tylko wynikały następstwa, że

»Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy:
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Więc nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził i rzeczywistość zimna roztrącała«...²⁾

¹⁾ P. I. 19. ²⁾ P. I. 21.

Był to zatem najzupełniejszy werteryzm, czyli owato sentymentalna schorzałość i wycieńczenie ducha, które szczególnie Niemców za młodu nawiedza i które oni technicznym terminem zwykli nazywać Weltschmerz. — Młodzieńcem tym był Ludwik Spitznagel, syn Ferdynanda Spitznagla, profesora wileńskiego w fakultecie lekarskim. Rychły koniec jego życia był bardzo smutny, a nastąpił z przyczyn równie niedocieczonych, a przynajmniej nieokreślonych, jak i pośpność całego życia nie miała właściwie żadnego określonego powodu. Po ukończeniu szkół wileńskich Ludwik zapragnął słuchać »wieków tajemnicy wymówionej niepewną twarzą hieroglifów«, t. j. odbyć podróż na Wschód, zwłaszcza do Egiptu. To mu poddało myśl poświęcenia się służbie publicznej w zakresie dyplomacyi. Udał się przeto do Petersburga dla dokończenia nauk i przykładał się tam przez trzy lata szczególnie do orientalnych języków. Przygotowany wreszcie najzupełniej do rozpoczęcia karyery, jaką sobie sam obrał, przydzielony już do poselstwa jadącego w »piramid krainy« w charakterze dragomana tegoż poselstwa, zjechał jeszcze na Litwę, ażeby się pożegnać z rodziną i przyjaciółmi. — »Gdy przejeżdżał przez Wilno (są słowa poety naszego w jednym z odszukanych urywków jego Pamiętnika l. 6—8), znów odnowiła się nasza przyjaźń... Napisałem mu do sztambucha wiersze, które go zachwyciły i z tych cztery tylko pamiętam:

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje,
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie,
Ona ciebie przeniesie w te rodzinne kraje,
A mnie nad brzegi Nilu, w Afryki pustynie¹⁾.

¹⁾ Wiersz ten cały, wpisany do sztambucha pani Bécu, ogłosił L. Méyet w artykule p. t. „Sztambuch matki Juliusza Słowackiego“ (Ateneum Warsz. 1895. t. II).

»Odjechał nareszcie, wesół z otwierających się przed nim nadziei. Wojaż ten był jak początek romansu dla niego — ale myśl samobójstwa ulatywała nad nim. Przyjechał do Snowia (majątkości Rdułtowskich w Nowogrodzkiem, zaprzyjaźnionych z rodziną Ludwika), gdzie kochał się zapamiętałe w dwunastoletniej dziewczynie. Kilka dni przy tem dziecku przepędził — na koniec przyszedł dzień odjazdu, zaszyły konie pocztowe. Ludwik pożegnał się z kochanką, z ojcem kochanki, i żartując niby, rzekł do tego ostatniego: — »Czy wiesz, że ja podług Galla mam organ samobójstwa?« — »Być może, odpowiedział R., ale się pewno nie zabijesz«. — Ludwik wyszedł do pokoju, w którym mieszkał; po chwili usłyszano strzał z pistoletu; wpadłszy do pokoju ludzie, znaleźli go bez czucia, nieżywego; strzelił w serce. Mogiła jego na polu... Zostało mi po Ludwiku smutne wspomnienie; mam i chowam religijnie jego tłumaczenie poematu arabskiego pod tytułem »Szanfary«, lepsze daleko od tłumaczenia Mickiewicza (! pisał to Słowacki w Paryżu dnia 20 lipca 1832 roku). Kiedyś może napiszę życie tego młodego człowieka; był to kwiat piękny, który nie dał owocu. Wiersze jego w moim dziecięcym sztambuchu napisane, są piękne przecuciem i smutkiem. Oto są:

Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w drogiej przeszłości się stawiał,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknęła — jak przeszłość nie wróci¹⁾.

¹⁾ Te cztery wiersze wchodzią w skład Godziny Myśli, dosłownie powtórzone. (Wydanie lwowskie z roku 1885. tom I-szy str. 25).

Przytoczę tu jeszcze, co o Ludwiku Spitznaglu znajduje w notatkach mi udzielonych przez Eustachego Januszkiewicza: Bywałem u państwa Bécu i Spitznagłów, bo z Ludwikiem łączyła

skłonności. Trwał tedy przez czas jakiś pomiędzy nimi ten szczególny stosunek, to sprawiając w młodym malarzycielu zachwyty szczęścia, to go przejmując boleścią; to mu z ust wyrzucając wyrazy uwielbienia, to znówu gorzkie skargi i złorzeczenie. I w tej też chwiejności pomiędzy jedną ostatecznością a drugą widzimy go i w późniejszych jeszcze latach, czy to kiedy w listach do matki wspomina mimochodem o owych czasach i miejscach i stosunkach, czy kiedy je poetycznie maluje w *Godzinie Myśli*. W nader częstych wzmiankach listownych mówi zwykle o Ludwice tonem obrażonego, tonem niby obojętnym i chłodnym; ale widać ze wszystkiego, że tam zupełnie co innego kryło się na spodzie serca, jak sama tylko panięć — minionej przeszłości. W *Godzinie Myśli* zaś, pisanej w sześć albo pięć lat po czasie, gdzie się to działo, wspomina o tem w następujących wyrazach:

»Dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy-aniola: —
Czarnemi węgł oczyma patrzyła i bladła,
Myśląc o życiu dziecka; bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
Przeciwko własnej duszy i czezym chwilom ziemi.
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka złane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanej wyrazu...¹⁾

Ale rzeczywiście — zeznanej miłości pomiędzy nimi nie było. Skończyły się tedy te sny uroczę młodości rozejściem się obojga, każdego w inną stronę. Juliusz poszedł w swoją z uczuciem zranionej dumy, cały zgorzkniały, z byronicznem rozczarowaniem i zwątpieniem o wszystkim. Rozczarowanie to, nie mając żadnego rzetelnego powodu i przypadając na wiek bardzo wczesny, możeby jako prosty tylko objaw niedojrzałości moralnej, nie zasługiwało weale na wzmiankę w biografii autora *Balladyny*, gdybyśmy go i w kilka jeszcze lat później, już na emigracyi, nie widzieli patrzącego na te rzeczy ciągle pod wpływem tychże samych ujemnych usposobień. Tak n. p. powiada, że po owej rozmowie stanowczej, która koniec położyła wszystkiemu pomiędzy nimi, »upał błądą twarzą do ziemi, jak zabity słowami, dumnym wstydem drżący, gdyż miał już wtedy dumę wielkiego człowieka«...

...»Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świećta okrzykiem ludzi: a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łanała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem...
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało —
I nie było w nim wiary w szczęście ani w Boga;
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga!
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny;
Ta budowa ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom, lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielec szatani Miliona,
Zmniejszyć się i myślami przybrać karłów postać...¹⁾

Gdyby teraz, obok tej tak posępnej barwy wewnętrznych dziejów młodości Słowackiego, postawić obraz rzeczywistych stosunków, w jakich wzrastał i wśród których przebiegał szkoły wileńskie: okazałby się zaprawdę kontrast niemały pomiędzy wymarzonemi cierpieniami tego złamanego serca, a istotną dolą, jakiej zażywał!

Rzeczywiście bowiem zewnętrzne powodzenie młodego byronisty było jedno z najszcześniejszych. Nie zbywało mu na niczem. Wszystkie jego potrzeby opatrzywała matka, odgadując najskrytsze życzenia jednaka. Nie zaznał, co to sieroctwo, co to życie pośród obcych, co to samotność i tęsknota za domem rodzicielskim, co to wreszcie niedostatek... Miał rodzeństwo przybrane, które go kochało, jak rodzzonego brata i żył sobie najszcześniejszemu w otoczeniu swoim codziennem. Na łonie miłującej, dobrej matki dano mu było przepędzić cały życia poranek. Co się tyczy wychowania — i tutaj czuwano opatrnie i troskliwie nad wszystkim. Czego go nie uczono w szkołach publicznych, to mu było udzielane zapomocą lekcji prywatnych. Środków na to wszystko było w tym domu dostatkiem. Uczył się muzyki; dawano mu lekcje języka angielskiego, rysunku, tańca; malował, — miał książek ile tylko chciał i jakich tylko żądał. W szkołach otaczało go grono miłych towarzyszy, pomiędzy którymi był liczony do celujących. Wakacje spędzał rokrocznie na wsi, albo w Wierchówce, majątności znajomych matki państwa Michalskich, albo w rozkosznych Mickunach, położonych nad Wilejką niezbyt daleko od Wilna. Była to majątność krewnych jego ojczyma, doktora Bécu. Z jakąż lubością, jakże tęsknie rozpamiętywał nieraz Słowacki w listach do matki pisanych w późniejszym życiu, o tych cudnych okolicach, o tej upajającej woni lasów sosnowych, o kwiatach polnych i łąkach zielo-

nych owej ukochanej wioski litewskiej, w której mu lotem błyskawicy w takiej swobodzie duszy ubiegały wakacje!... Gdyby, powtarzam, porównać więc młodość jego z losem na przykład Brodzińskiego... Kiedy Brodziński był jeszcze drobnem dzieckiem, srodze poniewierała go macocha. Ojciec o niego nie dbał wcale, tak iż tylko chyba w czeladnicy pomiędzy służbą, albo na wsi pomiędzy dzieciakami wiejskimi był dla niego jakiś przytułek. Kiedy się już chłopcem podniósł nieco od ziemi, bito go w szkółce parafialnej różgami, za to że sobie z owym nieszczęśliwym katechizmem niemieckim nie umiał nigdy dać rady. Kiedy chodził do gimnazjum, morzono go głodem, bo go niedbały i niezadowolony ojciec na stancyi zawsze najniefortunniej umieszczał. A w wyższych klasach morzono go znowu innym głodem — głodem duchowym! Bo zabraniano mu pod najsurowszą karą wszelkich książek nieobjętych w ciasnym ówczesnym regulaminie szkolnym: a to, czego dozwolano, takie było jałowe, tak dalekie od wszystkiego, czego serce pragnęło, że naprzykład dzieła Kochanowskiego już były kontrabandą, za którą trzeba było odsiadywać koź... Żył więc ciągle w niedostatku, biedzie, poniewierce — w upokorzeniu i sieroctwie... Nie znał, co to uścisk rodzicielski, co to kierunek życzliwej ręki, co to pragnienie — najskromniejsze, najszlachetniejsze, a zaspokojone! Wzrastał jak ta płonka polna, wystawiona bez opieki na wszelkie słoty i wiatry. Do wysokości tego wszystkiego, w co Słowacki codziennie opływał, Brodziński się nie wznosił ani marzeniem! A przecież — miał i autor Wiesława dosyć tej tkliwości serca i tej żywej wyobraźni, ażeby czuć boleśnie, w jakich żyje stosunkach!...

W roku 1824 dnia 26 września nawiedziło dom rodziców Juliusza nieszczęście: ojczym jego, profesor Bécu, wśród dziwnego zbiegu okoliczności uderzony

piorunem, zakończył życie¹⁾. Smutny ten wypadek nie wywarł jednak zbyt niekorzystnych następstw na dalszą dolę 15-letniego już natenczas jego pasierba, ani też na los żony i córek zmarłego. Pozostały bowiem majątek wystarczał dostatecznie na przyzwoite utrzymanie całej rodziny: a opieka troskliwej matki sprawiała, że brak głowy domu czuć się dotkliwie nie dawał. Szło więc i potem wszystko swoim trybem, prawie równie pomyślnie, jak przedtem. Po skończeniu gimnazjum przeszedł Juliusz do uniwersytetu i zapisał się na wydział nauk moralnych i politycznych. Jego siostry powychodziły za mąż. A pani Bécu, chociaż jej od czasu śmierci męża z wielu przyczyn bardzo posmutniało na Litwie, a wielce ją ciągnął ku sobie rodzicielski domek w Krzemieńcu, mieszkając jednak i nadal w Wilnie przez cały czas studiów syna uniwersyteckich, ażeby go tam nie pozostawiać samego. Jego ciągnęła słabowitość i ta niewprawa w radzeniu o samym sobie, która mu już była wrodzoną, wiązały ją do miejsca.

Zresztą w roku 1827 odbył Słowacki podczas wakacji uniwersyteckich podróż kilkomiesięczną nad morze Czarne, do Odessy. Odbył ją już to dla rozrywki i rozłagnienia, już ażeby użyć kąpeli morskich, polecanych mu przez lekarzy z powodu jakichś dolegliwości piersiowych. Pokrzepiony na siłach, powrócił potem jeszcze do Wilna, ażeby dokończyć nauk w wydziale prawniczym, chociaż nie zdaje się, żeby był wtedy zamierzał obrać sobie jaki zawód, któryby wymagał studiów akademickich uwieńczonych egzaminami albo patentem doktorskim. Jeszcze i następnego roku pisał list do stryja Erazma Słowackiego, adwokata w Żytomierzu i właściciela dóbr w okolicy (ogłoszono list ten

¹⁾ Nekrolog A. Bécu umieścił „Dziennik Wileński“ (1824 Nr. 8 t. II str. 481—3).

w warszawskiej Gazecie Codziennej 1860 roku nr. 22), w którym o dalszych planach swoich w niepewności przemawia, to skłaniając się myślą ku projektom kilkoletniej razem z matką podróży do Włoch, w którym to kraju możeby i na stałe zamieszkali, to znowu mówiąc o nabyciu jakiej wsi na Wołyniu w okolicy Krzemieńca, z którego biblioteki licealnej spodziewał się korzystać, jeżeliby miał jaki stały pobyt w pobliżu.¹⁾

W roku 1828 ukończył wreszcie studia akademickie. Przyszło mu pożegnać teraz Ludwikę i Wilno, które to miasto, w ciągłej i wtedy jeszcze niepewności co do dalszego losu swojego, na razie zamienić miał na Krzemieniec, dopóki mu tu zgromadzona cała rodzina nie wskazała wspólną radą owej drogi żywota, której sam znaleźć, odgadnąć nie umiał. Żyli tam jeszcze — w Krzemieńcu samym — oboje sędziwi rodzice matki Juliusza. Jej bracia, Jan i Teofil Januszewscy, mieli także tam na Wołyniu niedaleko od Krzemieńca swoje majątki. Jednego z nich, Teofila, była żoną od niejakiego już czasu młodszą pasierbica pani Bécu, Hersylia. Tak więc cała prawie rodzina Słowackiego była już wtedy w tamtych stronach osiadłą, a nawet i matka jego na kilka tygodni przed egzaminami syna podążyła na Wołyn, by się nacieszyć jak najdłużej towarzystwem rodziców, z którymi (jeżeli jej

¹⁾ O tych planach Julka pisze również jego matka w listach do Odyńca. (Przewodnik str. 1256). Nadto nader charakterystycznym w tej sprawie jest ustęp z listu Aleksandry Bécu do Odyńca (Wilno 28 listopada 1828 — Przewodnik str. 1294), w którym ona pisze: „Biedna mama!... gdzież są dla niej jakie pociechy. Julek... martwić ją prędzej może. Biedna mama, ona nie była szczęśliwa. Już podobno projekt osiadania na wsi nie przyjdzie do skutku, było to zachcenie Julka, ale temu się jeszcze dwoi w oczach, on na tej wsi widział jakieś spokojne szczęście, a znalazłby istotne nudy, któreby go do reszty skwasily. Ja jestem za tem ażeby jechał za granicę, bo to potrzebne do jego zdrowia.

przyszło wyjechać razem z Juliuszem w jakie strony dalekie, jak sobie w myśli roiła) rozstać się znowu miała na przeciąg czasu może długi, w każdym razie nieokreślony.¹⁾

Ostatni swój dzień studencki i uczucia, z jakimi Wilno porzucał, opisał nasz młody poeta w Pamiętniku swoim, w cztery lata później, lecz pod wpływem tych samych jeszcze wrażeń kreslonym, następującemi słowami:

Upływał czerwiec (1828), »egzamina się zbliżały, i przepowiadano powszechnie w uniwersytecie, że wezmę premium.

»W dniu, kiedy przysądzono premium, zdarzyło się tak, że Lud(wika) z ojcem (Jędrzejem Śniadeckim) już na wieś na całe lato odjeżdżała... zostawiłem więc myśl o premium, którego przysądzenia pewny byłem i poszedłem ją pożegnać... Dzień ten był dla mnie dniem piekielnym, zapewne w życiu drugiego takiego nie będzie. Poszedłem o 3 popołudniu do Śn(iadeckich), zastałem ją razem z innymi osobami — powiedziałem sobie, że na twarzy żadnego wzruszenia nie ukażę... Pamiętam, jak dano lody; z filiżanką w ręku oboje staliśmy w oknie; wszyscy byli daleko... Milcząc oboje patrzaliśmy na ulicę — potem kilka słów obojętnych... chciała mi wmówić, że się zobaczymy...

»I już zajęchały powozy... pocałowałem ją lekko w rękę i powiedziałem: nie zobaczymy się nigdy może... czułem, że zachwiałem się na nogach... Wkrótce odzyskałem zmysły, rozsądek, dumę — i nie podałem jej nawet ręki, kiedy wsiadała do koczka. Konie ruszyły — wyszedłem na ulicę i patrzałem za odchodzącym powozem; widziałem jeszcze woal od jej kapelusza* — potem powóz

¹⁾ Do tych ostatnich miesięcy pobytu Słowackiego w Wilnie odnieść należy dwa, błahej treści listy jego bez daty, pisane do Aleksandry Bécu; ogłoszone są w „Księdze pamiątkowej na uczczenie setnej rocznicy urodzin A. Mickiewicza.“ Warszawa T. I str. 267 i 8.

się na chwilę zatrzymał, zapewne dla poprawienia upręczy... i znów ruszył dalej — zniknął i wszystko...

»Wracałem do domu ponury, w oknie zobaczyłem Domańskich; gdybym wziął premium, wybiegliby, uśmiechałoby się do mnie — oni siedzieli nieruchomi... Któż wziął premium? zapytałem, wchodząc, obojętnie. Powiedzieli mi, że Korewickiego¹⁾ i innych niższych profesorów intrygi zrobiły to, że się nagroda komu innemu dostała — ja zaś wziąłem pierwszy accessit. Nie nie odpowiedziałem Domańskim i wybiegłem na Bulwary... chodziłem długo, byłem aż pod Antokolem... z rozżarzoną twarzą... a kiedy wróciłem do domu, zasnąłem się w pokoju i wtenczas płakałem. Wtenczas przysiągłem, że do Wilna nigdy więcej nie wrócę...

»Lecz może dobrze, że to drugie nieszczęście uwagę moją nieco od pierwszego odwróciło... inaczej... możebym był nie został na świecie; ale myśl, że śmierć moją przypisywanoby zawiedzionej nadziei szkolnej, wstrzymała mnie.

»W kilka dni potem wyjechałem do Krzemieńca z Beaupré doktorem, moim kolegą... w Jaszunach zastaliśmy tylko Balińskiego i Jana Śniadeckiego; cieszyło mnie, że ten ostatni traktował mnie już jako człowieka, był grzecznym i u stołu mnie pierwszemu podawano półmiski. Jest to rzecz mało znacząca, ale to tak charakteryzowało moje wyjście z dzieciństwa, że mi się wraziło w pamięć.

„Lecz te Jaszuny, ten sam stół, gdzie miesiącami trzema wprzód przy niej siedziałem, teraz pusty i tylko przy nim nas czterech... Było to tak smutne! Oglądałem się mimowolnie na ściany — potem wszedłem do pokoju, gdzieśmy z nią tyle razy gadali lub czytali — usiadłem na tej samej białej sofie. Potem wróciłem do ludzi — pożegnałem się czule z Janem Śn(iadeckim) i z Balińskim

¹⁾ Korewicki właściwie Korowicki Aleksander, był profesorem prawa rosyjskiego w uniwersytecie — podobno dosyć lubionym.

i pojechaliśmy. Każdy idzie w swoją drogę.... jak mówi Mickiewicz. Moja otwierała się przedemną smutna, pozbawiona wszystkiego.

„W kilka dni potem byłem w objęciach mojej matki.

...., Tak się kończy pierwsza część mojego życia. Mam dopiero przy wyjściu z uniwersytetu rok 19, a jednak zdaje mi się, że już tak długo żyłem. Świat uczuć zniknął dla mnie i przez kilka następujących lat żyłem w innym świecie poezji — w przeszłości.... i tych czasów pamiętnik będzie tylko prawie historią rozwijania się i formowania poezji, które pisałem ¹⁾.

W Krzemieńcu i na Wołyniu przeciągnął się pobyt Juliusza aż do lutego roku 1829 ²⁾. Przez to całe krzemienieckie więcej aniżeli półrocze, usposobienie poety było czegoś ponure. Jego melancholiczne pragnienia, z których sam nie byłby pewnie umiał zdać sobie dokładnej sprawy, jego bierna zaduma w sobie, obojętność na tok życia zewnętrzny, bezporadność i niedbałość o przyszłość, wszystko to trapiło matkę. Zdarzały się między nimi chwile jakiegoś wzajemnego niezadowolenia, których refleks odbija się nawet w wspomnieniu owych krzemienieckich miesięcy, zapisaniem w pamiętniku parę lat później. Oto, co mówi o tem w rozdziale tego pamiętnika XIV:

...., Mieszkalem przy matce mojej w Krzemieńcu jakoby dla odpoczynienia po pracach uniwersyteckich. Prace te były bardzo lekkie dla mnie, i można powiedzieć, że dopiero po wyjściu z uniwersytetu zacząłem pracować, czytać dla nabrania wiadomości. Mackdonald w Krzemieńcu zaczął mi dawać lekcye angielskiego języka, bo w całym Wilnie nie było nikogo, od którego by się po angielsku nauczyć; profesor dający ten język w uniwersytecie tak da-

¹⁾ Listy Słow. I str. 14—18.

²⁾ Na te czasy przypada znajomość jego z Józefem Korzeniowskim, który od r. 1824 stale mieszkał w Krzemieńcu.

wał, że sami Anglicy nie poznaliby, jakim on mówił językiem. Mackdonald dziwił się nad moim postępiem — we trzy miesiące już dosyć rozumiałem Byrona. Wziąłem się także do malarstwa i olejno po całych dniach malowałem pejzaże. Pierwsza z tych prac, poranek mglisty na morzu, znajduje się u mojej matki. Ile razy jednak wstawałem od tych zatrudnień, byłem smutny i posępny; dręczyła mnie nadewszystko moja matka, zawsze płacząca. Było to skutkiem jej ciągle trwającej słabości; ta osłabiwszy jej fizyczne siły, dała nad niemi przewagę imaginacyi, karmionej ciągle czytany mi romansami.

Matka moja od dzieciństwa nigdy się nie zajmowała żadną kobiecą pracą i nauczywszy się po francusku, znała w tym języku mnóstwo dzieł, które czytała ciągle.... stąd miała wiele wiadomości — w towarzystwie jej rozmowa była interesującą, lecz nie tchnęła sawanterią, bo matka zapominała książki, które czytała, nie mogła więc robić cytacyj; ale koloryt tych książek różnych, smutnych lub wesołych, przydawał ciągle nowy wdzięk do jej rozmów — tworzyła nieznacznie sobie z tysiąca myśli przeczytanych i zapomnianych nową myśl. Miała dar bawienia zebranego u siebie towarzystwa i postawienia każdej osoby w jak najkorzystniejszym świetle; stąd każdy z naszego domu kontent z siebie wychodził. — Matka moja exaltowana rola sobie ciągle, że skoro ja skończę nauki, to ze mną na wojaz wyjedzie. Ta myśl jej była dla mnie nie miłą, bo, jak mówiłem już, kochając się w Ludwisi, utworzyłem sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohaterów powieści Byrona, stąd myśląc o wojażu, myślałem o nim zawsze jako o poetycznej pustyni, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzuconym będę. Wszystkie zaś poetyczność zniknęła, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką. Byłbym wtenczas jak dobrodusza osoba odprowadzająca świętą pielgrzymkę — nie nadspodziewanego, nie dzikiego w mojem życiu.... Matka wymagała odemnie ciągłej otwartości i zwierzania się....

to być nie mogło.... Wymagała tego odemnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i żyć pożerać w milczeniu, stąd ciągle jej skargi i nudzący mnie płacz — i wychowany między kobietami, pragnąłem jak najprędzej z rąk ich się wyrwać i być samotnym. Matkom trzeba by wmówić tę prawdziwą maxymę, że wszystko co one starań dają swoim dzieciom, dzieci nie im samym, ale swoim kiedyś dzieciom oddawać powinny. Jest to dług zaciągnięty od rodziców, a dzieciom wypłacany. Stąd uważałem, że kochani niegdyś przez rodziców ludzie najwięcej dzieci swoje kochają....

»Nudziłem się bardzo przez to całe pół roku w Krzemieńcu, przez całe wieczory chodziłem po osobnym pokoju — i myślałem.... Marzyła mi się wtenczas jakaś tragedia o Mahomecie. Chciałem go wystawić zakochanego w córce swojej Fatymie, tak jak to nam historia opowiada: zazdrość Aishy, jego żony, przywiązanie Alego do Fatimy, miało stanowić intrygę. Mahometa miałem wystawić w guście Fausta lub Manfreda, rozmawiającego z duchami. Miałem go wystawić w paroxyzmie słabości czyli choroby, którą cierpiał i udawał, że z duchami rozmawia. O takiej to tragedyi, niepodobnej do wykonania dla 19-letniego chłopca, marzyłem i wszystkie jej części rozwijały się w mojej imaginacyi.

»Matka moja żądała, abym robił cywilną karierę w Warszawie w którym z biur. Czułem, że ja nigdy nie stanę na wysokim stopniu hierarchii cywilnej¹⁾«.

Powyższy przydłuższy ustęp, we wszystkich swoich częściach marzycielowi naszemu wcale i pod za-

dym względem nie czyni zaszczytu. To jedno go tylko łagodzi, że był to wyraz jakiegoś chwilowego i chorobliwego wtedy jego usposobienia. A raczej było to usposobienie rozpieszczonego dziecka. Dalsze życie ukaże go nam w innym stosunku do matki, i będzie on w późniejszych swoich zwierzeniach sądził o niej zgoła inaczej! W owych czasach zaslepiła go melancholia i źle zrozumiany byronizm. — Położenie tamto: czesne matki i syna, po odczytaniu tego opowiadania, stawia nam się przed oczyma zupełnie jasno. Matka pragnęła jedynaka swego widzieć przystępującego niezwłocznie do jakiego praktycznego zawodu — albo chciała mu umilić ten twardej rzeczywistej pracy początek podróży jaką w kraje dalekie w jej towarzystwie, której nadzieją i sama się zdawna cieszyła. Sądzę, że nie były to bynajmniej tak niepraktyczne i nieuprawnione rojenia, jak je tu Juliusz przedstawia. On przeciwnie do mozolnej pracy w biurze nie czuł w sobie żadnej ochoty — a jeżeli miał podróżować, to chyba już »poetycznie!« A ta jego poetyczność migała mu przed oczyma w ciemnych barwach samotnych pustyni i desperackich byronowskich postaci. Matka chciała, żeby jej Julek zaczął myśleć nad sobą. — Julek w samotnych pokojach wołał marzyć o Mahomecie. A ponieważ na dobitkę zamykał w sobie przyczyny, dla czego tego wszystkiego nie chce, czego matka pragnęła i przeciwstawiał jej projektom — nie swoje własne życzenia, ale samą tylko negacyą tamtych: więc nie dziw, że matka nie wiedziała, co o nim myśleć i łzami się zalewała....

Koniec końcem, wola matki przemogła i choć Juliusz, jak się wyraża, przeczuwał, że nigdy na wysokim stopniu hierarchii cywilnej nie stanie: jednak »dla dogodzenia matce, wchodził w jej myśl i wkrótce jego wyjazd do Warszawy został postanowiony«.

¹⁾ L. I, 20—22. — Z Krzemieńca wysłał Słowacki dwa listy do Aleksandry Bécu (2 listopada 1828 i 14 stycznia 1829); do drugiego dołączył list do Jana Śniadeckiego z prośbą o danie mu potrzebnych rad i listów rekomendacyjnych do Warszawy. Głównie chodziło mu o listy do Czartoryskiego i Lubeckiego, ministra. (Księga pamiątkowa ku uczczeniu 100-tnej rocznicy urodzin Mickiewicza, str. 268 i 269.)

Jakoż wyjechał z Krzemieńca dnia 15 l. 1829 roku i we dwa dni stanął w Warszawie.

...»Jak tylko zajechałem do oficera Steina, szukającego za miastem, przebrałem się, wziętem list znajomego mi dobrze Odyńca i wyszedłem na miast (Tam zdarzyła mu się zaraz niemila, choć nieszkodliwa przygoda, którą uważał za niedobrą wróżbę swego pol w tem mieście — sanki, któremi jechał, zderżyły z końmi rozhlukanymi, zaprzężonymi do jakiegoś drugiego powozu). »Wsiadłszy do innych sanek, szczęśliwie zajechałem do Odyńca, — poznał mnie z Hrehorowiczem, uradnikiem komisji skarbu, Litwinem, i u tego przez 2 miesiące mieszkalem. Wszedłem do biura, zająłem się nudną finansową pracą i przy zielonym stoliku Komisji skarbu większą część dnia przepędzałem. Pamiętam, że miewtenczas jakaś rozpacz ogarnęła: zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tem biurze pracować¹⁾».

Ministrem skarbu w ówczesnem Królestwie Polskiem był książę Lubecki. Pod jego to zatem sterem zaczął Juliusz urzędowanie, na razie jako bezpłatny aplikant²⁾. Książę, gdy mu się przedstawił, przyjął go

¹⁾ Listy Słow. I. str. 22.

²⁾ Wład. Sabowski w artykule p. t. „Aplikacya J. Słowackiego“ (Kraj Petersb. 1886 Nr. 49) podał tekst podania o pracę; brzmi ono jak następuje:

„Skończywszy kurs nauk w Uniwersytecie wileńskim i uzyskawszy właściwy stopień, zamierzylem poświęcić się służbie publicznej. W tym celu więc ośmielam się prosić J. O. ks. Minist. aby mię łaskawie w sekretaryacie biura swego umieścić raczył w Warszawie dnia 26 marca 1829 roku. Juliusz Słowacki.“

Podanie to załatwiono przychylnie i w dni cztery nadeszła rezolucya podpisana przez ks. Lubeckiego — „dozwalająca p. Słowackiemu bezpłatnej aplikacyi w komisji, w biurze sekretarj^{druga} generalnego, z tem zastrzeżeniem, że stosownie do istniejących przepisów, dopiero po dwóch latach aplikacyi wolno mu będzie starać się o posadę etatową“.

O swej pracy w biurze tak pisał Słowacki do Aleksandry Bécu: Chciałaś wiedzieć, kochana Olesiu, jak mi się w mojem

rze i był już korzystnie uprzedzony co do jego osoby. Przyobiegał mu swoją protekcją, i w rzeczy samej okazywał się zawsze dla Słowackiego życzliwym. Sekretarz biura, do którego przydzielono poetę, nazywał się Miniewski, »który mnie zaraz od innych warszawczyków odróżnił i dawał mi uczuć, że mnie za najzdolniejszego uważał«. Bezpośredniego zaś naczelnika swojego miał Słowacki w osobie Dominika Lisieckiego, znanego w literaturze tamtoczesnej pisarza nieźle dokonanych tłumaczeń niektórych autorów francuskich. Był to zwolennik klasycyzmu, mianowicie wielki miłośnik Kornela i Woltera, którychto właśnie w latach młodszych przekładał, ale miał zmysł i dla nowszych pojawów literatury. Zaczem poszło, że spotykał i Lamartina utwory niektóre, a wreszcie i inne rzeczy, n. p. Nieszpory Sycylijskie Delavignego. Ta życzliwa dyrektora wydziału ułatwiła Juliuszowi serdeczniejsze zbliżenie się do niego. Zawiązały się tedy między nimi przyjacielskie stosunki, tyle pożądane dla niedoświadczonego młodzieńca, rzuconego w sam wir nieznanego mu świata i obcych zgoda żywiołów. Za jedną znajomością poszły i drugie. O Odyńcu, najomym mu z wileńskich jeszcze czasów, jużśmy wyżej wspomnieli. Odyńca bawił wtedy od lat już w Warszawie; jako poeta zażywał pewnej wziętości, dawszy się poznać publiczności z rozmaitych wierszy i ballad, których zbiór we dwóch tomach był wydany jeszcze roku 1825. Jego Izora także już wtedy była znaną — wyszła w roku 1829. Za pośrednictwem Odyńca poznał się Juliusz z Se-

biurze powodzi, donoszę Ci, że dotąd bardzo dobrze, praca moja choć niebardzo uciążliwa, bynajmniej nie jest machinalną, owszem użyty byłem przez moich naczelników do zdania sprawy z kilku dosyć trudnych i dawniejszych epok interesów i zdaje mi się, że z nich byli kontenci.

werynem Goszezyńskim, Maurycem Mochnackim i Stefanem Witwickim¹⁾; nie wszyscy jednak przypadli mu jakoś do serca — przynajmniej o Witwickim zawsze w latach późniejszych wspominał z lekceważeniem i w sposób, który przekonywa, że go nie lubił. W Warszawie również znalazł Juliusz sposobność zbliżenia się do Brodzińskiego: niepewną zaś jest rzeczą, czy się widywali z Lelewelem, choć go dobrze znać musiał z wileńskich jeszcze czasów.

Najwięcej wrażenia sprawił na nim Niemcewicz, sędziwy patriarchy pomiędzy całą ówczesną inteligencją warszawską, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk., jeden z najpopularniejszych ludzi nie tylko w stolicy, ale i w całym narodzie. Złożył mu Słowacki pierwszą swoją wizytę w jego wiejskim mieszkaniu w Ursynowie, małej pod samą Warszawą wioseczce, która, jak wiadomo, była aż do roku 1831 Niemcewicza własnością i jemu też zawdzięczała tę nową swoją nazwę. Zawiózł tam Juliusza do niego hr. Tomasz Potocki. Było to w miesiącu wrześniu 1830 roku. Ponieważ to

¹⁾ Witwicki po wyjeździe Odyńca z Warszawy zajmował się drukiem II-go tomu noworocznika „Melitele“ (1830) i wydrukował w nim na swoją odpowiedzialność „Huga“ Słowackiego; był to pierwszy występ w druku poety. Utwór ukazał się bez podpisu. Również Witwicki zapoznał Słowackiego z Bohdanem Zaleskim, który w korespondencji, ogłoszonej przez syna w „Przewodniku nauk. i liter.“ w l. 1899—1900, wśród listów z r. 1844 pisanych do pani Konstancyi Tomaszewskiej, taką daje o Słowackim notatkę: „Z Juliuszem Słowackim zaznał się u Stefana Witwickiego w Warszawie pod jesień 1829 r. Był wtedy młodziuchny, bardzo ładny i entuzjasta. Czytał nam z ogniem swoje poezye i rękopisy zostawił dla poczynienia uwag. Ja wkrótce wyjechałem na prowincję na kilka miesięcy.

W r. 1830 widywaliśmy się z sobą często u znajomych, w ogrodach publicznych, w aleach, kędy literaci schodzili się gromadnie. Juliusz żył całkiem w świecie poetyckim, śnił jeno o wierszach. My starsi śniliśmy już o czem innem“.

pierwsze zbliżenie swoje do czcigodnego starca sam on szczegółowo matce w dni kilka potem listownie opisał list ten do matki — jedyny z przedemigracyjnych czasów¹⁾ — odszukany został pomiędzy papierami poety, miło więc pewnie będzie czytelnikom moim odczytać tu dosłownie z niego cały ustęp, dotyczący rzeczzonej okoliczności.

...»W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz, kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin; wymówiłem się z tem przed jednym z moich znajomych, i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach; przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przypijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejsce. Wino-grona, kawony, melony Wołyn mi przypominały i jeszcze bardziej dopomagały illuzji. W kilka dni potem, jednego poranku przyjechał do mnie Potocki, prosząc żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioseczki Niemcewicza; muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ursynów leży o małą milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka, jesienna, pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym. Narazie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już było dom poety; nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed ganikiem. Podobnie więc jak Lubańska do Częstochowy, zbli-

¹⁾ Data: Warszawa d. 15 września 1830 środa.

żaliśmy się pieszko z sercem skruszonym; przywitał nas dosyć obojętnie, ułożył mi jakiś na prędce komplement, którego przyjął z uśmiechem; zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał, szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła. — »Panie Hrabio, rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach, ja się muszę tymczasem przebrać«. To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodząc po ogrodzie.

»Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny; w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez skromność. Usiadłem w altanie. Potocki stał nademną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, zapytał mnie o przyczynę. »Myślę — odpowiedziałem mu — iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie!«

»Wtem lokaj przystany od Starego zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń!... Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie małe dziewczynki. Są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mi mówiła: »Pan jesteś tak głupi, jak ja« — a stary z uśmie-

chem przyjmował ten grzeczny komplement. — Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę, kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: »kto jesteś?« — »żona Panowa«. Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedji *Mindowe*; na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiej sceny, w której *Mindowe* zrywa z Krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę; patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć, a oczy ma szare, przenikliwe i wielkimi najeżone brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: »Ach! czemuż tej tragedji grać nie można!« Ten wykrzyknik bardziej mnie pochwilił, niż wszystkie potem dawane pochwały. — Czytałem dalej, słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: »Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma«. Potem dodał: »Przepisz pan tę tragedję na kilka rąk; warto niech czeka szczęśliwszych czasów!... chciałbym ją całą czytać... Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: — »Cieszę się, iż poznałem tak zanego młodzieńca«. — Prawda, jak to po staropolsku ¹⁾.

Z powyższego listu wynika, że miał tedy Juliusz i w Warszawie przyjaciół, którzy mu dawali serdeczne dowody życzliwości, i że zdarzały się chwile, które go przenikały uczuciem szczęścia. Jednak wogóle stolica nie podobawa się naszemu pocięciu. Zrażało go do Warszawy szczególniejsze to, iż przywykły do pię-

¹⁾ L. I. 30—32.

knych okolic Wilna i Krzemieńca, tutaj już nie znajdował nic podobnego. Często o tem w późniejszych nawet listach wspominał. Dla zwyczajnego człowieka takie względy są obojętne — w oczach poety ma to ważność nie małą. Prócz tego nie mógł też Słowacki zasmakować w tej suchej biurowej robocie, która z obowiązku miała stanowić pierwszorzędną jego zajęcie, zwłaszcza że go później zaprzętało samymi prawie pracami mechanicznymi, t. j. kazano po prostu przepisywać. Drażliwy umysł Juliusza przyjmował to jako umyślne upośledzenie, które miało być następstwem jego niedość dostojnego położenia towarzyskiego. Uważał zaś to sobie za tem dotkliwszą krzywdę, że wszakże pracował w biurze równie bezpłatnie, jak ci wszyscy, którzy byli protegowani... — »Mój wielki niegdyś protektor — mówi uszczypliwie o księciu Lubeckim w jednym z późniejszych listów¹⁾ — zaraz mi chciał dać pensyą: nie przyjąłem jej; cóż to pomogło? byli tam hrabiowie — ja przepisywałem!... Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem²⁾«....

Tymczasem nadeszła jesień 1830 roku, a z nią i koniec listopada, i wypadki listopadowe. Wywarły one zaraz w najpierwszej chwili na Słowackim wstrzą-

¹⁾ W liście do matki z d. 6 lipca 1831 r. Drezno. (I. 45.)

²⁾ O wystąpieniu Słowackiego z biura podaje Sabowski następującą wiadomość. Oto w dniu 10 stycznia 1831 referent sekcji wypłat w Komisji skarbu, Krasuski, złożył raport dyrektorowi jeneralnemu, referendarzowi Ostrowskiemu, „że p. Juliusz Słowacki oświadczył mu w dniu wczorajszym, iż odebrał inne przeznaczenie i że dlatego opuścić sekcję zamierzył. Z poruczonych mu do załatwienia czynności nie odrobił jedynie pięciu numerów.“

Być może, iż tem nowem przeznaczeniem była chęć wstąpienia do wojska.

Siedm listów Słowackiego pisanych z Warszawy do Aleksandry Bécu (Księga pamiątkowa A. M. Warszawa str. 269—81) nie przyznoszą żadnych, ważniejszych szczegółów nowych.

sające wrażenie. Dał się porwać tym entuzjazmem, który całą ówczesną ludność stolicy, a mianowicie młodzież ogarnął. Wyrazem tego usposobienia było kilka lirycznych jego utworów, jako to: *Oda do Wolności*, *Hymn do Bogarodzicy*, *Kulik*, wreszcie *Pieśń Legionu litewskiego*, które tak ściśle rymowały z powszechnym zapalem w chwilach owych pamiętnych¹⁾. Obiegając w licznych odpisach, podawane z rąk do rąk — one to dopiero rozślawiły w szerszych kołach imię nowego poety, którego talent znali przedtem najbliżsi tylko znajomi. Ogłaszane w pismach peryodycznych, a niektóre drukowane i w oso-

¹⁾ Hymn ukazał się po raz pierwszy w druku w „Kuryerze polskim“ (Warszawa 7 grudnia 1830 nr. 354); następnie przedrukowały go następujące pisma: „Kurjer lubelski“ (9 grudnia 1830 nr. 3), „Gazeta warszawska“ (grudzień 1830 nr. 325), „Bard oswobodzonej Polski“ (Warszawa 1830 nr. 3), „Szczerebiec“ (Warszawa 1831 styczeń nr. 1) i „Nowa Polska“ (Warszawa 1831 z d. 17 stycznia nr. 13). W roku 1831 ukazał się Hymn w Krakowie, ułożony do śpiewu z muzyką Amalii Fritsche; wreszcie w r. 1832 przedrukował go Antoni Starzyński w „Bardzie nadwiślańskim“, wyd. w Avignionie.

Obok tych przedruków w czasopismach wydał Słowacki swój Hymn osobno, razem z „Odą do wolności“ (Warszawa, w drukarni stereotypowej przy ul. Królewskiej w pałacu Dembowskich Nr. 1065, roku 1830 w 4-ce str. 8 i 2 nlb.).

Zaraz po Nowym roku ukazał się jako osobna broszura „Kulik Polaków“ (Warszawa 1831 w 8-ce str. 8 nlb.).

Wreszcie Estreicher w swej bibliografii (T. IV) wymienia jako osobny druk „*Pieśń Legionu litewsko-ruskiego*“ (Warszawa 1831.)

Ciekawą jest notatka własnoręczna poety o tych pierwszych wydawnictwach; podał ją nieznajomy autor w korespondencji z Brukseli umieszczonej w „Kłosach“ (Warsz. 1866 nr. 32.) „Wydatki i przychody z dzieł moich. Za wydrukowanie „Bogarodzicy“ zapłaciłem 200 złp. Wypłacili mi księgarze: Gałęzowski, Zawadzki i Węcki, Merzbach, Hugues i Kermen, Brzezina i Kenkel razem wszyscy złp. 144. Straciłem na „Bogarodzicy“ złp. 56. Za wydrukowanie „Kulika“ (!) zapłaciłem złp. 263. Wypłacili mi powyżsi księgarze oraz biuro informacyjne złp. 163. Straciłem na „Kuliku“ złp. 100.

nych broszurach — pieśni te stawiały Słowackiego wobec całego kraju w szeregu idących przodem, powołujących cały naród do czynu....

Po upływie atoli pierwszych tygodni listopadowego powstania, zaczęły owe pełne ognia popędy u niego stygnąć i ustępować miejsca innym znowu uczuciom. Nadzieje zrazu tak jasne, zaczęły się u niego ćmić i osłaniać chmurami — trudno wyrzec stanowczo, czy chmurami trwogi o przyszłość kraju, czy tylko osobistego wstrętu do wszystkiego co się tam działo. Zwątpienie, niesmak, niemożność jakaś dłuższego wytrwania wśród stosunków, w jakich się widział, brały udział coraz więcej górę nad ekscentrycznem usposobieniem poety. Przyszło nareszcie do tego, że powziął, już na początku marca, stanowczy zamiar porzucenia Warszawy. Jakoż zaopatrzwszy się w formalny paszport ze strony ówczesnego rządu polskiego, rzeczywiście wyjechał za granicę dnia 8 marca 1831 roku.

Był to krok, który jak się okazało później, miał być w życiu jego nieobliczonego znaczenia. Owa to chwila, ów wyjazd tak rychły z kraju, rozstrzygnął nie tylko o całym dalszem życiu jego jako człowieka, ale i o powodzeniu jego w zawodzie, któremu całe szczęście osobiste poświęcił, w wzniosłym zawodzie poety.... Gdyby Słowacki był pozostał w kraju: lutnia jego byłaby niezawodnie strojnieszka, niebo jego poezyi byłoby niewątpliwie mniej chmurne. I cóż go to wyprowadziło z ojczyzny? Co go rzuciło na niepewne fale wgnania? Dlaczego przyszło jemu rozpoczynać już wtedy owo bolesne życie bez celu, wśród żywiołów obcych, w okolicznościach, które tak rychło zdarły z oczu jego wszelkie illuzye, które jakkolwiek utłudne, przecież niezbędne są człowiekowi, ażeby sobie nie obrzydził tych znikomych kształtów istnienia? Czyż mu przewodniczyła, kiedy się na łutactwo sam skazał, owa myśl podnosząca i wielka, która w kilka

miesiący później tylu innych miała prowadzić na zachód? Czy szła przed nim ta gwiazda wiary, że to jeszcze jedyny, że to ze wszystkich, jakie były, ostatni sposób spełnienia w obec świata i Boga obowiązku, najwznioslejszego na ziemi? — Nie! W tej myśli Słowacki z krajem się swoim nie żegnał. Byłaż to zatem tylko chimera fantastyczna, która go pchnęła w nieznane obszary świata, zaludnione ideałami nieokreślonych pragnień? Albo wreszcie może kazało mu tak sobie postąpić życzenie matki, trwożnej o swego jedynaka wśród niebezpieczeństw otaczającej go wojny?...

Na te pytania trudno odpowiedzieć stanowczo.

Pierwszy list Słowackiego z zagranicy pisany od takich się słów zaczyna:

„Kochana mamó! Zdziwisz się zapewne odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia. Dopełniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałam za granicę....

Z tych słów zdawałoby się wynikać, że zatem matka to kazała mu oddalić się z Warszawy. Ale do datek, że się to życzenie matki i z jego chęcią zgadzało, nasuwa przekonanie, że mieć musiał Juliusz jednak i inne jeszcze, swoje własne powody do wyjazdu za granicę. Nakoniec i życzenie matki musiało być chyba kiedyś tam dawniej i bez żadnej nalegliwości, więc nawiasowo tylko wypowiedziane, kiedy tak dalej ciągnie Juliusz zdanie to na początku listu owego stawione:

.... »I teraz z wielkim strachem oczekuję listu od kochanej Mamy, nie wiedząc czy mój wyjazd podoba się Mamie, czy nie«. (Z listu z dnia 17 marca 1831 roku, pisanego z Wrocławia).

Dalej w tymże liście spotykamy znowu takie wyrazy:

»Wyjechałem w podróż 8 tego miesiąca wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam: i teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumieniem¹⁾».

W liście następnym (z dnia 12 kwietnia) powraca znowu do dziwnego wyjazdu swego z Warszawy i tak się tłumaczy:

»W biurze nie było żadnych widoków — nawet to biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane, z powodu Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci. — Los jakiś rządzi moją karierą i widzę, że zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał²⁾«.

W innych miejscach korespondencji jego z owych miesięcy spotykają się wyrażenia, które dowodzą, że mu żal, że go nawet wstyd było, że wśród takich okoliczności, jak ówczesne, wydalik się z Warszawy. Były chwile, gdzie się wahał, czyby nie wrócić Zdaje się, że i rodzina w Krzemieńcu z frasunkiem i nieukontentowaniem przyjęła wiadomość o tem. Do matki pisał Juliusz (dnia 6 lipca 1831 roku):

»Dzięki Ci Matko, za wszystko, co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, oby mnie teraz zapomniano. Może potem znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte, ale przyjdzie chwila³⁾«....

Wujowi zaś swemu, który snąć tę ucieczkę Juliusza czy żartem, czy seryo kładł na karb nieodwagi albo wstępu do służby w wojsku, odpowiedział, jak następuje:

»Kochany Teofilu, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem — nie mogłem być użytecznym Ojczyźnie¹⁾«.

Wszystkie te ustępy z listów Juliusza sprawiają w pierwszej chwili wrażenie, jakby mu ciążyła na sumieniu jakaś wina upokarzająca. Wyjazd jego z Warszawy wygląda jak tajemnica, na dnie której ukrywa się coś, czego nie miło nazwać po właściwem imieniu. Pozory wszystkie mówią przeciwko niemu. Jakakolwiek była to sprawa, która go spowodowała do porzucenia kraju, w takiej chwili, w jakiej go rzucił: w każdym razie było to coś, z czem nie do twarzy autorowi Bogarodziecy i Kuliku....

Taką się ta rzecz wydaje, jeżelibyśmy sędzić o niej mieli wedle pozorów. A jednak —

Ja nie mam pod ręką bezpośredniego faktu, na mocy którego mógłbym tu stanąć w obronie Słowackiego. Rzetelny powód jego wyjazdu pozostał tajemnicą na zawsze. Zdaje mi się jednak, że przenikam tę tajemnicę. Była to okoliczność, która raczej zaszczyt sercu poety przynosi, aniżeli żeby miała ujmę czynić jego charakterowi. Pomimo tego jednak tak się wtedy rzeczy składały, że nie mogła ona żadną miarą być powiedziana ani matce, ani krewnym. Powody słuszne nie pozwalają mi zagadki tej wytłumaczyć już w tem miejscu. Znajdzie ją czytelnik dopiero wyłuszczoną między zdarzeniami z roku 1832. Gdybym to, co tu mam w myśli, wypowiedział już teraz: wyglądałoby to na luźną tylko hipotezę i na nic więcej. W tantym rozdziale domysł mój się okaże podparty tylu przemawiającemi za trafnością jego okolicznościami, że zdaje mi się, iż nikt o istocie prawdy wątpić wtedy już nie potrafi.

¹⁾ L. I. 45.

¹⁾ L. I. 34.

²⁾ L. I. 41.

³⁾ L. I. 45.

Bądź jak bądź, tymto więc krokiem, tym wyjazdem wczesnym z Warszawy, Słowacki w 22 roku życia zamknął nierozwiniętą pierwszą połowę zawodu swego na ziemi. Pierwsza ta życia jego epoka, spędzona na ojczystej ziemi — upłynęła mu między swymi, pośród stosunków normalnych i godzi się dodać: pod wielu względami nader pomyślnych. Od owej chwili poczęła się epoka druga: wygnanie, poniewierka pomiędzy obcymi, wieczna tęsknota do ojczyzny, nieustająca świadomość czczości życia bez celu, gorzkie zawody na każdym kroku, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem — i ten cały długi szereg trujących cierpień, z jakich się splata smutna dola tułacza. Takie to życia koleje otwały się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego zgonu! Czy egzystencya wśród takich okoliczności wpłynęła na podniesienie tej potężnej poetyckiej zdolności, jaką go obdarzyła natura — to się okaże w dalszych rozdziałach.

II.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Dreżna. Odyniec — okolice dreźnieńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatru — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacy i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie.

Od pierwszej chwili wydalenia się Słowackiego z kraju, rozpoczyna się jego korespondencya z matką. Korespondencya ta regularna, szczegółowa, prowadzona bez przerwy aż do ostatnich dni życia, leży w całej zupełności przedemną. Od tej pory możemy tedy iść za poetą krok w krok i nawet własnymi jego słowami opowiadać o niejednem zdarzeniu.

Wyjechał z Warszawy dnia 8 marca 1831 roku. Wyjechał smutny i bez żadnych złudzeń co do sprawy publicznej.

»Nudną miałem drogę — pisał w pierwszym liście, z dnia 17 marca datowanym z Wrocławia — czas dosyć brzydki. Wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam; teraz jeszcze często się kłóczę z mojem sumieniem. Moja Mamo, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić«....

Jechał właściwie ku Dreznu, ale trzeba było przejeżdżać przez terytoryum pruskie. Kiedy się przez granicę przeprawił, odebrano mu paszport, który miał wystawiony od rządu warszawskiego, i kazano zatrzymać się w Wrocławiu, obiecując dać nowy paszport, pruski. Czekając na ten dokument, przepędził Słowacki w Wrocławiu dwa tygodnie i dni kilka pod ścisłym policyjnym dozorem. Stał w hotelu *Goldene Gans* i nudził się w tem mieście niemiłosiernie, do czego się w części przyczyniała i ta jeszcze okoliczność, że prawie wcale nie znał języka niemieckiego.

»Nie lękajcie się jednak o mnie (pisał żartobliwie w tymże pierwszym liście); mówię już i ja trochę tym językiem i nie jestem przymuszony, chcąc jeść, zaglądać do roznówek, jak Kłębowski¹⁾. A propos roznówek, książeczka, którąś mi kochana Mamo przy moim odjeździe z Krzemieńca do tłumoka włożyła, nieraz mi tu służy; ale uczę się pierwszej frazesu, a potem go recytuję w książeczkę nie patrząc, to jest bardziej honorowo²⁾«.

Wreszcie dano mu paszport pruski, wystawiony do Francji, Słowacki wyjechał jednak do Drezna, w zamiarze dłuższego tam zatrzymania się. Przybył do Drezna w sam Wielki piątek (29 marca 1831). Stał w hotelu pod złotą Koroną. Pierwszem miejscem, do którego się za przybyciem do miasta udał, był kościół.

»Zaraz wyszedłem na miasto — pisze w liście z dnia 12 kwietnia — albowiem mówiono mi, iż w katolickim kościele ma być ładna muzyka. I słyszałem śpiewy; trafiłem właśnie na psalm śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego

¹⁾ Bonawentura Kłębowski, profesor malarstwa w liceum krzemienieckiem.

²⁾ L. I. 34—36.

rodzaju — wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednej trójkąt obstawiony palącemi się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie.... Po obiedzie znowu wyszedłem na miasto, w nadziei, iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca¹⁾. Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek, spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię — Baldiniego i nad drzwiami napisane: *Café de l'Europe*. Ha! myślę sobie, Odyńiec musi być w Europie.... Wchodzę na pewno, i za pierwszym rzutem oka spostrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie *To Czatyrdach?* odpowiedział *Aa!*²⁾.... A nie przez jedno tylko *Aa!*... wyraził niepospolite zadziwienie; przeprowadzał je przez wszystkie tony jak Karp, marszałek wileński. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wzięwszy się za ręce, poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez

¹⁾ Odyńiec przedtem mieszkał w Warszawie i tamto się z nim, jak już wyżej nadmienilem, ściślej zaprzyjaźnił Słowacki. W roku jeszcze 1829 puścił się atoli autor *Izory* razem z Mickiewiczem w podróż do Włoch. Zimą z 1829 na 1830 przepędzili razem w Rzymie. W maju (1830) zrobili wycieczkę do Neapolu, a stąd zwiedzili i Sycylię. W ciągu lata zwrócili się do Włoch północnych, a wreszcie nawiedzili Szwajcaryę, tak iż w sierpniu już stanęli w Genewie. (Tu pierwsza znajomość Mickiewicza ze Zygmuntem Krasińskim). W wrześniu dopiero czy październiku (1830) rozstali się ze sobą obydwaj towarzysze podróży. Mickiewicz powrócił znowu do Rzymu, którego miasto dopiero w r. 1831 na wiosnę opuścił, a Odyńiec prosto z Genewy udał się do Paryża. Po upływie kilku miesięcy spędzonych w Francji, przeniósł się do Niemiec i już od początku 1831 r. stale przemieszkował w Dreźnie. (P. A.) — O tem spotkaniu ze Słowackim pisał Odyńiec do brata swego Ignacego w następujących słowach: „Z największym zdumieniem spotkałem wczoraj w kawiarni tylko co przybyłego Julka, który tu z miesiąc ma zabawić. (Z pamiętek po A. E. Odyńcu przez Cz. Jankowskiego. Tygodnik illustrowany, Warsz. 1894 str. 238).

²⁾ Zakończenie jednego z najpiękniejszych Sonetów Krymskich Mickiewicza.

swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancję, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, że mi tu za darmo przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyniec, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, podobną do tej, jaka jest u Hersylki, tylko trochę zapyloną; słowem że mogę wieczorami lampę zapalać i byronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, że oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność patrząc na ładną córkę mojej gospodyni. Paniątka mówi po francusku i ładnie gra na fortepianie. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i was wszystkich przypominają¹⁾...

Cały ton tego listu przekonywa, że pierwszy czas pobytu w stolicy saskiej nie był dla Juliusza zbyt przykry.

»Bardzo mi się to miasto podoba, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach; tutaj zaś są prześliczne¹⁾).

Oprócz Odynca znalazł w Dreźnie kilku innych jeszcze rodaków: Platera, Chwaliboga, Mikulicza, Tödwena, panią Ewę Dobrzycką, pannę Czacką, dobrą matkę swojej znajomą, Komara, Generałową Dąbrowską, panią Szymanowską z domu Poniatowską, p. Bobrowę²⁾ i t. d. Niektórzy bawili w Dreźnie z całemi rodzinami i byli już znani Słowackiemu z Warszawy. Szczególniej uprzejmie był przyjmowany w domu pani Dobrzyckiej.

¹⁾ L. I. 37—41.

²⁾ W poprzednich wydaniach nazwiska pani Bobrowej nie podano, gdyż w korespondencji znanej autorowi jedynie w odpisie, była myłka; napisano bowiem, że do Dreznia przybyła pani Grocholska z Bobrowa.

»Pocziwa, staruszka Polka, — są własne słowa Juliusza — jej córka jest pierwszą damą dworu. Ta oddawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartemi rękoma, a nad moim Kulikiem, którego nie znacie — płakała¹⁾«.

W towarzystwie poufalszych znajomych robił wycieczki do saskiej Szwajcaryi i przeglądał cenniejsze ciekawości drezdeńskie. *Grünes Gewölbe* nie sprawiło na nim takiego wrażenia, jak mu to obiecywano.

»Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu, tak że nie nie zostaje w pamięci. Ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tylu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiejś wielkości, jako szczególny w swoim rodzaju.... Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnej (*Rüsthammer*); znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonale dających wyobrażenie o ówczesnych walczakach; widzieć to dla poety i dla malarza bardzo potrzebne.... Śliczne są okolice Dreznia! Wczoraj panna Dobrzycka i pani Asthon Angielka zaprowadziły mnie do Brynltz nad Elbą. Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnej do chłodnika Tetydy w Zosijówce: byliśmy jak zawieszeni nad Elbą. Z drugiej strony rzeki śliczne równiny, z prawej strony w odległości ładne Dreznio, a okna domów przy zachodzącem słońcu paliły się jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętymi żaglami płynęło po wodzie, i kilka czółen rybackich. Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas, pomimo etykiety, słowa do dam nie przemówiłem.... Najczęściej chodzimy z Odyncem do Wielkiego Ogrodu na spacer; dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa, z cygarem w gębie. Gdzie się tylko zbliżyć do tłumy, wszędzie o nas gadają,

¹⁾ L. I. 40.

i lubią nas. Gospodyni, u której mieszkam, i córka gospodyni także bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu — druga, iż jeżeliby chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideał doskonałości¹⁾.

Wśród takich tedy rozrywek i zajęć płynął mu czas w Dreźnie — na pozór niby dosyć przyjemnie. Wieczory przepędzał w towarzystwie, albo też na operze włoskiej, w której bardzo smakował. Dni wypełniał pracą, jeżeli go nie odrywało od niej zwiedzanie jakiej pięknej okolicy lub różnych miasta tego osobliwości. Praca jego ograniczała się w owych tygodniach do samego czytania, gdyż to było lato. Trzeba zaś wiedzieć, że była to już taka jego właściwość, iż dopiero z jesienią poczyniała się dla niego pora popędu do pracy twórczej. Przez wiosnę i w ciągu lata (podobnie jak niegdyś Książnin) nie czuł w sobie żadnej chęci do pisania, i nie przymuszał się też do tego²⁾. Było mu to właściwe przez całe życie i często też o tem i sam później wspominał. I wtedy także pisał te słowa do matki: — »Przeczytałem wiele ważnych dzieł. Nie teraz nie piszę — to mój zwyczaj w lecie«....

W gruncie rzeczy wszelako było już i w owej porze niejedno, co mu zamęcało tryb życia, pozornie tyle uprzyjemniony. Żał, że się wydalil z kraju, trapił go ciągle, i to z biegiem czasu w coraz wzrastającej progresyi. W pierwszych dniach bytności swojej w Dreźnie wyrażał się tylko: — »Źle jest trochę, żem wyjechał za granicę.... Przez czas jakiś miałem zamiar do Was powrócić«.... Ale już w półtora miesiąca pó-

¹⁾ L. I. 46—48.

²⁾ W Dreźnie ułożył Słowacki razem z Odyńcem balladę na romantyków p. t. „Romantyczność“. (Szło dwóch w nocy z wielką trwogą). Ob. Listy Słowackiego I. 148.

źniej (dnia 6 lipca) znajdujemy owe już wyżej przytoczone utyskiwania:

»O Mamo moja, nie gadał teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano.... Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte — ale przyjdzie chwila!«¹⁾.

Drugie, co go wielce dręczyło, to niespokojność o to, co się tam dzieje z matką i całą rodziną.

»Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o Was, kochani moi, byłoby mnie bardzo dobrze w Dreźnie«²⁾.

Wyrozumiemy ten zabijający niepokój, jeżeli uprzytomnimy sobie stosunki, w jakich oni tam wtedy żyli. Słowacki wyprawiał do nich list za listem, a nie odbierał od nich przez długie czasy ani litery. Przez całe cztery pierwsze miesiące od chwili wyjazdu swego z Warszawy, nie otrzymał ani jednego słowa od matki! Tymczasem wiedział aż nadto dobrze o niebezpieczeństwach, jakie im groziły i ze strony grasującej właśnie na Wołyniu cholery i z powodu wojny, która z wszystkimi swemi okropnościami zdawała się wisieć już ponad prowincjami owemi.

A trzecia troska była o siebie — o swoją własną przyszłość, o której nasz dobrowolny tułacz nie umiał sobie utworzyć ani nawet wyobrażenia.... Natura jego, skądinąd tyłu uposażona darami, ale nad wszelki wyraz niepraktyczna — cała przeszłość jego, przeżyta pod kierunkiem życzliwej bo macierzyńskiej ręki, lecz zawsze ręki obcej, więc biernie: wszystko to stawiało teraz biednego tego młodzieńca na rozdrożu, na którym radzić sobie nie umiał. Z otuchą podjąć walkę życia, ażeby przezwyciężyć trudności: — to było nad jego siły. — »Napiszcie mi, co ja mam robić? gdzie się obrócić? jaki jest stan naszych inte-

¹⁾ L. I. 45. ²⁾ L. I. 42.

resów?» — oto takimi słowami przemawiał on do rodziny, w zupełnym braku wiedzy, co z sobą począć. Stan interesów, o który się dopytywał, byłby bardzo pomyślny, gdyby byli oboje z matką mogli żyć razem i tworzyć dom tylko jeden; a w razie rozłączenia, gdyby były choć widoki, że Juliusz zajmie z czasem stanowisko, którego korzyści przyjdą w pomoc dochodom z prywatnego majątku. Ale widoków już takich teraz nie było. Sława literacka wprawdzie uśmiechała się do niego, choć w pewnej jeszcze oddali; ale na materyalne korzyści z tego tytułu, w okolicznościach jak ówczesne, bynajmniej liczyć nie było można. Otóż, co mu szczególnie odbierało otuchę. Wprawdzie miał żyć z czego chwilowo, gdyż mu matka dostarczała, czego potrzebował na utrzymanie. Ale myślał sobie, co będzie dalej?

Były tedy przyjemne, ale też były i gorzkie, a nawet bardzo gorzkie chwile w owym drezdeńskim życiu młodego emigranta i pozostały też tego ślady w korespondencji. Tak na przykład po pierwszym liście nareszcie odebrany od matki, pisał jej między innymi, co następuje:

»W przytomności Odyńca czytałem list Twój, kochana Mamo. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając list o Twoim nagrobku. Ponieważ łzy te miały świadka, nie chcę ich zataić, tak jak wiele innych też wylewanych samotnie¹⁾«.

Koniec końców, w lipcu (1831) zaczął pisać Pamiętnik szkolnej swojej młodości, z któregośmy wyżej przytoczyli kilka ustępów, a obok tego układał sobie dalszy plan życia taki, iż chciał czas jakiś zabawić jeszcze w Dreźnie, a potem z dziwnymi projektami pojechać dalej.

¹⁾ L. I. 45.

»Wyjadę przez Szwajcaryą do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił Heryng, za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszym obchodzić się będę starał. Przyjemność zacieszy wszystkie mi przyjemności zastąpi — czuję że mi jej potrzeba¹⁾«.

Rozpaczliwe postanowienie! pomyśli sobie czytelnik. I poeta nasz czuć musiał to samo, skoro przewrwał list na tych wyrazach, a nazajutrz, wśród dnia jasnego, tak pisał dalej:

«Niech Was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem; albowiem pisałem to wieczorem, a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie«....

Kiedy się zatem tak bił z myślami i układał sobie wyjazd na południe, nastąpić mający za kilka dopiero miesięcy: zaszła nagle okoliczność, która go rzuciła nie na południe, lecz na zachód i północ; i nie za kilka miesięcy, ale natychmiast. Całego więc pobytu Słowackiego w Dreźnie było tylko 4 miesiące niespełna.

»Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie, i z rana zapijałem niemiecką kawę. Wtem drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy Jegomość i powiada mi, że przywozi listy z kraju, z którymi jak najprędzej do Paryża i do Londynu mam jechać«. (Były to zatem listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznej do rządów francuskiego i angielskiego²⁾). Do listów dołączono i fundusz na podróż, co wszystko Słowacki opisywał matce w dalszej osnowie listu figuralnie, ażeby jej nieskompromitować. Ten ustęp pomijamy. Dalej pisał tak): »Zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak w trzy godziny po odebraniu listów, ekstrapocztą ruszyłem do Paryża.

¹⁾ L. I. 46.

²⁾ F. Hössick w biografii Słowackiego (I. 418) podaje, że była to odpowiedź Rządu Narodowego wysłanowa do generała Grouchy, w sprawie objęcia dowództwa nad armią polską.

Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoskieskiej — podróżowałem dzień i noc, jak Gryzomir Krasieckiego, i nie wiele więcej od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem — płaciłem po królewsku! O godzinie 12 w południe wyjechałem z Dreżna — nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26 byłem w Wejmarze — interesowało mnie to miasto, jako będące miejscem pobytu Göthego — bardzo ma ładną postać.... Przez noc przejechałem przez Erfurt — Saxgotha — a nad rankiem piłem kawę w Eisenach.... Śliczne miasteczko i jeszcze piękniejsza droga, która z niego dalej prowadzi, między ogromnymi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę, dla naprawy powozu — znalazłem tam w oberży chłopca co pisze historią teraźniejszej wojny — czyli biografią generałów — bardzo dobrze. Dnia 28 z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich weksłów. O południu byłem w Moguncyi; śliczny Ren, jaka szkoda, że na niego dłużej popatrzeć nie mogę!... Potem przeleciałem śliczne prowincje reńskie, dnia zaś 29 wieczorem wjechałem do Metz; co za przepyszny widok! Miasto nilluminowane, — jako rocznica rewolucyi francuskiej, — lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do Prefekta Departamentu, był na balu; zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którym byłem przyjęty; krótki interes, który miałem do Prefekta, odbywszy, pojechałem dalej.

Szkaradna Francya; miasteczka gorsze od naszych miasteczek, nędza!... W południe minąłem Verdun — wieczorem w Chalon sur Marne złamał mi się powóz — zostawiłem go tam i kazałem sprzedać na rzecz składek zbieranych.... 31 lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża. Postylion mój wiozł mnie najpiękniejszemi ulicami, i jemu winienem, że widział Paryż. Zajechałem do pani Ludwikowej Platerowej, prosiła mnie, żebym poszedł

spać; usłuchałem jej rady i przespawszy cztery godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszym paryskim traktyerze. Prawda że z pożytkiem wojażuję?... O godzinie 5 wieczorem już siedziałem w chaise de poste i leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem nilluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety.... Nie mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił mi świętej pamięci Strzelecki) oprócz powtarzam, że tylko co się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał podemną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winno cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę — ale nie tak z bojaźni, jak dla nadzwyczajnej tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży.

Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, to jest 1 sierpnia, przejeżdżałem przez Boulogne sur mer, widziałem morze, przyjemne przypomnienie Odessy. O godzinie 12 w nocy wjeżdżam do Calais, z Paryża mił 37. Śliczny widok latarni morskich, bo każda inaczej się pali dla rozróżnienia. Stałem w *hôtel de Bourbon*. Okropnego mi wypłatali figla! Paquetbot à vapeur odszedł bezemnie. Najałem więc statek, co mnie niezmiernie kosztowało, ale za to byłem panem okrętu, i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie najać statek, bo czekać do jutra było niepodobna. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawilon — i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebrany na brzegu Anglikom najlkwie odpowiadali, kto i skąd jedzie. — Śliczna Anglia! murawa zieleniejsza, a piasek czerwieniej farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona, śliczne miasteczka; Kanterbury jak mały Londynik wygląda. O godzinie 5 z rana dnia 3 sierpnia stanąłem w Londynie¹⁾«....

¹⁾ I. 50—53.

Kiedy po tylu trudach podróży i bezzwłocznem oddaniu listów, gdzie należało, rzucił się Słowacki w hotelu na łóżku, nie przebudził się aż na trzeci dzień dopiero, tak był zmęczony! Przebudził się z fluksją. Ale doznawał pocieszającego uczucia, że i on teraz mógł być pożyteczny sprawie; a doznawał go tem bardziej, że sprawa ta, jak mu się wtedy zdawało, wskutek interwencji dworów, do wywołania której i on się w małej części przyczyniał, miała niebawem wziąć obrót wcale pomyślny. Nie dziw więc że znajdujemy też w liście z Londynu wyrazy, jak na przykład te:

»Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi — to co było w mojej mocy.... O moi mili.... rodzina nasza będzie zdrowa¹⁾«.

Będąc już w Londynie, nie chciał go porzucić, nie poznaawszy miasta choć powierzchownie; najął sobie tedy na cały miesiąc mieszkanie prywatne wraz z umeblowaniem i wiktem. Płacił za to wszystko razem półtrzeciej gwiney na tydzień, to jest polskich złotych 105. Przepędził w stolicy Anglii czas od 3 sierpnia do 7 września. Uczył się języka angielskiego, którego początki były mu już udzielane w kraju. Bywał też często na teatrze i zachwycał się grą sławnego naówczas artysty scenicznego, niezrównanego w rolach zwłaszcza szekspirowskich, nazwiskiem Kean. Wogóle podobał mu się bardzo sposób, w jaki Anglicy przedstawiają tragedye. O teatrach paryskich zdania tego później nie wyrzekł, kiedy je poznał. — Między innemi znajomościami zawiązał też z niektórymi literatami londyńskimi stosunki. Jeden z nich — prawdopodobnie niejaki Leitch Ritchie — namówił go do napisania broszury o wypadkach warszawskich, które

świat polityczny tyle naówczas zajmowały, a nie były dokładnie znane nikomu z cudzoziemców. Słowacki napisał ją po francusku, Anglik przetłumaczył na angielskie i wydał pod swoim imieniem. Tytuł broszury nie jest mi wiadomy, ani też nazwisko owego Anglika. Przyniosło to naszemu autorowi 50 dukatów dochodu, właśnie więc tyle, ile go pobyt w Londynie kosztował, zliczywszy wszystko. Miał tedy to pocieszające przeświadczenie, że to dłuższe zatrzymanie się jego w Londynie nie przynosiło matce wydatku, jako i podróż do Anglii także nie zrobiła żadnego uszczerbku skromnym jego funduszom. — Londyn bardzo mu się podobał.

»Wiele miałem w nim — powiada w liście już po wyjeździe z Anglii pisanym (z dnia 10 września 1831 r.) — chwil zachwycających; przyjemne miasto! Wszedłszy na samą kulę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem wokoło i pomimo niezmierniej wysokości wieży, z żadnej strony końca miasta nie było widać; domy aż na horyzont się rozciągały, i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu — wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiędzałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć kęsa poetów, który mnie najbardziej interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami — i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się, czytając je pod nogami.... Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi do kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliższe sławnych ludzi spoczywać¹⁾«.

Przy końcu pobytu Słowackiego w Londynie przyjechał tam 20 sierpnia i Niemeewicz z listami od

¹⁾ I. 55.

¹⁾ I. I. 56.

ks. Adama Czartoryskiego, w celu pertraktowania z rządem angielskim.

»Widywałem się ze staruszką — mile od niego przyjmowany. Wyrzucał mi, że mojej tragedji litewskiej (Mindowe) grać nie kazałem. Staruszek trochę chory, smutny i niepewny przyszłości, ale Bóg czuwa nad nami¹⁾«.

Kiedy przyszła godzina wyjazdu i pożegnania się z gospodarstwem domu, jako też z innymi mieszkańcami jego, którzy wszyscy pod tymiż co on warunkami zasiadali z nim razem do wspólnego stołu: miał Juliusz znowu miłą chwilę. Przekonał się bowiem, że i pod obcym niebem, że i w krajach okrzyczanych za materyalne, można znaleźć serca pocziwe i niewątpliwe sympatyje dla doli narodu, którego był członkiem.

»Nie możecie sobie wystawić — powiada — z jakim wylaniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy; ręka mnie bolała od ściskania się. Wszyscy wstali od stołu, co u Anglików jest niesłychaną rzeczą, aby mnie odprowadzić do powozu²⁾«....

Podróż jego skierowana była do Paryża, ale nie odbyła się tym razem bez przygód.

»W nocy wyjechałem z Londynu³⁾; nad rankiem stanąłem w Dover, tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego. O 4 po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze; im dalej płynęliśmy, tem było okropniej. Calais choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa; o godzinie 10 w nocy ciemność była okropna i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu. Dziwny widok, że czterdzieści osób leżało na

sofach i na podłodze, — szczęściem miejsce małeńkie na sofie znalazłem, — skurczyłem się i zasnąłem, a jednak pomyślałem sobie przed snem, iż się może gdzie indziej obudzę. O godzinie 12 w nocy obudzono mnie rozmową. Dowiedziałem się z rozpaczą prawie, że do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go, znów więc kilka godzin morskiej słabości, wracamy napowrót do Dover. Pośpny był widok portu Calais. Latarnie morskie pogaszone dla ostrzeżenia okrętów, żeby nie wchodziły nocą i szum okropny wzburzonej fali. Wracamy do Dover, lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał, i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8 z rana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu, miałem więc wyobrażenie burzy¹⁾«.

Po tych przeprawach, bez żadnych już przeszkód dostał się do Paryża. Przybył tam w zamiarze stałego na czas jakiś zamieszkania — dnia 9 września, i zaraz urządził się we własnym kąciku, po swojemu. Miał jak mówi w liście do matki, śliczny mały pokój, z mahoniowymi meblami i marmurowym kominkiem, który mu wielkie przyjemności obiecywał na zimę. Dopytywał się zaraz o znajomych; ale okazało się, że nie zastał tych, których najwięcej widzieć życzył sobie. Mickiewicz mianowicie i Górecki byli wprawdzie czas pewien przedtem w Paryżu, ale przed jego jeszcze przyjazdem opuścili Francję i bawili natenczas w Dreźnie.

Paryż nie zrobił na Słowackim przyjemnego wrażenia; równie i Francuzi wcale nie odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Porównanie z Londynem i z Anglikami, które się mimowolnie samo przez się nastęrczało, wypadło już w pierwszej chwili na niekorzyść Francuzów.

¹⁾ L. I. 58. ²⁾ L. I. 58. ³⁾ Było to dnia 7 września.

¹⁾ L. I. 58.

»Londyn jest zupełnie oryginalnym, Paryż podobny do innych miast, do Warszawy... W Paryżu piękne pałace. Ogród Tuilleries z swemi drzewami bardzo piękny; ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James w Londynie, gdzie po obszernej murawie rozrzucone ogromne drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody, i naokoło ogromne pałace za drzewami pokazują się wpół zagłone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim¹⁾«.

Równie niekorzystnie sądził i o mieszkańcach Paryża.

»Wiele zbiegłem świata — pisał w jednym z późniejszych listów (20 października 1831) — żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję. Mam do nich jakąś nieprzewycięzoną odrazę. Taka nieszczerłość... i tak wiele gadają! Samotny prawie przepędzam dzień cały«.... »Jeden najmiłszy z wieczorów, który miałem w Paryżu był na ementarzu *Père la Chaise*. Nie nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju. Za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przebrnąć się można. Różne drogi krzyżują się w tym lesie — w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, białych ale kwitnących wiecznie. Czasem ognistym kwiatem błysnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie, najczęściej małe kolumny z białego marmuru. We środku na górze jest mała kaplica. Stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysowych utworzonej, spada na dół i zdala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swoimi gmachami. Nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. — Czarne wozy ciągle tam przez przyneypalną ulicę przejeżdżają — ale pogrzeby tu bardzo ciche — u nas tak Żydów chowają. — Dochodząc do ementarza, pełno ogródków i sklepików, obwie-

¹⁾ L. I. 58.

szonych wiankami ze świeżych i artificialnych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów. Każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją boleść, a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku dopiero trzeba będzie odnowić¹⁾«.

Taki sam wyrok potępiający znajdujemy i o teatrach paryskich.

»Byłem na kilku teatrach — nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedją; każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu, na piękne kawałki świszczą, nie nie lubią, tylko małe komedyjki, w każdej musi być Dej algierski; tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to sława narodowa. Byłem na takim wodewillu — zupełnie podobny do Siedem razy jeden; Francuzi rozpyłwali się²⁾«.

Takie to były pierwsze wrażenia, które na naszym wędrowcu sprawiła Francya i stosunki tamtejsze. Z upływem jakiegoś czasu, sądy jego o tem wszystkim zmieniły się cokolwiek. Pobyt w Paryżu zaczynał być przyjemniejszym dla niego przynajmniej o tyle, że nabierało mu się wiele znajomości — tak między rodakami już dawniej zamieszkałymi w Paryżu, jak przybywającymi coraz liczniej dopiero za jego tam bytności — na emigracyą. Został też wprowadzony do domu XX. Czartoryskich i szczegółowo matce w listach swoich opisuje poniedziałkowe u nich recepcye, na których bywał przyjmowany gościnnie. Za jedną znajomością szły drugie. Do hr. Platerów (Ludwikostwa) był zamówiony raz na zawsze na wieczory czwartkowe; oprócz tego pełno w listach jego wzmianek o różnych Polakach, z którymi już w pierwszych miesiącach pobytu swego w Paryżu znajomości albo

¹⁾ L. I. 60—1. ²⁾ L. I. 61.

pozawieżywał albo poodnawiał. Leonard Chodźko, Antoni Gorecki, Lelewel, Władysław i Cezary Platerowie, Michał Podczaszyński, Oleszczyński rytownik, Michał Skibiński — oto kilka nazwisk więcej znanych z pomiędzy większej liczby rodaków, których znał, widywał i o których w listach swoich wspomina.

Co się tyczy Lelewela, który przybył do Paryża zaraz po upadku powstania i spotykał się ze Słowackim przy różnych emigracyjnych uroczystościach, widzę się tu zmuszonym dodać, że go nasz poeta nie lubił. Wyrażał się w listach o nim zawsze z wielką goryczą. Oto na przykład, co o nim pisał z okazji rocznicy 29 listopada obchodzonej w Paryżu w r. 1831:

»Rej wodził na wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonymi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wasy przybyły«.... (Z listu z d. 10 grudnia 1831 r.¹⁾).

Przy innej sposobności, z powodu polecenia, które mu przysłano z domu, ażeby się kłaniał Lelewelowi:

»Kłaniałem się — powiada — kutasom u bótów, które mile to przyjęły; wy je uwielbiacie, szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi. Jest to *le prophète voilà de Korashan*, tak go nazywamy ze Skibińskim«.... (Z dnia 13 kwietnia 1832 r.²⁾).

Niesnaski podobne pomiędzy pierwszymi naszymi znakomitościami niewarteby były wspomnienia i chętniebym je był pozostawił »w letejskich zapomnieniach falach«, gdyby nie okoliczność, że mi się później przyjdzie w rzeczy nader ważnej do tego, co tu teraz powiedziałem, odwołać. W tym to celu — lubo ze

wstrętem — wypisałem powyższe miejsca z korespondencji Juliusza: i konstatuję niniejszem fakt stanowczej niechęci, już w owym czasie istniejącej pomiędzy tymi dwoma pisarzami naszymi.

Stosunki te z emigracją nie wystarczały jednak idealnym, a raczej egzaltowanym pragnieniom Słowackiego. Źródłem ostatecznem takowych była tęsknota do kraju, choć może zupełnie świadomie sam sobie wtedy jeszcze nie zdawał z tego sprawy. Dlatego też usposobienie jego ówczesne bardzo było niejednostajne. Czasem znajdujemy go rozplywającego się w jakichś błogich uczuciach szczęścia i miłości ku ludziom: a były znowu chwile, gdzie go nudziło i żębiło śmiertelnie całe owo otoczenie jego paryskie. Wtedy sądził o nim z lodowem szyderstwem, z odręcającem, pogardliwem lekceważeniem! To też oczywiście pozostały i w listach ślady to jednych uczuć, to drugich. Są wprawdzie miejsca w korespondencji (zresztą tak rzadkie, iż to śmiało do ustępów wyjątkowych zaliczyć można) gdzie pisał:

»Mamo! Nie śmiem Ci napisać, że mi teraz lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było; bo sobie sam wyrzucam, że ja mogę być bez Ciebie, kochana Mamo, szczęśliwy!... Matko kochana, widząc, jak tu wiele ludzi teraz lubi mnie i kocho, i mogę powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się swego syna«.... (List z d. 13 kwietnia 1832 r.¹⁾).

Jednakże obok podobnych zwierzeń, daleko więcej dałoby się przywieść ustępów, w których zupełnie innym tonem przemawia.

»Wielu mam teraz znajomych — (pisał na przykład d. 10 grudnia 1831 r.) — ale żadnego miłego, żadnego z, którymby mi było żyć przyjemnie i chciałyby jak najprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta

¹⁾ L. I. 68. ²⁾ L. 91—2.

¹⁾ L. I. 91.

Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojej inaginacyi; bo Paryż bardzo prozaiczny — szkaradny — ani tak świetny, jak był kiedyś dawniej. Trzyma mnie w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować, ale już tyle moich nadziei na niczem spełzło ¹⁾».

Albo weźmy inne miejsce (z listu z dnia 24 stycznia 1832 roku):

»Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło. Wielu mam nawet szkolnych kolegów; ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył. Słowem, że nie mam prawie towarzystwa ²⁾. Życie moje bardzo jednostajne, i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiej jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer. Temu winienem, iż po angielsku już trzepię, a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Waltera pokaże... Życie moje, jak mówiłem, jest bardzo jednostajne: zrana wstaję o godzinie 10 — piję herbatę w domu — potem piszę — potem idę czytać gazety. O czwartej idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków; tam się zawsze widuję i gawędzę z godzinę z A. Goreckim, dawniej pierwszym poetą (?). Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Drezna i zrobił mi wielką przyjemność, przywołując mi ukłony od ładnej Saksonki, córki mojej gospodyni ³⁾».

¹⁾ P. I. 67.

²⁾ O owych czasach znajduję w listach E. Januszkiewicza do mnie pisanych taką notatkę:

„Juliusz za przybyciem do Paryża mieszkał na rue Eustache Nr. 5 i tam go powitałem. Był wtedy prawie odludkiem. Jedyny bliższy stosunek miał z Lomanem, sekretarzem generała Paca, i z malarzem bardzo lichym Bujalskim, który później szkaradne rysunki do Żmii porobił. A gdy Loman pozwolił sobie z nich żartu, miało przyjść do pojedynku. Skibicki, także bliski jego znajomy (jeszcze z warszawskich czasów) jak skończył — to Panu wiadomo“. (P. I.)

³⁾ L. I. 73. W tymże czasie (8 stycznia 1832 r.), wstąpił Słowacki do Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich; działalność

Dwa te wyjątki z korespondencyi wystarczą, ażeby zrozumiał to czytelnik, że Paryż Słowackiego niezem tedy w murach swoich nie więził; i że jeżeli w nim bawił, to tylko w nadziei, że może znajdzie tu dla dzieł swoich nakładcę, albo też jakim innym sposobem te dziecięta duszy swojej, jak był zwykł płody swoje nazywać, potrafi wyprawić pomiędzy ludzi.

A było w owym czasie kilkoro już tych dzieciąt w samotnej Słowackiego pracowni. Dotąd nie miałem jeszcze sposobności powiedzenia choć słówka o autor-
skich jego zajęciach. I w tem miejscu także jeszcze nie pora rozgadania się o nich. Tyle jednakże nie zawadzi już tutaj mimochodem nadmienić, że zaczął poeta nasz sił doświadczać w tym zawodzie, wymodlonym sobie od Boga, już w rycylnym wieku. Z rzeczy napisanych na szkolnej jeszcze ławie nie pozostało ani śladu, choć było to tam tego pewnie немало. Co powstało po wyjściu ze szkół — w latach uniwersyteckich i za pobytu jego w Warszawie — z tego dopiero to i owo przechowywał u siebie w tece. Małą próbę tej najrychlejszej Słowackiego poezyi zamieściłem w tomie I pism jego pośmiertnych, których pierwsze wydanie staraniom moim udało się przywieść do skutku. Duma ukraińska była pisana w Wilnie w roku 1826 dnia 26 sierpnia. Na r. 1827 przypada kilka Sonetów, widocznie utworzonych pod wpływem, a raczej za przykładem wydanych właśnie rokiem pierwszej sonetów Mickiewicza. Cztery z nich dałem w tomie I pośmiertnych pism — piąty, później dopiero odszukany, znajdzie czytelnik w krakowskim Przeglądzie Polskim (zeszyt lipcowy 1879, str. 36 ¹⁾). Zdanie

jego w tym Towarzystwie opisał szczegółowo Z. Wasilewski w artykule p. t. „Mickiewicz i Słowacki jako członkowie Tow. litewsk. i ziem r.“ (Dzien. Pozn. 1893 dod. do nr. 293 i 297).

¹⁾ Oprócz tego w r. 1827 napisał Słowacki wiersz do sztam-bucha Spitznagla (ob. przyp. I na str. 14); z nieznanych zaś nam

o tym sonecie sam poeta wypowiedział w pięć lat później w Pamiętniku swoim następującemi słowami: — »Wiersze te prawdziwie noszą na sobie cechę sentymentalizmu kobiecego — pachną myszką. Ale wtenczas zdawały mi się bardzo pięknymi. Napisałem jeszcze jedno w podobnym guście, Nowy Rok, ale tych już nie pamiętam«. — Z r. 1828 pozostał poemat dany między pośmiertnemi rzeczami, zatytułowany »Szanfary, ułamki poematu arabskiego¹⁾. Dana pod nim własną ręką Juliusza data »Wilno, 1828 r. 10 lutego«, nie dozwala nam przypuszczać, żeby to był płód przyjaciela jego Ludwika Spitznagla, o którym zrobił Słowacki w Pamiętniku swoim przytoczoną tu wyżej już wzmiankę, że to jego tłumaczenie poematu arabskiego pod tytułem Szanfary, lepsze daleko od przekładu Mickiewicza, ma i chowa religijnie jako pamiątkę. Spitznagel bowiem odebrał sobie życie jeszcze w r. 1826. Może jednak było to jakie przerobienie, w r. 1828 dokonane, tamtej kreacyi. Porównanie z Mickiewiczem, który rzeczywiście zostawił wiersz zatytułowany Szanfary, zadziwia. Czy było słuszne? — wątpić należy, ale stwierdzić tego nie można, skoro przekład Spitznagłowski zaginął. Co pewna, to że między Mickiewiczem Szanfarym a tym płodem Słowackiego z r. 1828, oprócz tytułu, niema zgoła żadnej wspólności. — Wszystkie te próby wileńskie Juliusza były dość słabe jak na młodzieńca kończącego już uniwersytet, mającego zajaśnieć kiedyś takim blaskiem poe-

poezyi powstał w tym czasie wierszyk: »Do księżyczki«. (Listy S. Bécu. Przewodnik n. i lit. 1898 str. 1247).

¹⁾ W autografie poematu, wpisanym do książki dla matki, umieścił Słowacki następujące motto z Koranu w języku francuskim: Vous qui avez un coeur! vous trouverez dans la vengeance la iurete (?) de vos jours biens. (le Coran). (Słowacki, Dzieła, wyd. Biegeleisena V 494).

tyckiej potęgi. I Mahomed krzemieniecki, gdyby został wykonany, byłby poronionym utworem. Dopiero w Warszawie zaczął się ten olbrzymi talent rażniej rozwijać. Do tej pory ściągają się niektóre w jego Pamiętniku zapiski, które tu warto przytoczyć.

»Coraz smutniejszy (w Warszawie), czułem potrzebę samotności, przenieść się więc na ulicę Miodową do domu Paca. Tu już byłem sam — żadnych nie miałem znajomości. Odyńcie wyjechał na wojaż, Hrehorowicz do Litwy. Do mego melancholicznego usposobienia przyłączyła się okropna febra, która co dwa tygodnie nowym nawrotem i coraz mocniejsza wracała; ta wyniszczyła wszystkie moje siły; okropne gorączki paliły mnie po każdym paroksyzmie, a wtenczas leżąc twarzą na sofie, marzyłem o różnych poematach — i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić, i wracały zawsze, a krew bijąca w skroń nie coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy. Powieść moja Mnich jest utworem jednej z takich gorączek, ale napisana prawie w ośm miesięcy później. Tak przebyłem całe lato (1829)....

»Łatwo pojąć, jak takie nudne życie wróciło mnie do kraju imaginacyi. Siły wyobraźni wzięły przewagę nad wyniszczonemi fizycznymi siłami. W imaginacyi zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem, i raz zaczawszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie zawarte w dwóch (pierwszych) tomach moich poezye w przeciągu półtora roku¹⁾«.

W szczególności w r. 1829 powstał poemat Hugo i dramat Mindowe. Na rok 1830 przypada Mnich, Arab²⁾, Bielecki, Marya Stuart,

¹⁾ L. I. 23 i 24.

²⁾ Niektóre ustępy Araba sięgają jednak w czasy jeszcze wileńskie. Przytaczam tu z Pamiętnika własne o tem słowa poety: — „Winienem tu jeszcze dodać, że w tym ostatnim roku pobytu mego

jako też cztery owe wspomniane przezemnie już przy innej sposobności liryczne jego utwory (Kulik — Oda do Wolności — Bogarodzica — Pieśń legionu litewskiego), zaimprovizowane wskutek politycznych zdarzeń zaszłych na końcu owego roku i ogłoszone drukiem. Na początku r. 1831 powstała pieśń pierwsza Żmii.

To są wszystkie prace lat jego młodocianych, o których powziąć mogłem wiadomość ¹⁾. Wnosić

w Wilnie zrobiłem jeszcze krok jeden naprzód w poezyi: śnił mi się prawie w rozżarzonej imaginacji jakiś poemat wschodni, i ten, choć zbladły przeszedł na papier, jednak zawsze wiele w nim jest kawałków, które i teraz w Arabie umieszczone, są najpiękniejszymi stronicami mojej poezyi. Taką jest strofa o muszli morskiej — strofa o koralu — i koniec, gdzie Arab raj dla siebie opisuje. Pamiętam, że ten poemat tak mocno zajmował moję imaginacyę, że często na lekcyach Capellego (profesora prawa rzymskiego) całą godzinę o nim przemarzyłem. (Listy Słow. I 17). (P. A.).

¹⁾ Właśnie kiedy miałem te arkusze dzieła mego (ściąga się to do pierwszej edycji z roku 1866) odesłać już do drukarni, przyniesiono mi numer 32 (z roku 1866) Kłósów warszawskich, w którym zamieszczona jest bezimiennego autora korespondencyja z Bruksellą, a w niej szczegóły o odszukanym rękopisie jakichś młodzieńczych poezyi Słowackiego, których między pośmiertnymi poety mego papierami ja nie znalazłem. — „Autor Lilli Wenedy — pisze autor rzeczony korespondencyi — zagubił przypadkowo w przejeździe przez Niemcy najpierwsze poezye swoje, pisane w Warszawie 1829 r. Później przez cały ciąg życia napróżno szukał tego rękopisu. Dopiero po śmierci poety, przed niedawnym czasem, dostała się ta książeczka w ręce, które zapewne będą umiały zrobić z niej użytek. Szacowną tę spuściznę stanowi niewielki zeszyt (str. 154, format 16-kowy), oprawny w czerwony, złożony, safianowy papier, zapisany w całości własną ręką poety, z rysunkami, esami i floresami jego własnej ręki“.

Na końcu tej książeczki miała się znajdować następująca notatka:

„Warszawa, 15 listopada 1830 r.

„Oddałem do cenzury, a wkrótce oddam do druku moje wiersze: Maryę Stuart tragedya, Jana Bieleckiego powieść, Hugona, Mnicha i Araba. Jakiż będzie mój zawód literacki?“

jednakże należy, że musiało ich być i więcej jeszcze, jeżeli choć w części tylko było to prawdą, co pisał żartobliwie matce swojej Słowacki, przybywszy do Wrocławia w roku 1831 zaraz po wyjeździe z Warszawy:

»Wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i.... mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze! wagę mego tłumoka do 46 funtów podniosły ¹⁾«.

Dajmyż na to, że w tych słowach było wiele przesady. Jakikolwiek jednakże mógł być stosunek między ową trochę bielizną a wierszami: zawsze przy-

Wreszcie donosi korespondent, że się w rzeczonyj książeczce mieścić mają elegie, melodye, dumania, sonety, urywki i rozmaite drobne wiersze; i dzieli w Kłósach na próbę „Piosnkę dziewczyny“, która zdaje się być ustępem z jakiejś dłuższej całości. —

Skoro tylko w ten sposób się dowiedziałem o egzystencji i miejscu tego zbioru poezyi, udałem się listownie do osoby będącej w ich posiadaniu, prosząc o pozwolenie wcielenia ich do powszechnego zbioru pism Słowackiego pozgonnych, których wydanie tu we Lwowie właśnie się wtedy przeprowadzało. Gdyby tego potrzeba była, ofiarowałem się złożyć i honorarium, byleby tylko zapewnić tym rzeczom ocalenie, a wydaniu mojemu nadać zaletę istotnej kompletności. Nie wiem, czy list mój nie doszedł owych rąk, które (jak się autor brukselskiej korespondencyi wyrażał „będą umiały zrobić z odszukanego rękopisu użytek“ — czy też raczej tam osądzono, że ten użytek koniecznie musi być zrobiony viribus separatis. Dość że starania moje pozostały bez skutku. Wcale nie, raczyła osoba owa nawet odpowiedzieć na mój list. Skończy się pewnie na tem, że te rzeczy albo przepadną albo kapaniną pojawiać się będą w pojedynczych numerach jakiego dzienniczka emigracyjnego, który tu w kraju — przy i tak już zbyt ciężkiej ciżbie najrozmaitszych pism peryodycznych — mało przez kogo będzie czytany. (P. A.). — Rękopism ten poezyi Słowackiego pozostał do tej chwili (1900 r.) nieznany i zapewne już zaginął.

¹⁾ L. I. 36.

puścić można, że było tam materiału zadosyć, ażeby czem zapełnić parę tomików. — Od owego czasu upłynęło znowu kilka miesięcy. Minęło lato — i jesień; nadeszła zima, na początku której, jak to wyżej już powiedziałem, u Słowackiego zazwyczaj krynice poetyczne wzbierały. Dawne zasoby warszawskie zapewne pomnożone zostały znowu jakim świeżym przybytkiem. Było tedy co drukować, i gorąco tego pragnął młody poeta. Ale życzeniu temu stał na przeszkodzie brak funduszu potrzebnego na pokrycie kosztów nakładu. Nadzieja znalezienia nakładcy pomiędzy wydawcami z rzemiosła, rozbiła się bardzo rychło o nieprzewyżczone trudności. Pośród rodaków było wprawdzie niemało takich, którzy robili Słowackiemu wyrzuty, iż niczego nie drukuje; ale takiego, któryby się ołiarował z materialną pomocą do ogłoszenia dzieł jego, takiego między nimi nie było. Szukać go i wyciągać rękę po datek, jakby po jałmużnę — tego Juliusz nie chciał. Wynikło tedy ze wszystkiego bardzo rychło to smutne przeświadczenie, że jeżeli te dzieła miały kiedy być ogłoszone, to chyba własnym nakładem. Ale skądże go było wziąć, kiedy autorowi zaledwie wystarczało na życie? Przez czas jakiś, zaraz za przybyciem do Paryża, nosił on się z myślą, że może na innej drodze trafi do celu. Najdonośniejszą i najprędzej wynagradzającą pracę autorską galezią w literaturze francuskiej było już w owych latach powieściopisarstwo. Słowacki władał niezłe językiem francuskim; ułożył sobie zatem napisać romans po francusku, osnuty na tle stosunków polskich. Honorarium, któreby za niego od Francuzów otrzymał, zamierzał włożyć w wydawnictwo swoich poezyi. Chociaż się zawsze wzdrygał przed myślą pisania czegoś, że tak powiem, na obstalunek, za pieniądze i dla pieniędzy: wtedy jednak przez wzgląd na to, że nieraz wiele robi miłość kochającego ojca dla swoich dzieciąt, potrzebu-

jących sukienki, w którejby się na świecie ukazać mogły, — wziął rzeczywiście pióro do ręki i zaczął pisać powieść francuską. Było to w styczniu 1832 roku. Znajdujemy o tem w jednym z listów z owego czasu następującą wzmiankę:

»Kręcą mi się po głowie teraz wszystkie anegdoty, bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku — z naszych oryginałów. Scena na Ukrainie — głównymi osobami są ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery¹⁾ i drugi, co podróż do Turcyi czy do Arabii odbywał (Rzewuski), a trzeci geometer Zszantyr, znajomy wam ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami i długimi rozmowami w guście Walter Scotta, i z długimi obiadami — w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków; słowem będzie to *chef d'oeuvre*, za które mi powinni jako za takie zapłacić. Mam już 5 rozdziałów i tylko mi jeszcze 25 nie staje — to bardzo nie wiele! Ale nie mówcie o tem nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z nimi spotkać. *J'ai cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce — pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde.* Stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — bardzo przepraszam, uniknę tego, połowę osób wieszając²⁾.

25. / 25.

¹⁾ Był to Ignacy Ścibor Marchocki, o którym mi Eust. Januszkie wicz pisze: „Marchockiego poznałem w Belmoncie i asystowałem wraz z bratem moim Adolfem na uroczystości Cerery w r. 1824“. (P. A.).

²⁾ L. I. 77—9. Powieść ta francuska, o której Słowacki pisze, nosi tytuł „Le roi de Ladava, roman historique de la dernière revolution de Pologne“; tłumaczenie jej polskie, dokonane przez p. J. Amborskiego, ukazało się w „Kłosach“, (Warsz. 1887 Nr. 1156 i n.), rękopis zaś jej posiada obecnie p. L. Méyet w Warszawie. Ob. tom III naszej książki, dodatki.

Z samego tonu baraszkującego, jakim tu sam autor o dziele swoim przemawia, wynika, że nie przywiązywał doń żadnego znaczenia i traktował je jako robotę rzemieślniczą. Jakoż zdaje się, że się na owych pięciu rozdziałach rzecz też podobno urwała; ani bowiem nie takiego za życia jego z druku nie wyszło, ani też nie wspomniął już drugi raz o tem Słowacki w korespondencyi. Ziszcilo się zatem i przy tej sposobności, co był już dawniej napisał: »za pieniądze pisać nie mogę zupełnie; ile razy o tem myślę, imaginacją mam zupełnie skrzepłą«, i t. d.

Skoro tedy znikąd nie było widoku otrzymania zasiłku na owo przedsięwzięcie, udał się po pomoc ostatecznie do matki. Zapytywał rodzinę, czyby nie można podnieść jakiego kapitału — i pisał w tym interesie jak następuje:

»Za kilka tysięcy wdzięczny wam będę. Widzicie sami, że dla mnie nie ma innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezye. Czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w mojem życiu, zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem, innej nie spodziewałem się kariery. Kiedy z małego ułomku znany byłem wszystkiemu Polakom w Paryżu i w Dreźnie; kiedy jeszcze dotąd każdy poznając się ze mną wykrzyka: A! to autor Bogarodziecy! czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniej nie zapomnienia! Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi najwięcej w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii — a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecyę, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do Was, jeżeli kiedy będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały¹⁾«.

¹⁾ L. I. 63.

Powiedzmy jednak już w tem miejscu nawiasowo, że ta myśl powrotu do ojczyzny nasuwała mu się wtedy tylko przelotnie. Wistocie bowiem nie wchodziła ona wtedy bynajmniej w stałe jego projektu. W innych listach, pisanych około tego samego czasu, budował on sobie zupełnie inne plany.

»Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy. O powrocie ani myśleć, bo powiedzcie, co bym ja teraz tam robił? Różnica kosztów bardzo mała, czy tam czy za granicą¹⁾«.

I w innem miejscu:

»Często sobie myślę, jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli będę miał jakie przychody, co wynosić będą z 5000 franków na rok: wtenczas małko przyjedziesz do Dreżna — tam życie bardzo tanie — najmiemy sobie jaki wiejski domek pod miastem — i może będzie nam dobrze! Dreżno bardzo lubię i radbym tam wrócić²⁾«.

Matka pocziwa zrozumiałwszy żądanie syna, dotyczące owej sumy na druk poezyi, uczyniła niezwłocznie, co tylko mogła, tak iż już list Juliusza z d. 7 marca 1832 r. zaczynał się od słów:

»Mamo kochana! nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy! I Tobie to, Małko moja, winienem jedynie szczęście, jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi; za dwa miesiące będziesz je Mama miała; to taksamo, jakbyś mnie zobaczyła — bo ja nie jestem niczem innym, jak moimi poeziemi³⁾«.

Z dalszego toku listu dowiadujemy się o wszystkich niemal okolicznościach ubocznych, które towa-

¹⁾ L. I. 72. ²⁾ L. I. 71. ³⁾ L. I. 81.

rzyszyły oddaniu pod prasę owych poezyi. A że wiąże się z tem i inny jeszcze szczegół, o którym w biografii Juliusza zupełnie przemilczeć trudno: przytaczam tedy rzecz tę całą własnymi jego słowami:

»W poniedziałek, dnia 20 lutego, siedzę rano u siebie: aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków, i natychmiast składa mi na stół całą sumę w biuletach, razem z listem od Mamy. Od tej chwili inne zaczęło się dla mnie życie.... Nazajutrz rano poszedłem do drukarza Pinard o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinard (najstarszą), której narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzeczny dla mnie. Ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztować nie tak wiele, jakem się spodziewał. (Kosztowały go 2000 franków, jak w innem miejscu nadmieniam.) Potem zostałem z panną Pinard i z tą długo gadaliśmy.... Chodźko mówił mi, iż ode mnie o trzecią część biorą taniej, niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze się poznawać z panienkami — dobrze się zostać przy kominku i o czem innem niż o interesach pogadać¹⁾«.

W pięć dni później opisywał Słowacki matkę bytność swoją na obiedzie u panien Pinard, na który był proszony, i powiada co następuje:

»Znalazłem tam Chodźkę (Leonarda). Średnia z panien, których jest trzy, nazywa się Kora. Śliczna! Zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja jak zawsze nieszczęśliwy więcej daleko podobiałem się pannie Pinard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa, a ponieważ mam dobre uszy, podsłuchiłem jej rozmowę z Chodźką. Mówiła mu, że mnie znajduje bardzo

do rzeczy i z dowcipem, a on jej na to odpowiedział: *«Mais, les Polonais ne sont pas bêtes»*! Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, iż zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupimi! — Po obiedzie zostałem sam z pannami, i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypominały mi się ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem)«.

W niespełna miesiąc potem (dnia 8 kwietnia), znowu pisał matce tyle jeszcze o tejże okoliczności:

»Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć; dziwne prawdziwie moje lekye! Starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jej mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny bardzo się wykształcają; chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób. Panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem. Dziwna dziewczyna! Mówiłem wam, że Hiszpanki ma zakrój. Wieczór ze Skibickim na włoskiej operze pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków: a jednak — nudziłem się²⁾«.

I jeszcze raz, w tymże liście — wraca do owej dziewczynki z okazji innego zdarzenia:

»Cholera w Paryżu! Z rana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15-letni umarł na cholere. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali wokoło bladzi i przerażeni, tak że nikt się tknąć chorego nie ważył — moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i da-

¹⁾ L. I. 83.

²⁾ L. I. 92. ²⁾ L. I. 97—8

wała lekarstwo; gdy się o tem dowiedziałem, chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i pocałować; szczęściem że rozważa przybyła mi w porę ¹⁾«.

W ciągu tego wszystkiego, druk poezji postępował raźnie naprzód. Uwaga rodaków na emigracji żyjących zwracała się coraz więcej na młodego poetę i zdarzały się czasem okoliczności, które go zachęcały w jego zawodzie, ośmielały w rozumieniu o sobie, a częstokroć też niestety bałamuciły i psuły. Podsycały bowiem tę próżność i miłość własną, którą mu wprawdzie wszyscy chętnie wybaczymy zważywszy, że był to bardzo młody człowiek natenczas, ale która ostatecznie nie należała bynajmniej do warunków jego powodzenia autorskiego. Raczej przeciwnie! Jedną okoliczność taką sam szeroko opisał. Był to dzień 25 marca, przeznaczony na obchód uroczysty rocznicy litewskiego powstania.

*Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego (wydawcy Revue Encyclopédique, znanego z życzliwości dla naszych), list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackiem czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem ody, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszła wieczór — ogromne zgromadzenie — mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette prezydował, wszyscy czytali po francusku, kutasy ²⁾ także. Czytano wiersze francuskie ³⁾ — potem na końcu Wiceprezes ⁴⁾ obracając się do zgromadzenia rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich (!), aby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana Słowackiego, aby zasiadł miejsce. Pan Słowacki nie zasiadł, lecz stojąc mówił.... cóż? trudno opisać. Rzuciłem całem

¹⁾ L. I 95. ²⁾ Lelewel. ³⁾ Czytał Ludwik Lemaitre.

⁴⁾ Cezary Plater.

zgromadzeniem; potem rozlałem wiersz ody, i powiedziałem jedną śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, — znów wróciłem do ody — i zakończyłem myślą z Lambra wyjętą. Wypiszę ją tu:

»Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskiecie....
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa —
Chociaż tym liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie.... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie;
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie«....

*Po skończeniu Prezes ścisnął mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę. Starzec interesujący! Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko rozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam — obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić — i znów spojrzałem, i jeszcze to samo spojrzenie; żeby tak długo, tobym zwaryował. Potem słyszę głos jednej damy po polsku pytającej się wszystkich o mnie. Była to pani Białopiotrowicz, którą w Dreźnie znałem. Ta skoro mnie spostrzegła, przyleciała z krzykiem: »Ach! serce pana!« Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jej moje serce podoba; potem wynawiała mi, że u niej nie byłem; Potem zapytała, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce zapisać swój adres. Gdybym go był miał, to ręczę, że w pugilaresie znalazłbym potem coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka! Ale ja z najzupełniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem te materiały nieromantyczne, co znacznie węg jej osłabiło, tak iż tylko o mieszkaniu samem dowiedziałem się. Potem w kilka dni

byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów nowe od obojej płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że Odeę zrozumiał¹⁾«.

Podobnie odurzały go także dochodzące ze wszech stron wieści o recenzentach, o tłumaczach i t. d. już gotowych do rozsławienia imienia jego na wszystkie konce świata i tylko oczekujących z natężoną niecierpliwością wyjścia drukujących się poezyi.

»Dowiedziałem się — pisał z niezachwianą ufnością w ich powodzenie, w listach z d. 7 marca i 7 kwietnia, — że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyi pisać... Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Byrona — i będzie mnie oszukiwał.... Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął się do tłumaczenia mego Mnicha i Araba. Skibiński pisze do Revue Encyclopédique o moich poeziach, i tam będą unieszczone dwa Lemaitra tłumaczenia.... Sienkiewicz (Karol) dowiedziawszy

¹⁾ L. I. 93—5. — „Obchód rocznicy powstania litewskiego, które Towarzystwo litewskie i ziem ruskich urządziło, dał poznać Słowackiego. Ale zanedo przyznaje on wagi słowom Julliena de Paris, który jako dawny sekretarz Robespiera i autor Życia Kościuszki, miał tylko tyle poważania, ile jego metoda użycia czasu (? — myśl dla mnie niezrozumiała). W wierszu swoim Słowacki zresztą nie był wieszczem, bo zapowiadał, że na kolumnie Vendome

.... „może z przyszlą wiosną
Chwasty z liliami Burbonów porosną“.

„Towarzystwo Litewskie było zawiązane tylko w celu utworzenia Komitetu Wojskowego, aby powstańcom tej prowincji dawnej Polski udzielić rangi według ich zasług, na co Rząd francuski przyzwalał. Protestowało przeciw legii tworzonej przez Generała Bema na obronę tronu Donny Maryi i rozwiązało się, aby uniknąć oskarżenia, że nadwężyła Unię Lubelską“. (Z notatek Eust. Januszkiewicza). (P. A.).

się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Błotnickiego z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał, bo je chce na angielski język tłumaczyć. — Widzisz, kochana Matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem, że wszyscy moi tłumacze lepiej niż ja wyjdą. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłumaczyć będzie — i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc że Sienkiewicz daleko większym odemnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykołę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłumaczone moje poezye¹⁾«.

Przytoczone ustępy wystarczą, ażeby czytelnik powziął wyobrażenie o stopniu błędnego upojenia, jakim odurzały poetę, — przed ogłoszeniem jeszcze poezyi — ryczałtowe pochwały ze strony osób bezpośrednio go otaczających, osobiście jemu życzliwych, zresztą olśnionych nowowschodzącą gwiazdą jego poetyckiej sławy. Cieszył on się tej sławie swojej, jak dziecko cacku, za którem dawno, za którem długo gonilo, a teraz ma je już tak blisko przed sobą, że dość wyciągnąć rękę, ażeby je pochwycić. Było to jedyne pragnienie jego na ziemi, jedyna namiętność, powiedziałbym: jedyna sprawa, która go przywiewiała do świata. Dla tej marnej sławy potomnej wszystkiego się wyrzekał. Teraz zdawało mu się —

¹⁾ L. 82 i 97. Nie od rzeczy może będzie już w tem miejscu nadmienić, że oprócz przekładu na język francuski Bogarodzicy i Araba, dokonanego przez Lemaitra, żadno z tłumaczeń tu zapowiedzianych do skutku nie przyszło. Skończyło się to więc na niedoszłych projektach z jednej strony, a na płonnych nadziejach z drugiej. — Przekład Lemaitra wyszedł 1833 r. w Revue Europ. — i także w osobnej odtbitce p. t. Notice sur les poésies de J. Słowacki. Paris 1833, 8-ka, str. 16. (P. A.).

po raz pierwszy w życiu, w życiu tak jeszcze młodem, że ją ma osiąść nareszcie. Przebaczy mi, że go tu pochwytyjemy na rojeniach, które tchną taką dozą próżności i dumi. Coby to było gdyby się te rojenia były ziściły od razu!...

Były jednak chwile, gdzie się Juliusz w tem wysokim rozumieniu o sobie i cokolwiek miarkował; gdzie mu na myśl przychodziło, że ani na uwielbieniach ludzkich, ani też na własnych o sobie samym mniemaniach tak bardzo nie należy polegać. Opowiada w tymże samym liście matce n. p. następujące zdarzenie:

»Byłem na mszy żałobnej, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za zmarłego ojca. Celebrował X. Praniewicz, Polak, Żmudzin, który aż po Ameryce walczył się i od pięciu lat w Paryżu usługę ołtarzowi pełni. Wielki oryginał! Potem ksiądz zaprosił nas na śniadanie do siebie, ale fraszka śniadanie. Ksiądz jest poetą — pisze — drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze — i te nam śpiewał przy fortepianie; nie dziwniejszego jak ta melodia! Najwięcej mi się podobała strofa, w której ksiądz Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski
Narodowi temu wierny,
Z mojemim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po egzemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą; pochwały nasze utwierdziły go w tem mniemaniu¹⁾. Była to jednak dla mnie scena nauczająca, aby mniej ufać miłości własnej — mniej po-

chwale cudzym — scena bardzo potrzebna; bo czy uwierzycie, że dowiedziawszy się o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie wydającego poezję zrobił miejsce na świecie?... Matko moja, widzisz jak szczerze piszę ten dziennik — piszę nawet głupie moje marzenia«.... i t. d. i)

Wreszcie nadeszła chwila (było to d. 12 kwietnia 1832 r.), gdzie leżały już przed nim gotowe obydwa tomy »Poezyi Juliusza Słowackiego«, i gdzie matce przesyła radosne doniesienie:

»Mam poezję moje i pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem niewyczerpanych przyjemności. Matko moja, zdaje mi się, że Ciebie te poezje nie zmartwią — chyba zasmucisz się tymi kilką błędów drukarskich, których Twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec Żmii błyszcza te omyłki straszliwym blaskiem. — Dziś obaczyłem u Pinard regestr ludzi sławnych, zawarty w biografii Contemporains, z S litery taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej itd. Widzicie, że w dobrem jestem towarzystwie. Ucieszyło mnie to bardzo. Jest to najślawniejsza biografia; ciekawy jestem, co o mnie piszą — będę się starać dostać jej. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezje; a stąd niewiem, z czego mnie tam sławnym zrobili?... Posyłam Wam egzemplarze z podpisami; nie wielu osobom posyłam (było takich egzemplarzy 13), a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować, aby te osoby, które odenionie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególnie szanuję i kocham.... A Ty, kochana Matko, jakimże sposobem mógłbym ci dać poznać, że Ciebie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam? Czy Ty nie

¹⁾ L. I. 95—6.

¹⁾ Tenże sam ks. Praniewicz namaścił Słowackiego na śmiertelnem łożu olejem świętym.

odgadniesz, Matko moja, co ja czułem podpisując dla Ciebie egzemplarz?... Na drugi dzień po wyjściu dzieł, Oleśczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił; jak wyjdzie, przyszlę go Wam. Wierz, kochana Mamo, że tyle tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mnie już krytyki nie nie obchodzą; martwię się tylko błędami druku; ale spodziewam się, że będę mógł prędko drugą edycją wydać i te błędy zgina¹⁾.

W tym sensie list ten nieco się jeszcze przedłuży; nakoniec kończy go Juliusz temi słowami:

»Bądźcie zdrowi i szczęśliwi — ja jestem szczęśliwy. I gdyby nawet 2000 franków, wydane na druk dzieła, nie wróciły się, to powiem, że nie drogo szczęście kupi²⁾.

To wydawanie dzieł, te różne zajęcia, jakie z tego wynikały w dalszych następstwach, wyczerpywały i czas i całą myśl młodego poety do tego stopnia, że wszystkie inne względy zupełnie im ustępowały miejsca na

¹⁾ Odnośnie do tego listu, brzmi notatka mi udzielona przez Eust. Januszkiewicza, jak następuje: „Wszystko, co Juliusz pisał do matki o dwóch pierwszych tomach, o ich przyjęciu przez ziomków w Paryżu mieszkających i t. d. było wymarzone w jego wyobraźni. Podczaszyński i Mochnacki wydawali podówczas pismo swoje pod imionami królów polskich, jak ja pod imionami ludzi sławnych (dla uniknięcia kaucyi — dopiero bowiem w 1833 roku otrzymaliśmy pozwolenie użycia ogólnej nazwy). Gdyby poezye Juliusza były sprawiły najmniejsze obudzenie ciekawości: czyżby Maurycy czegoś o nich nie powiedział — on, co pierwszy Maryą Malczewskiego pochwalił? W listach Kamilla do rodziny pisanych jestże jaka o nich wzmianka? Bardzo być może, że jak Pan niżej powiadasz, utwory Słowackiego dopiero zyskują po ich przeczytaniu powtórnem. Ale jak było zniewolić rodaków do tej ofiary, nie rozumiejących wcale, o co Autorowi chodziło?! Ta obojętność towarzyszyła i tomowi trzeciemu i sam Słowacki w przedmowie świadczy o niej“. (P. A.).

²⁾ L. I. 99—100.

pierwszym planie¹⁾. Znajomość z panną Korą, tyle zrazu obiecująca, zeszła z czasem do rzędu rzeczy ubożnych, obojętnych. Minął miesiąc cały i więcej, odszedł list jeden i drugi, i ani słówkiem nie donosił w nich matce, co się dzieje z panną Korą. Ale matka była zaciekawiona — skłaniała się ku przypuszczeniu, że milczenie właśnie dowodzi, iż uczucie żyje i wzrasta.... w końcu wręcz zainterpelowała jedynaka swojego, jak ta rzecz jest? Na interpelacyą otrzymała odpowiedź taką (d. 4 lipca 1832 r.):

»Milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał. Nie! Wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się Wam wydaję. Przez grzeczność kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham; ona mi się przyznała, że mnie kocha — a wtedy zapytałam ją, co robi, jak ją kochać przestane? Odpowiedziała mi, że się otruje, albo że się utopi; a z tej odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jej, że się ani zabije ani utopi, chociaż ją kochać przestane. I zacząłem kaprysić i przyprowadzałem ją do gniewu: dawałem uciec że jeszcze dziecko — słowem mściłem się na niej za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznicy, jak mówi B. Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem, z jakiej przyczyny, ale wpadła w gorączkę — w gorączce miała *délire*, a z tego siostry musiały się tajemnicy jej serca dowiedzieć; widząc, że nadto zły byłem w mojem postępowaniu, postanowiłem aby mnie zapomniiała. Powiedziałem jej to, i przez miesiąc nie poszedłem do nich. Pozaproszę niedzieli przechodząc przez modną aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wyelegantowanych dam ujrza-

¹⁾ Z tych czasów dochował się liścik Słowackiego do Leonarda Chodźki, w którym donosi, że posyła mu 52 egz. swoich poezyi do rozprzedaży. (Tydzień, dodatek do Kuryera lwowskiego, 1894 Nr. 9).

łem znów pannę Korę z siostrami. Ukłoniłem się z daleka i przeszedłem. Ale pani Barateau, także jej siostra, posłała swego kuzyna, żeby mię szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały — z bardzo wesołą twarzą; siadłem przy nich na krzesła, gadałem przez godzinę. Panna Kora czerwieniła się i bladła: potem damy wstały, musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała siostry: »Z którego to mostu *la duchesse de Guiche* rzuciła się w Sekwanę?«. Uzupełniłem, że to zapytanie było delikatnem przypomnieniem mojej niestałości i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która kiedyś znała *duchesse de Guiche*, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie — siadam przy nich czasem na kwadrans Ale dość o tem, już i tak czuję, że się Wy ze mnie śmiać będziecie¹⁾.

W dalszych listach nieraz jeszcze napotykają się dorywcze wzmianki o tym stósunku. Wynika z nich, że Słowacki bywał w tym domu potem znowu często i przesiadywał pomiędzy panienkami nie kwadrans, ale nieraz długie godziny.

»Bawi mnie bardzo otwartość Kory — pisał krótko potem w jednym liście — wszystko mi gada jak pacierz²⁾.

Albo w innym miejscu:

»Smutno mi — ale cóż robić? Jutro pójdę do Kory. Może kiedy mi zacznie patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy; choć dalibóg nie Kocham jej³⁾.

I bez tego zapewnienia okazuje się jasno, że o miłości prawdziwej nie mogło być mowy co do jego

osoby. Być może, że gdyby mu Kora przy własnościach, jakie miała, była zaimponowała czemś wyższem, niepospolitem, a choćby wreszcie i samą tylko niewzajemnością: byłaby może wzięta znajomość ich inny obrót. Bo młody nasz autor zajmował się bardzo łatwo i wielce lubił wiedzieć o tem, że sprawił na kim wrażenie. Ażeby jednak odezwało się u niego i serce: do tego potrzeba było silnego wzruszenia wyobraźni, a tę rozbudzały tylko twarde, uporeczywe i niepokonane trudności, który bodły jego dumę. Takimto sposobem wzrosło u niego przywiązanie do Ludwiki, choć odpłacane niewzajemnością, do rozmiarów w rzeczywistości może nie takich, jak je wystawia w *Godzinie Myśli*, ale zawsze niepospolitych. Pod tymi warunkami byłaby może trwalsze sprawiła wrażenie i ta 15-letnia dziewczynka o hiszpańskich rysach twarzy przy naiwności francuskiej. Ale Kora zbyt skwapliwie przyznała się do uczuć, jakie w niej wzbudził. To wystarczyło, ażeby wspomnieniom pierwszej miłości zapewnić i nadal wyłączne miejsce w wyobraźni Juliusza.

To też właśnie do tegoż listu, w którym w taki sposób mówił o Korze, dołączył Słowacki z powodu ogłoszenia dzieł swoich i bilet do Ludwiki Śniadeckiej. Przerwał nim kilkoletnie milczenie, jakie trwało pomiędzy nimi jeszcze od czasu wyjazdu z Litwy. Mateo zaś przesłał takie zlecenie:

»Mamo moja, choćbyś miała dwa egzemplarze¹⁾, to jeden poslij Ludwisi — koniecznie! koniecznie.... List ten odeslij, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała.... O gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się²⁾.

¹⁾ Mówi o tych egzemplarzach dzieł swoich, których był kilkanaście wyprawił do rozdania pomiędzy znajomych. (P. A.).

²⁾ L. I. 125.

¹⁾ L. I. 109—110.

²⁾ L. I. 114.

³⁾ L. I. 125.

W dzienniku zaś swoim, w tymże miesiącu lipcu r. 1832, zapisał o niej te słowa:

»Myśl o niej jest dla mnie rozdzierającą.... obłąkana.... wpadła w czarną melancholię... nikt ją nie przywiązuje do świata.... ona może teraz w ciemnym pokoju, z oczyma zwróconemi na jedno miejsce z obłąkaniem, szuka nadaremnie obrazów przeszłości. Gdybym mógł tak stanąć przed nią, blady, milczący, przycisnąłbym ją do serca i może mój głos obudziłby w niej jakie miłe wspomnienie.... O gdyby ona wyjechała za granicę! Szedłbym za nią jak cień — jak anioł strzegący ją od nieszczęścia, a jeśli by chciała, nigdybym się jej nie pokazał.... byłaby zawsze dla mnie jak święty obraz wspomnień¹⁾.

Przez cały ciąg czasu, gdzie się to wszystko działo, Adama Mickiewicza jeszcze nie było w Paryżu. Autor Wallenroda bawił natenczas w Dreźnie, następnie przez tygodni kilka w Poznańskim; a potem.... już po zajęciu Warszawy, znowu wrócił do Drezna. Tu ośladzał sobie owe chwile bolesne towarzystwem Odyńca i Stefana Garczyńskiego, do którego się szczególnie przywiązał. W końcu czerwca czy w lipcu roku 1832 opuścił wreszcie stolicę saską i przyłączył się dobrowolnie do tego zastępu wygnańców, którzy już w nieprzerwanym szeregu, różnemi drogami, przez Niemcy ciągnęli coraz dalej na zachód. Dnia 1 sierpnia stanął w Paryżu.

W listach Słowackiego dawniejszych, datujących z pierwszych miesięcy jego pobytu we Francyi, zachodzą się nieraz wzmianki, że nie znalazł i że ciągle nie znajduje tych osób około siebie, którychby sobie najwięcej życzył. Kogo mianowicie przez to rozumiał,

²⁾ L. I. 18.

tego nigdy nie powiada. Ale imię Mickiewicza prawie zawsze tam bezpośrednio potem następuje wspomniane, z dołączeniem doniesienia, gdzie właśnie wtedy przebywał. Godzi się tedy ze wszech miar wnosić, że z Adamem to głównie pragnął spotkać się gdzie na czas trwalszy Słowacki, i że zatem nie miał pewnie wtedy żadnych jeszcze uprzedzeń przeciwko jego osobie. Przytacza czasem wiersz, wyraz, myśl jaką wyjętą z dzieł Adama, i to tonem, który dowodzi, że go za potęgę poetycką uznawał. Ale po upływie kilku miesięcy, już w stolicy Francyi spędzonych, urosła wzięłość Juliusza. Nazwano go na publicznem rozdawków i Francuzów zebraniu — największym poetą polskim. Pojawiły się dwa tomy jego poezyi. Pierwsze wrażenie, jakie te poezycy na emigracyjnej czytelników masie sprawiły, zdawało się autorowi, że było bardzo pochlebnem. Nie dziw zatem, że po tem wszystkim nie był to już ten Juliusz, co za przybyciem swem do Paryża skarżył się na to, że nie zastał tam Mickiewicza.

Dnia 22 lipca (1832) zapisuje już do dziennika swojego te słowa:

»Mickiewicz przyjeżdża — jest już w Chalons. Mówił mi Podezaszyński, że i Bohdan Zaleski przyjeżdża także. Więc Parnas polski będzie w Paryżu. Jeżeli nazbyt łuczny, to ja z niego ucieknę¹⁾.

W tydzień potem był już Mickiewicz w Paryżu. Jakiż się między nimi zawiezuje teraz stosunek? — Żaden! W liście do matki z dnia 31 lipca sucho i tylko mimochodem tak o tem mówi:

»Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża, ale nie pójde pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze²⁾.

¹⁾ L. I. 117. ²⁾ L. I. 125.

W tydzień potem zapisywał sobie w dzienniku, przesłanym matce w liście z dnia 3 września 1832 co następuje:

»Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku — a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć; starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się razem na wielkim obiedzie. Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie« (a zatem pierwszy krok zbliżenia zrobiony był według tego świadectwa przez Mickiewicza!) »i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał (dzieckiem.... Przypominałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim¹⁾). Śniał się z przypomnienia, potem przypo-

¹⁾ Zdarzenie, do którego się ta wzmianka odnosi, było następujące: Wiadomo, że w pierwszych czasach pojawienia się romantyzmu w naszej poezji, do najzarliwszych przeciwników tego kierunku należał Śniadecki, profesor astronomii i wysłużony rektor akademii wileńskiej. Wskutek rzetelnych i wielkich zasług położonych przez niego w poprzednich czasach, było znaczenie tego męża i naówczas jeszcze w akademii takie, jak żadnego innego profesora. Jego zdania nadawały niejako ton i kierunek zachowania się względem tej kwestyi i innym profesorom. Zaczem poszło, że jak młodzież uniwersytecka garnęła się bez wyjątku pod sztandary nowych pojęć w tej walce literackiej: tak znowu profesorowie, a mianowicie starsi, stali uporczywie po stronie klasyków. Otóż wśród dość naprężonych stosunków między jedną stroną a drugą, pojawił się w r. 1822 pierwszy tomik poezyi Adama Mickiewicza. Zawierał głównie ballady, oprócz ballad także kilka poczyi ulotnych, a między nimi i wiersz zatytułowany *Romantyczność*, w którym poeta wręcz rzucił rękawicę kierunkowi reprezentowanemu przez Śniadeckiego i nawet jego osobę dość wyraźnie pod figurą mędrca ze szkieletem w osnowę rzeczy wprowadził. Zdarzyło się, że właśnie po odczytaniu tego tomiku Śniadecki nieukontentowany i cały pod wrażeniem niesmaku rzeczy, których piękności nie pojmował,

umiał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał.... Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę.... jeden z Po-

odwiedził kolegę swego doktora Bécu, który jak wiadomo był ojczymem Juliusza. I zastaje u niego przypadkowo liczniejsze towarzystwo, a między innymi także i Mickiewicza! Cóż robi? Udaje, że go nie spostrzegł; że nie wie wcale, iż on tutaj obecny. I zaczyna mówić o niedorzeczności i śmiesznościach poezyi, których tom właśnie rąk jego doszedł — w sposób nie tylko sarkastyczny, ale i w najwyższy sposób upokarzający dla autora, a to tem bardziej, że i gospodarz domu, rozochocony tem niby nieporozumieniem, dopomagał Śniadeckiemu w tym niewczesnym zapędzie, wyzywając go do coraz dalszych uszczypliwości. Mickiewicz milczał. Był on wtedy jeszcze w towarzystwie osób starszych nieśmiały, i znajdował się nadto o tyle w położeniu arcyfałszywym, że miał przed sobą same hierarchie w zawodzie nauczycielskim, do którego i sam wtedy jako profesor szkół kowieńskich należał. Oprócz tego był on z różnych przyczyn i osobiście zawisły od tej starszyny; nie śmiał zatem wręcz wystąpić w własnej obronie. Milczał więc: i tak skończyło się owym razem na jego tylko upokorzeniu. Ale im tego niezapomniał! Wziął ten objaw literackiego antagonizmu ze strony Śniadeckiego i gospodarza domu za coś więcej, bo za jeden z licznych dowodów usposobienia ich, nieprzyjaźnie zwróconego przeciwko rozbudzeniu ducha wogóle w gronie litewskiej młodzieży. Że się w tem mylił, tego mógłby nam dowiedzieć sam żywot Śniadeckiego w całości wzięty — żywot poważny i do samego zgonu bez skazy. Ale w sporach ówczesnych grały namietności i rozdrażnienia. Życzliwego pobłażania ani wyrozumienia nie było ni z jednej strony ni z drugiej. — Takie więc wrażenie wyniósł Adam z owego wieczoru. I zachował je długo w pamięci, i nie darował. W trzeciej części *Dziadów* objawił sąd swój o ludziach owego obozu nie-miłosierdzie i (przynajmniej co do niektórych pomiędzy nimi) niesprawiedliwość. Lecz to miało nastąpić dopiero później. W czasie, kiedy rozmawiał z nim o tem Słowacki, tej części *Dziadów* jeszcze nie było. (P. A.).

Autentyczność tego zdarzenia usiłował zachwiać A. E. Odyniec w swoim liście do J. Treliaka, ogłoszonym przez tego ostatniego w przypiskach do dzieła: „Mickiewicz w Wilnie i Kownie“ (t. III. 197). Bałamutność i niezgodność w przedstawieniu faktów przez Odyńca wykazał dowodnie p. Hösick (*Życie Słow. I. 109*).

laków stojący za mną i podechmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny — i temi słowami pomieścił zupełnie naszą rozmowę.... Podczas obiadu Cezary (Plater) biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie; był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Chopin sławny fortepianista grał nam.... gadaliśmy różne poezye, słowem że dobrze nam zszedł wieczór. Wielu było Wołynianów, wiele wypiliśmy szampana.... Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy; na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek, wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia i t. d.... W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nie się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do 2 w nocy, pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie¹⁾.

Przy podobnych sposobnościach widywali się za tem obydwa poeci. Znajomość ich byłaby się może powoli zmieniała w zażyłość coraz ściślejszą, tem bardziej że nie było i bez literackich stosunków, które ich ze sobą utrzymywały w jakimkolwiek związku. Założone zostało w łonie emigracji Towarzystwo Literackie. Prezesem tego towarzystwa był Mickiewicz. Miał sobie do pomocy przydanych kilku radców towarzystwa. Jednym z nich był Juliusz wskutek wyboru kolegów. A więc były stałe pewne dni takie, gdzie się obydwa schodzili i gdzieby się koniecznie byli powinni zrozumieć i zbliżyć do siebie. A przecież — pomimo tego wszystkiego — do zbliżenia między nimi nie przyszło! Nieprzebytą tamą pomiędzy nimi, na długie czasy, stanęła pogłoska, przyniesiona

przez nie wiem kogo skwapliwie Słowackiemu o Mickiewiezu, jakoby on w gronie poufnych przyjaciół miał być zganić poezye jego. Pisał Juliusz o tem do matki (pod datą d. 3 września 1832 r.) jak następuje:

»Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach: powiedział, że moja poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiany — jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga nie ma!... Prawda że śliczne i poetyczne zdanie? Podobne do jego sonetu pod tytułem Rezygnacya!¹⁾.

Od tego czasu już się Juliuszowi nie w Mickiewiezu nie podobało. Raziły go wszystkie właściwości jego indywidualizmu, tak te, które dotyczyły powierzchowności, jak i wewnętrzne. Z powodu pewnego wieczoru u XX. Czartoryskich, donosił na przykład takie szczegóły (w liście z dnia 4 października):

»Na wieczorze był i Mickiewicz; nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichowsku wygląda — z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym! Zbliżywszy się do mnie, powiedział: »Jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem; na oku tem jest napis *Napoleon Empereur* — i to oko ciągle tkwi w mojej pamięci«. — Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego inuaginyacya tak tem okiem, zapewne udanem, a może szklanem, dla wyłudzenia pieniędzy wsadzonem, zapaliła. Wołałbym, żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami.... Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie²⁾.

Niemniej ciekawa jest wzmianka, rzucona w liście o miesiąc późniejszym (z dnia 9 listopada):

¹⁾ L. I. 128—30.

¹⁾ L. I. 131—2. ²⁾ L. I. 140.

»W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinard tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część Dziadów. Jeszcze jej nie znam. Ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religią na plac wprowadza — uniewinnia Papieża, nawet bullę, słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba¹⁾.

Że zdanie o tem ostygnięciu Mickiewicza w poezyi nie ze wszystkiem było prawdziwe, a mówiąc wręcz i otwarcie, że było jak najzupełniej fałszywe: o tem przekona czytelnika sama uwaga, że były to czasy, gdzie Adam pracował nad największym swem dziełem, nad Panem Tadeuszem! Ale pozornej prawdy mogło jednak być nieco w owem spostrzeżeniu Juliusza. Weźmy na przykład list Mickiewicza do Odyńca z dnia 8 grudnia 1832 r. a zatem około tychże czasów pisany, a znajdziemy w nim niejedno, co za komentarz posłużyłoby mogło do powyższego sądu o jego naówczas niepoetyczności. Mówi w nim Adam o sobie co następuje:

»Piszę teraz poema szlacheckie, w rodzaju Herman i Dorothea (Göthego); już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszej. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadomej tobie przyczyny, tyle kłopotów korekty (około trzeciej części Dziadów, i Ksiąg Narodu), i prócz tego tyle różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić²⁾.

A w miesiąc później pisał jeszcze tak:

¹⁾ L. I. 148—9.

²⁾ Koresp. A. Mickiewicza 1880. T. I. 105.

»Ja tu żyję niemile wśród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą — doktrynery mają za waryata. Wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni.... Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać* i t. d. (Mickiewicz do Odyńca — Paryż 28 stycznia 1833¹⁾).

Był zatem Mickiewicz w owych czasach rzeczywiście na wskrós skwaszony i zgorzkniały. I jeżeli się to jego usposobienie — jak jest prawdopodobnem — dawało czuć całemu jego otoczeniu: to szczególniej raziło oczywiście naszego poetę. Ten bowiem ani sam już wtedy sympatycznie na Adama nie spoglądał, mając osobiste swoje żale do niego, ani też nie był i przez niego sympatycznie widziany. Kierunek bowiem ówczesnej autorskiej czynności Słowackiego nie podobał się Mickiewiczowi. Był tedy pomiędzy nimi mniej więcej ten sam stosunek, co w pierwszych czasach między Schillerem a Göthem, kiedy ten ostatni powrócił z podróży włoskiej i żył cały w przypomnieniach owej harmonijnej, niezem niezamąconej, posągowo spokojnej klasyczności starożytnych arcydzieł, jakich się tam napatrzył, — a tu mu przyniesiono z wielką wrzawą uwielbienia Ardinghello Heinsego, Zbójców Schillera i inne początkowe utwory tego poety właśnie co tylko wydane. Aż mrowie przeszło Göthego na ten zgrzyt bolesnych, żywotnych, genialnie wypowiedzianych — ale zawsze dyssonane! Poznanie się jego z Schillerem odbyło się bardzo oziębłe. I wiele czasu upłynęło, nim się ostatecznie zbliżyli oni do siebie i pojęli i polubili. Otóż mutatis mutandis — podobny zachodził stosunek i teraz pomiędzy obydwo-

¹⁾ Tamże I. 108.

poetami naszymi. Zrozumieć się oni nie mogli. Każdy z nich szedł inną drogą¹⁾.

Ażeby się o tem przekonać, że w samej rzeczy szedł już wtedy każdy z nich drogą odmienną, trzeba nam o tem nieco szczegółowiej pomówić. O Mickiewiczu wszelako rozwódzić się tu nie będziem. Czego on żądał i pragnął, jak pojmował wtedy zadanie swoje, emigracyi i narodu naszego: to każdemu z czytelników moich byćby powinno wiadomem. A ktoby mniej jasne miał o tem wyobrażenie, niechże weźmie do ręki jego Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, a znajdzie w nich całe wyznanie wiary tak politycznej jak społecznej tego genialnego poety. Pismo to powstało właśnie w r. 1832, a zatem słusznie uważane być może za zwierciadło i że tak powiem, za manifest jego ówczesnych przekonań. — Juliusz Słowacki nie miał wtedy jeszcze, ile mi się zdaje, tak jasno wytkniętych kierunków przed sobą. I wiek jego nie był jeszcze po temu i cała natura jego więcej była jakaś nierzeczywista, irracjonalna. Mickiewicz przy całej swej podniosłości nieskończenie przewyższał go realizmem. Mickiewicz szukał wszędzie żywiołów pozytywnych, dodatnich; szukał pewnika, dogmatu — Słowacki marzył, poetyzował.... Pierwszy wiedział zawsze, do czego dążył i co zamierzał: — drugi łatwiej byłby podobno z tego zdał sprawę, czego nie chciał; sfor-

¹⁾ Przedstawieniu stosunków Mickiewicza ze Słowackim poświęcona jest sumienna rozprawka A. Mazanowskiego: „Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego“. Warsz. 1890. Ob. nadto recenzje tej rozprawy M. Zdziechowskiego (Przegląd polski, 1890 I) i R. Pleniewiczza (Biblioteka warsz. 1890 I). Do charakterystyki tychże stosunków przynosi ciekawy materiał artykuł Chmielowskiego: „Co sądził Słowacki o Konradzie Wallenrodzie“ (Tygodnik ilustr. 1894 str. 236); przytacza w nim autor uwagi Juliusza o poemacie, nakreślone na egzemplarzu wydania petersburskiego.

mułować zaś dobitnie żądań i pragnień swoich dodatkowo — tego w żadnej porze życia swojego, a tem mniej wtedy, nie byłby pono potrafił. Z tem wszystkim instynktowo miał i on jednak swoje kierunki przed sobą. Szedł pewną drogą i w owym już czasie; i jakkolwiek niełatwą jest rzeczą oznaczyć, w jaką stronę pęd jego natchnień się wtedy najprzeważniej skłaniał — niepodobieństwem to jednak nie jest. Inaczej tego wszelako dokonać nie zdołamy, jak jedynie przez szczegółowy rozbiór jego dwutomowej ówczesnej publikacyi. Sądziłyśmy przeto, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelnika, jeżeli w następnym rozdziale przystąpimy do tego krytyczno-estetycznego zajęcia i na czas jakiś przerwiemy opowiadanie o dalszych kolejach jego żywota.

III.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jej stosunek do literatur zachodnich — jej główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacji. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w rok 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart.

Podejmujemy trudne zadanie. Sądy o dziełach Słowackiego są do tej pory nieustalone. Są tacy, którzy się nad nimi entuzjazzmują i radziby je położył w literaturze na pierwszym miejscu. Ale też nie brakuje i na myślących inaczej. Ci je odkładają po przeczytaniu bez szczególnego wrażenia, a często z pewnym niesmakiem. Tak jest dzisiaj, tak było od pierwszej chwili ich ogłoszenia. Przytoczyliśmy powyżej z listów autora kilka ustępów, z których widno, ile dowodu uznania odbierał on od podobnie myślących zobogacenie poezji polskiej swemi świeżo wydrukowanymi dziełami. Zanosilo się zrazu, wedle własnych świadectw, na różne przekłady i krytyczne onebiory. A przecież pomimo tego, w dalszym kołowaniu ani w emigracyi ani w kraju — nie było wielkiego wrażenia te pierwsze tomy Słowackiego Poezyi. Wogóle przeszły one pośród głębokiego milczenia. Nie wiemy o żadnej takiej w pismach tamtego czasu recenzji, o której by warto było pamiętać i dzisiaj jeszcze. Utwierdza nas w tem i sam poeta, kiedy później — na czele przedmowy do tomu III —

gorzkimi słowy skarżył się na tę obojętność ogółu: »Nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze tomy połknęła«. — Nieukontentowany z powodu, że do pierwszych tomów wkładło się kilka pomyłek druku, wspominał był poeta w jednym z ówczesnych listów, że ma nadzieję poprawić takowe w drugiej edycyi. Przypuszczał więc, że potrzeba tejsze da się uczuć niezadługo. I to go także zawiodło. Do powtórnego dzieła tych wydania nie przyszło wcale za życia autora, pomimo że się sprzedawały później nawet za cenę znacznie zniżoną....

Jestże to wszystko okolicznością, któraby bezwarunkowo świadczyła przeciw artystycznej wartości pierwszych jego utworów? Mniemanie takie — zdaje mi się — byłoby mylnem. Ale trudno jednak nie wyprowadzić stąd wniosku, że poezya Słowackiego śnać nie odpowiedziała ówczesnej czy potrzebie czy też smakowi narodu. Musiał być więc między jego poezją a tem wszystkim, co literatura nasza wydała poprzednio, jakiś rozstęp, jakiś brak związku a raczej ciągu, dla którego się to nowe jej zbogacenie nie wydawało zbyt ważnem.

Dla wyjaśnienia tej rzeczy, uważam tu za potrzebne rzucić kilka uwag, które się będą może niejednemu wydawały zboczeniem od właściwego przedmiotu. Sądję jednak, że mi czytelnik zboczenie takie wybaczy przez wzgląd na ważność rzeczy, o którą chodzi. Chodzi bowiem o poszukanie sobie w naszych sądach o Słowackim takiego punktu wyjścia, któryby był i sprawiedliwym względem niego i dalekim od tej znowu pobłażliwości, któraby uwłaczała innym naszym pisarzom.

Uważam za pożądanę, ażebyśmy jak najdokładniej uprzytomnili tu sobie, jakięto czasy pierwszy występ Słowackiego jako pisarza poprzedziły i ja-

kiehto zastał on na niwie swojej wcześniejszych pracowników.

Poprzedziło go owo dziesięciolecie (1820 do 1830), które tak świetnie rozpoczęło epokę naszej nowej, naszej narodowej poezyi. Epoka ta płynie jeszcze i za dni naszych¹⁾, chociaż wnosząc ze wszelkich oznak zdaje się, że prawdziwa płodność i wielkość tego literatury okresu już przeminęła. Czasy jej wypełniły się — o ile to poezyi, a nie prozy dotyczy, już z rokiem 1848. Boć późniejsi, młodszy pisarze — to już tylko epigonowie starszych....

W ciągu rzeczzonego dziesięciolecia przyłączył się do pozostałego z dawniejszych jeszcze czasów Niemcewicz nasamprzód — długo przedtem zapoznawany Kazmierz z Królówki (Brodziński). Potem zajął w całej pełni blasku umiłowany od wszystkich Adam. A za nim odezwał się od stepów ukraińskich ów »słowiczek« poezyi polskiej, Bohdan Zaleski. A potem nadszedł smętny Małczewski; a niebawem w jego ślady ponury, groźny, ale pociągającej energii — Goszczyński.... Równocześnie z nimi zajęli pod przeważne panowanie swoje — na długo — dzielnicę poezyi przez tamtych wcale nie-tniętą, dwaj równie znakomici pisarze, Korzeniowski i Aleksander Fredro. Ci siedmiu, zdaniem mojem, stali przez rzeczonych lat dziesięć na czele ruchu w zakresie poetyckiego działu literatury. Niektórzy z nich przeszli prędko i szli samotnie: był takim na przykład niezapomniany po zgonie, choć mało znany za życia, autor Maryi. Inni działali otoczeni całą drużyną duchów pokrewnych, chociaż niższych talentem. Około Mickiewicza gromadzili się Odyniec i Zan i Chodźko Aleksander i Korsak. Nieco opodał

¹⁾ Przypominam, że pisane to było przed rokiem jeszcze 1866. (P. A.).

stał skłaniający się więcej ku Brodzińskiemu Witwicki — a wreszcie Tymon Zaborowski, Gosławski, Gorecki, i t. d. i t. d.

Równocześnie niemal poczęte i bez przerwy dalej trwające działanie tylu naraz znakomitych talentów z bogaciło poezją naszą niejednym takim utworem, że każdy z nich byłby na się przez długi czas sięgał uwagę wyłączną, gdyby się nie był musiał dzielić rozgłosem z tylu innymi utworami pierwszego rzędu, przybywającymi rok rocznie do skarbów literatury.

W roku 1820 pojawił się Wiesław. W 1821 odegrano w Warszawie pierwszą komedią Fredry, Geldhaba. W 1822 wyszły Ballady Mickiewicza. Dumy Zaleskiego także przypadają na owe lata, choć w całym zbiorze pojawiły się znacznie później. W 1823 ukazała się Grażyna i pierwsze części Dziadów. W 1825 Marya Małczewskiego, Odyniec a zbiorek poezyi: wreszcie pierwszy nasz romans historyczny, Jan z Tęczy na przez Niemcewicz. W 1826 Sonety Mickiewicza, pierwsze dramatyczne utwory Korzeniowskiego; Pojata Bernatowicza; pierwsze dwa tomy Komedyi Fredry. W 1827 przybył Zamek Kaniowski Goszczyńskiego. W 1828 Konrad Wallenrod. W 1830 Mnich Korzeniowskiego; trzeci tom Komedyi Fredry; Tymona Zaborowskiego Dumy Połolskie; nakoniec wdzięczne Witwickiego Pieśni Sielskie i Biblijne.

Taki jest poczet dzieł pierwszej dani w dziejach odrodzonej naszej poezyi. To są imiona i czyny bezpośrednich Słowackiego poprzedników. Dalsza kolej obejmuje już prace i tych co tylko wspomnianych, i świeżych znowu sił poetyckich, które wystąpiły na scenę dopiero po wypadkach r. 1831. Pierwszym co do czasu był w szeregu tych nowoprzybyłych, tych młodszych, właśnie nasz poeta, Juliusz Słowacki. I one znakomitości pierwszego rzędu, a tejsze genera-

cyi — to zwrócony tęsknem okiem w przeszłość narodu Wincenty Pol (od r. 1833), wyjątkowo przedłużający trwanie tego okresu aż do dni naszych; a dalej zgasły przedwcześnie i dlatego mniejszej sławy Stefan Garczyński (także od 1833), nakoniec pro-roczy, pod kolizejskim krzyżem natchnienia szukający wieszcz Trydyona i Komedyi Nieboskiej (1834).

Szereg prawdziwych mistrzów słowa nie kończy się oczywiście z Krasińskim. Zajaśniła i po nim jeszcze niejedna gwiazda na niebie poezyi polskiej. Lecz mówić o nich nie należy już do naszego przedmiotu. Nam chodzi o porównanie poezyi naszej tak zwanej romantycznej przed rokiem 1831, ze stanowiskiem i artystycznym sposobem Słowackiego w owymże czasie. Powiedzmyż więc choć w kilku słowach, co stanowi owej poezyi odrębne znamię i zasługę około sławy narodu.

Jednem z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych, było podniesienie poetyckiej literatury polskiej na wysokość europejskiego znaczenia. Od tego dopiero czasu weszła poezya nasza znowu w bezpośrednie zetknięcie z tradycjami postronnych literatur, zajmujących odpowiednie wiekowi stanowisko. Pisarze nasi dawniejsi, z małym wyjątkiem byli więcej naśladowcami, i to wzorów, które i same słabo, nawet koszlawo już tylko odtwarzały starożytny klasycyzm. Świat starożytny zbyt się już był odsunął: studia nad nim w przeszłym wieku, mianowicie we Francyi, zeszyły do nicości zapomnianej prawie nauki. Najzagorzalsi niby wielbiciele mistrzów rzymskich i greckich nie mieli trafnego wyobrażenia o istotnych warunkach wielkości tych niegdyś niedoścignionych potęg artyzmu. Pomimo nieustającej gadaniny o konieczności trzymania się we wszystkim przekazanych przez starożytność przepisów — literatura francuska nigdy nie zbliżyła się do tych wzorów

choćby tyle tylko, ile się u nas w XVI wieku zbliżyło do niej potrafił Kochanowski. Śmiech wzbudza patrząc na lęklivość i zarozumiałość tych dworaków wersalskich, kiedy na usprawiedliwienie swoich małodusznych nowostek odwołują się ciągle to do Arystotelesa, to do Horacego lub Quintyliana, to wreszcie do tragicików greckich, których dzieła znane im były chyba tylko z urywków, przekładów lichych, a najczęściej zaledwie pewnie z powieści. Literatura poetycka Francuzów była więc właściwie tylko karykaturą klasycyzmu; stanowiła począwszy mianowicie od połowy przeszłego wieku, w obszarze nowoczesnej europejskiej poezyi, jakiś zacofany, wyjątkowy zaścianek: i nie byłaby mogła ani na chwilę nosić nazwy wielkiej literatury, gdyby nie była własnością narodu, który pod innym względem nadawał ton całemu społeczeństwu i imponował.

Mimo to wszystko — kierunek tejto właśnie literatury wytykał więc drogi naszym pisarzom z epoki księstwa warszawskiego i poprzedzających ją czasów stanisławowskich, którzy po większej części na tej roli naśladowców i cudzego powodzenia wielbiciele poprzstawali. Nie ściagam tego, co tu mówię, oczywiście do Krasińskiego, który zatrzyma w piśmiennictwie na zawsze niepoślednie znaczenie: ale Krasiński góruje tylko albo dowcipem albo rozumem — nigdy uczuciem i wyobraźnią. Inni jego współcześni, lubo czasem nie bez znanion wyższej poetyckiej zdolności, wystarczali — że tak powiem, na miejscowe i tylko tymczasowe potrzeby. Naród własny nucił ich piosnki: dalszy świat i wtedy i potem mało kiedy o nich słyszał. Nie miano bo też u nas wtedy jeszcze wadnych do szerszej sławy uroszczeń i chętnie poprzstawano na chlubić, że się komu zdarzyło napisać coś takiego, co żywo przypominało jakiegoś zawołanego rymotwórcę z za Renu, albo w razie szczęśliwym

jaką tyradę z umianej wtedy przez wszystkich literatów naszych na pamięć Eneidy....

Od roku 1820 począwszy, wszystko się to zmieniło. Poezi nasi młodszy, dostrajając — pod artystycznym względem — lutnie swoje na wysokość tonu, jakim brzmiała wtedy prawdziwa poezya w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnień z własnej krynicy narodu. Po raz pierwszy w mowie polskiej odżyły wtedy postaci dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowej prawdy i siły; pieśni gminna — ta skromna, ale wiekuiście zielona bluszczu gałązka, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodzimej cywilizacyi, rozwinęła się w poemat i wyśpiewała niejedną z tajemnic sztuki, o których się dawniej nie marzyło poetom. Wróce uczucia piersi własnej teraz dopiero znalazły wyraz, rymujący i z stanem duszy poety i z wyjątkowem położeniem narodu. Pękły skrzepłe skorupy bezdusznej konwencyjności — natura wzięła górę nad sztuką — retoryzm ustąpił miejsca sile połączonej z prostotą — sentymentalną czułość zastąpiła rzewność i łyzy gorące: po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się pieśń polska znowu prawdziwem zwierciadłem doli społecznej, i dyktowały ją idee w narodzie naszym wykolysane i będące dzisiaj pokarmem, wiarą, przyszłością naszą....

Właśnie z tego powodu zajęła poezya polska względem współczesnej europejskiej stanowisko nie tylko równej między równymi, ale co większa: okazała się jej najistotniejszym dośpiwem i niejako uzupełnieniem. Jest to jakby ton w akordzie niezbędnym dla dokonania jego harmonii — ton trzeci, ostatni....

Pierwszorządne potęgi poetyckie w dawniejszych epokach pojawiały się prawie zawsze z osobna. Społeczeństwa całe, wieki całe składały się na wydanie

mistrza, któryby uwagę więcej niż swego tylko narodu zwrócił na siebie. W trzynastym wieku Dante, w czternastym Petrarca, na początku dopiero szesnastego Ariosto. O pół wieku później słynęli trzej prawie równocześni mistrzowie, lecz każdy z innego był narodu: Kamoens Portugalczyk, Tasso Włoch, Kochanowski Polak. Zajaśniał w kilkadziesiąt lat po nich Szekspir Anglik. Na przestrzeń siedemnastego wieku przypadają Calderon i Milton — każdy znowu z innego końca świata. Potem nastąpiło w literaturze powszechnej milczenie, pozornie tylko przerywane płomną gędzbą dworaczych, małodusznych, szkolnie udresowanych rymotwórców. — Od połowy dopiero osmnastego wieku daje się widzieć jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Poezja prawdziwa odżyła. Powstał cały zastęp poetów, rowieśnych i coraz młodszych, którzy się do jej chóru jeden po drugim łączyli. Najprzód widzimy ich w Niemczech: Klopstock, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Göthe i Schiller. Ci siedmiu otoczeni całą drużyną mniejszych talentów, zapełniają wiek osmnasty i podnoszą w kraju swoją sztukę na coraz wyższe szczeble potęgi. A kiedy w r. 1805 zabrakło Niemcom Schillera, kiedy Göthe już więcej aniżeli poezją, zajmować się zaczął teoriami światła i metamorfozy roślin: odezwał się od gór szkockich głos nowy, powszechny na się zwracający uwagę, godny tamtych antecedeny i z natchnienia i z całego kierunku. I tutaj znowu działało całe grono współczesnych, przodowali mu zaś ci trzej europejskiego rozgłosu, wielcy poeci: Walterseot (od r. 1805), Tomasz Moore (od 1806), Byron (od 1808). To był więc drugi ton w akordzie nowoczesnej europejskiej poezyi. Między 1824 (zgon Byrona) a 1830 (ostatnie prace Walterseota) dogasa i w angielskiej literaturze głębsze natchnienie. Lecz płonie ono świętym ogniem gdzie in-

dziej: — Brodziński, Mickiewicz i ci wszyscy, którzy ich otaczali, już dzierżyli w rękach swoich lutnie.

W chwilach kiedy to piszę, zamiera zdaje mi się już i ten ton trzeci. A nie słysząc niestety nigdzie w świecie, żeby się ten akord dalej rozwijał. Na wierszokletach i rymotwórcach nie zabraknie w żadnym języku. Będzie sobie rzempoliła muzyczka, bez której obejść się już ludkowie nie mogą. Ale co się tyczy prawdziwych poetów, to się zdaje, że na długie czasy w bieżącej dziejów epoce zamkniętą została złota ich księga. W rachubach zatopiły się dni obecne; społeczeństwa tegoczesne pozbyły się nawet biernej zdolności pojmowania wielkich idei. Turkot fabryk przygłusza wszystko na świecie, a posunięta do cynizmu poziomność terażniejszych instynktów wybornie rymuje z rytmem tego turkotu. Kto wie, czy ów zbieg tylu naraz pierwszorzędných zdolności w literaturach ostatniego stulecia, nie był oznaką jakiego przesilenia w duchu społeczeństw? Może się poezya rozstawała z rzeczywistością życia na dłuższe czasy, i właśnie przeto, jak ta lampa zgasnąć mająca, chciała na pożegnanie zabłysnąć jaśniejszem światłem....

Wskutek takiego właśnie, jakieśmy go w powyższem określili, stosunku między literaturą naszą a powszechną, poezya polska — mimo całej swojej skądinąd odrębności — okazuje się, zwłaszcza też w pierwszych czasach, w pewnej zawistości od tradycyi celniejszych mistrzów postronnych. Dla tej teżto właśnie przyczyny nazywała się ona wtedy romantyzmem. Sama nie wiedząc, jak przychodziła do tej nazwy, składała ona mimowolnie przez to jakby świadectwo swojej solidarności z angielską i niemiecką poezią, które u nas w owych czasach uważano za romantyczne. Okoliczność ta nie dowodzi jednak niczego przeciw oryginalności naszego piśmiennictwa. Oryginalność bezwarunkowa wogóle może być tylko

przymiotem albo literatur tak niepiśmiennych i że powiem samorodnych, jak na przykład ludowe pieśniarstwo serbskie z czasu walk narodowych z Turkami, albo też takiej wyjątkowej literatury, jak starożytna grecka. Tamte nie jeszcze nie wiedzą o sztuce dalszego świata. Grecka zaś będąc w dziejach naszej cywilizacji pierwszą artystyczną literaturą, musiała się z konieczności i sama z siebie i samodzielnie rozwijać. Ale o żadnym z późniejszych a większego znaczenia piśmiennictwie europejskiem tego już powiedzieć nie można; gdyż każde z nich mniej lub więcej posilkowało się zasobami poprzednich. Podobnie też więc i nasi poeci brali z zewnątrz i popęd i pierwszy kierunek w swoim że się tak wyrażę uzdolnieniu technicznem; czerpali z studyów obcych wzorów świadomość artystycznych wymagań i t. p. Po za te zewnętrzne względy nie posuwa się jednak u nich to ich pokrewieństwo z obcymi pisarzami. Nie sięga ono prawie nigdy aż do istotnej dzieł osnowy, która nie tylko brana jest zawsze z obrębu rzeczy ojczystych, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała jak najwierniej powszechnemu nastrojowi ducha narodowego, jakim ten nastrój był wtedy. Prace naszych poetów są to prawie zawsze dzieła technące jakąś błogą, serdeczną i miłościwą pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest przeważnie smętny i żławy; mimo to jednak widać tu wszędzie silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiej ostatecznie szlachetny — w prędkiej czy później zapewniony tryumf idei dodatnich nad potęgami fałszu i złego, przeczącemi im i czasowo tłumiącemi ich panowanie nad światem. To też zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwa odtrącające, te tak przeważne znamiona poezyi nowoczesnej angielskiej, równie wtedy były nam obce, jak metafizyczna mglistość właściwa niejednemu z pisarzy niemieckich, i ta skłon-

ność do gubienia się w niezmurtowanej zadumie. Nasze ideały mają zawsze coś realnego — wydobywamy je z pod serca naszego, cierpimy za nie: a ponad wszystkim unosi się religijna miłość Ojczyzny, głębiej i czystiej pojęta, niż w którejkolwiek innej literaturze.

Na takięto zatem czasy, wśród takiej w literaturze dążności i po tych zdarzeniach, stanowiących jej odrodzenie — przypadło wystąpienie Słowackiego jako autora dwutomowej jego publikacji z r. 1832. Nim przystąpię do szczegółowego przeglądu rzeczy w tychże tomach zawartych, uważam za potrzebne rzucić najprzód i o nich także kilka ogólnych spostrzeżeń. Określenie to stanowiska Słowackiego wobec innych pisarzy wyjaśni nam najdokładniej, dlaczego te pierwsze dzieła jego nie zostały tak przez naród przyjęte, jak się tego autor spodziewał.

Zacznijmy mówić o tem, poczynając od dobrej strony. — Znamięniem znakomitej jego i pierwszorzędnej zdolności, choć nierozwiniętej jeszcze zupełnie, jest w dziełach tych przedewszystkiem zewnętrzna forma. Mimo tak młodego wieku poety — język, styl, wiersz, koloryt, obrazowanie i co tylko stanowi zewnętrzną szatę poezyi, dosięgło już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów naszych. — Niemniej świadczy o rzetelnych zaletach już tych młodocianych jego utworów ta okoliczność, że takowe na dłuższej z nimi znajomości nie tracą. Roboty miernych talentów zwykle najwięcej się podobają przy pierwszym czytaniu. Biorąc je po raz drugi do ręki, ogarnia czytelnika nuda — i niepodobna już wtedy pojąć, że się to mogło za pierwszym razem podobać. Z pismami Słowackiego ma się rzecz po większej części przeciwnie. Im się dłużej nad nimi zastanawiasz, im je częściej odczytujesz, tem więcej w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety

te są w znacznej mierze na pierwsze spojrzenie jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały się w miarę zajęcia, z jakim na nie spoglądasz. Najwięcej jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy. Nie jest to myśl głęboka, nie jest to owa wieszczą mądrość i intuicyjne znawstwo serca ludzkiego, nie jest to wreszcie ani siła woli męskiej, skłaniająca do podziwu w tworach mistrzów pierwszego rzędu. Z tego wszystkiego mało znajdziesz w dziełach, które mamy przed sobą. Ale uderza cię w nich natomiast jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia¹⁾. Jest to zdaniem mojem, właśnie strona

¹⁾ Nie potrafię rzeczy tej lepiej wyrazić, jak chyba przez porównanie. Bawiąc w r. 1864 w Rzymie, często zachodziłem do bazyliki św. Pawła, podźwigniętej z perzyny, w jaką ją obrócił pożar w r. 1823, a będącej właśnie wtedy na dokończeniu. Pomijając zewnętrzną świątyni tej powierzchowność, która się stósować musiała do pierwotnej struktury i z powodu wielkiej prostoty, oczekiwani dzisiejszych nie zaspakaja: całe jej wnętrze — jest to najwspanialszy pomnik wszystkich sztuk pięknych w połączeniu, na jaki się tylko zdobyć mógł w najwyższym wysiłku swoim wiek obecny. Nie wiedzieć, co tam więcej podziwiać, czy drogocенność materiału, czy olejne obrazy, mozaiki i freski pierwszych mistrzów tegoczesnych, czy rzeźby, czy las kolumn dźwigających ciężar sklepienia, czy zmyślność, z jaką ściany kościoła wyłożono płytami marmurowymi najrozmaitszych, a zawsze najwyszukańszych gatunków. Bazylika ta ma pięć naw. Nawa środkowa otrzymuje światło z góry z przepysznych okien o malowanych szybach. Nawy poboczne poprzestawały wtedy jeszcze na szybach tymczasowych ze szkła białego. Otóż właśnie z tego powodu szczególny mię tam zawsze uderzał kontrast. Chociaż już i w pobocznych nawach bazyliki każdy szczegół, ile wykończony z całym wytworem, zmuszał każdego do podziwiania tylu w jednym miejscu nagromadzonych arcydzieł: to kiedy się jednak dojdzie aż do nawy środkowej, wtedy piękność

talentu Słowackiego, która go najwybitniej odróżnia od wszystkich innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezji rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszechnego toku wydarzeń: Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich tęsknych westchnień owej melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki, przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny. Nie tyle jeszcze przekonywają o tem autorskie jego utwory, ile

tak całości, jak pojedynczych przedmiotów przybiera rzeczywistość jakiś urok nieopisany! Światło lejące się tęczami z różnobarwnych okien tej nawy, idealizuje nieskończenie tę część kościoła. Wszystko zdaje się być owiane jakimś tchnieniem błogiem dla oka i dla ducha. Szczegóły spływając w tej toni kolorów w jakąś ogromną jedność, tworzą harmonią miękką, falistą, kragłą, która dziwnie odbija od naw pobocznych, jeżeli się pod wpływem właśnie tego wrażenia, rzuci teraz okiem w ich wnętrze. Podziwiane co tylko tychże piękności i najwyższe sztuki wysiłki zdają się być teraz jakby z innego świata; sprawiają wrażenie, jakby je mroziło jakieś zimno północy. Wszystko się zdaje surowem, ostrem, twardem, istniejącem z osobna i tylko dla siebie. Owoż to kontrast sposobów oświetlenia! W pobocznych nawach — to jeszcze koloryt zwyczajnej, powszechnej rzeczywistości; a tam — to koloryt poezji, atmosfera nadziemską, stworzoną sztuką. Do tegoto więc rodzaju oświetlenia w malarstwie ja przyrównywał to coś, co w poezji tak często właściwem jest Słowackiemu. (P. A.)

listy, tak zresztą od niechęcenia pisane, że co tylko po imieniu nazwie, co tylko wedle sposobu swego opowie, na czem tylko spocznie okiem: wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na to samo codziennie patrzącym, ani się marzy. Owoż więc, co nazywam spojrzeniem na świat — nie z woli, nie przez sztukę, lecz z bezpośredniej natury poetycznem, w ścisłej słowa tego znaczeniu.

✓ Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownych światłach poezji, przypisał poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych światła tego stosunków w ich warunkach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznej starożytności, którym bogowie w zamian za lutnię do rąk podaną i za poetyckie jasnowidzenie, odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo mu nie była piękną: oburzała go, bo nie była mu zrozumiałą. Stanowisko jego względem warunków, w jakich żyć ludziom wypadło, ponieważ je sobie sami tak a nie inaczej, stosownie do natury swej ustanowili, było najzupełniej ujemnem, wszystkiego odmawiającem, przeciwnem. Nie przyznając im uprawnienia do bytu, uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co być ma: w konsekwencyi też upatrywał we wszystkim, co ten normalny porządek świata naszego wstrząsa, zakłóca i targa, eo ipso za szczytność, za poezję, słowem za przedmiot godny współzucia poety. Nie zdając sobie sprawy ani z pobudek ani też z godeł, w imieniu których jedynie wolno jest w danej chwili wyzywać do walki ten ład normalny, na zbudowanie którego składały się pokolenia, narody, wieki całe trudu, cierpienia i ofiar, poświęcał on pióro swoje najczęściej i najchętniej takimto właśnie walkom rozpaczonym, bez względu czy je wszczynają siły do tego

powołane, czy warcholstwo i zbłąkana raczej niemoc duchowa, w złudne przyodziana pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czym się pomylił, w czym się rozminął nie tylko z duchem poprzedniej poezji naszej, ale i z instynktem lepszej części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko w tej młodzieńczej życia jego epoce, ale i później dążność ta, choć potem nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet kiedy pracował nad *Królem-Duchem*, ostatniem swoim dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takim przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach, które tem chętniej tu przytaczam, że nie mogły one znaleźć pomieszczenia w drukowanym kontekście tego utworu, z powodu iż były rzucone luznie gdzieś na brzegu jednej z kart manuskryptu.

„Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,

Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,

Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;

A z miejsce, gdzie ducha sen ma łoże swoje,

Uchodzą: dziwna w pośmiertnych różnica

Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje

I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy —

Piekielni, z których drwi anioł głowowy!

O! fałszu, ludziom z ciała niewiadomy,

Tęsknoto, królów spokojnych płacząca!

Wiedz, że ten lepszy, co na krew łakomy

Zda się jak orzeł, lud o lud roztrąca*.... i t. d.

Nie podlega wątpliwości, że w tych strofach jest wiele prawdy. Spokój, sen ducha, nieczynność — to martwość. Bój, ruch, prąd naprzód — to przyrodzone prawo duchowe. Ale gdyby to zdanie Słowackiego

postawić w jego sposobie na czele wszelkich prawd innych i zrobić zeń regulatora postępów dla wszystkich ludzi: w co by się to wtedy zamieniła ta ziemia nasza i życie na niej?

Ale to jeszcze nie wszystko. Na tem tle wyobrażeń, stanowiących u Słowackiego przez cały jego żywót to co nazywamy pospolicie filozofią poety, daje się widzieć w młodzieńczych jego latach jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z roku 1832 są prawie wszystkie właśnie manifestacją takowej. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — mniejsza o to, czy z głów koronowanych, czy z niedzarzy złożony — to gawiedz, to „tłum“. Poza tym tłumem zdarzają się, wprawdzie rzadko i wyjątkowo, ludzie całem niebem różni od zwyczajnych kreatur ludzkich. Są to wedle poety duchy wyższe, jakby przez przypadek tylko i nieporozumienie przysłane na ten nasz padoł. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy one odstaniają tu bliżnim swoim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach, w śladach lepiej przepędzonego życia, wdzięczną pamięć po sobie? — Bynajmniej! Nasz autor pojmuje tę ich wyższość, tę ich demoniczną wielkość, w zupełnie przeciwny sposób. Są to duchy, z którymi on wprawdzie sympatyzuje całem sercem i aż za nadto, które jednakże mimo tego i same są najnieszczęśliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tem co świat zwyczajny poczytuje sobie za szczęście, niema żadnej wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest nieczem; co ludzi zaprzęta i zaspakaja, ich nudzi; a czego oni pragną, to przy tych okolicznościach, jakie są, wcale nie może być osiągniętem na ziemi. Są to więc oteklanie uczuć gorejących, góry woli, trawiącej się w sobie; są to tytany: ale postawione poza wszelkim stosunkiem ze światem i z tem, co na nim jest. Wielkości takie nazwałaby matema-

tyka nieobliczonemi, niewymiernemi wielkościami (irrationales, incommensurabiles). Ich życie między resztą rodu ludzkiego — jest to zdaniem autora, jedne pasmo cierpień, zawodów, jęków, krzywd, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdzźwięków. Jes jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkiej ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrot, że oni sami celu swego nie osiągając, niweczą wszystkie warunki spokoju i szczęścia drugih. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na prześyt życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, nie ich nie wiąże do świata, gardzą ludźmi, nienawidzą wszystkiego, na czem świat stoi: i narobiwszy zamętu i klęsk na całej drodze swego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnej natury ludzkiej. — Do tego typu odnieść należy i Araba i Mnicha i Mindowę i Bieleckiego i Żmiję i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozumowany był nasz autor w ideałach tego rodzaju, że ciągle więc jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienionem tylko zawsze nazwiskiem! Wielka musiała być w nim wtedy gorycz dla ludzi, kiedy ten temat mizantropii i zwątpienia nie ustępował mu z oczu!

Rzecz oczywista, że tego rodzaju doktryna, pozbawiona wszelkiej podstawy, nie mogła trafić do przekonania powszechnego, kiedy się ukazały te pierwsze tomy Poezyi Słowackiego. Ogół nie mógł wcale rozumieć, o co autorowi chodzi? Dzieła poprzednich poetów były im zrozumiałe, bo tętnęły miłością ku ludziom. Społeczeństwo polskie jest z natury dobroduszne, optymistyczne. Nieraz ono aż zbyt daleko się posuwa, spodziewając się wszystkiego, co dobre; wierząc w dobrą wolę wszystkich; kochając to co swoje, co ludzkie — nawet z błędami! W tem się więc aż do owego czasu dążyła poezya, która pragnęła podnieść ludzi,

ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności naszej spotykała na jednej drodze. Punkt wyjścia Słowackiego wcale nie był z takich przypuszczeń. Miłość ludzi, jakimi oni są stworzeni, nie należała wcale do jego przymiotów. Stawiał jako ideały, jako bohaterów w swoich dziełach takie natury, które (choćby ubocznie) dowodzić miały, jakie to życie jest ciężkie, a my sami jacy małuczy i podli! Choćby to była i prawda: — to i jakież skutek być może takich dowodzeń? Uderzać na błędy, na głupstwa ludzkie... rozumiem. Ale coż pomoże utyskiwać nad naturą człowieka? My tego nie odmienimy! Wyrzekać na to — jest to to samo, jak kiedyby kto wyrzekał, że w styczniu jest bardzo zimno, a w lipcu znowu zbyt gorąco. — I społeczeństwo nasze wie o tem, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, że się zdarzają czasem duchy potęgi i zdolności większej, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stosunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczej. Prawdziwie wielki człowiek, to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczynica społeczności, która go ma...

Przejdźmy teraz do szczegółów i rozpatrzmy się bliżej w tem wszystkim, co w sobie mieściły tomy wydane roku 1832. Nasamprzód wypada oznaczyć kolej rzeczy w nich objętych, nie podług tego jak je autor uporządkował w wydaniu, gdyż to nie dowodzi niczego, ale podług czasu, w którym nad każdym dziełem pracował. Miałem przed sobą podręczny Słowackiego egzemplarz obu tomów. Są w nim zapisane ołówkiem, własną jego ręką, notatki dające o tem wiadomość, kiedy i gdzie co było pisane. Można zatem z autentyczną pewnością ustanowić porządek chronologiczny utworów, o których mowa. Był on następujący:

Hugo był pisany w Warszawie, 1829 roku w sierpniu.

Mindowe — także w Warszawie, tegoż roku, w listopadzie. Praca nad nim ukończona była w jednym miesiącu.

Mnich przypada na luty 1830 roku — w Warszawie.

Bielecki na lipiec tegoż roku — tamże.

Marya Stuart zajęła, równie jak *Mindowe*, jeden miesiąc czasu. Była pisana w Warszawie w roku 1830, od 17 września do 18 października.

Arab powstał w listopadzie 1830, tamże.

Żmija był płodem różnych czasów. Pieśń pierwsza powstała także jeszcze w Warszawie, w miesiącu lutym 1831, a zatem krótko przed wyjazdem za granicę. Druga pieśń przybyła w Dreźnie, w lipcu 1831. Trzecia w Paryżu, w wrześniu. Czwarta tamże, w październiku. A zatem dopełnia poemat ten prawie cały rok 1831, przy pracy nad nim ciągle przerwanej już to przez zdarzenia tego roku, odwodzące uwagę autora w inne strony, już przez same zmiany pobytu, niemniej przyczyniające się do rozlargnienia.

Do Skibickiego wiersz powstał dopiero w Paryżu w lutym 1832¹⁾.

Nie mam zamiaru wchodzić z równą szczegółowością w rozbiór wszystkich tych poezyi. Niektóre z nich nie wytrzymują zgoła krytyki i nie ma się co

¹⁾ M. Stankiewicz opisał w „Przewodniku bibliograficznym“, (Kraków 1890 nr. 5 str. 93) egzemplarz poezyi Słowackiego, wydania paryskiego, dedykowany M. Skibickiemu. Na początku każdego poematu a przy *Żmii* przed każdą pieśnią, dopisane są ręką poety miejsce, rok i miesiąc powstania utworu. Daty te nie są całkiem zgodne z podanemi powyżej; mianowicie *Mindowe* ma dopisek: „Warszawa 1829 wrzesień“, a *Żmija* Pieśń I Warszawa 1831 styczeń, Pieśń III i IV Paryż 1831 październik, V i VI Paryż 1831 listopad. Co prawda?

nad nimi rozwodzić. Tak na przykład myślę, że i najzagorzalsi wielbiciele Słowackiego zgodzą się na to, że najrychlejsza między wyliczonemi powyżej jego rzeczami wypadła nader słabo. Ani przez inwencją, ani przez wykonanie poemat ten nie sprawia wrażenia na czytelniku. Charakter *Hugona*, głównej osoby, tak dorywczo i słówkowo tylko rzucony, że ani sądu o nim ani współczucia dla niego mieć niepodobna. Wszystko zaś psuje do reszty ten brak prawdopodobieństwa, rażący przy każdym kroku. Jest to zatem tylko próba młodzieńcza z rodzaju tych, któreśmy ogłosili na początku pierwszego tomu dzieła Słowackiego pozgonnych.

Przejdźmy do *Mindowy*. — Przedewszystkiem najważniejszą będzie powtórzyć, co o tej sztuce sam autor rozumiał wtedy, kiedy oddawał ją do druku. — „Niech mi wolno będzie wyznać, (mówi on w notach dodanych na końcu sztuki), że sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności dramatu *Mindowe*, a części przynajmniej błędów starałem się w *Maryi Stuart* uniknąć. Mamże jeszcze z szerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że *Mindowe* jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych, napisany przed trzema laty, kiedy autor miał lat —. Ale nie, zamileję o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych powiedziało, iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniej w przypisach o przywileje małoletnich upominam się²⁾. I tak: *Mindowe* powinien był w tece

¹⁾ Na silne reminiscencye z Mickiewicza poezyi — głównie z „Grażyny“ — wskazał dr. Biegeleisen w objaśnieniach do „Hugona“. (Dzieła J. Słow. Lwów 1894 t. V str. 43—45). — Obacz również artykuł St. Zdziarskiego p. t. „Hugo“ kilka notatek do pism Słowackiego (Przegląd literacki Kraków 1899 nr. 4 i 5).

²⁾ Miał lat wtedy właśnie 20. A zatem prawie tyle, ile ich miał Schiller, kiedy pisał pierwszą swoją tragedję, *die Räuber*. Zresztą wzmianka, że to był najmłodszy z płodów wtedy wydanych, o tyle jest niedokładna, że Hugo napisanie jego poprzedził. (P.A.).

dziecinnej pozostać. Wiecznieby w niej pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu, i do całego aktu trzeciego....

Ze to, co tu mówi Słowacki, było jego przekonaniem rzetelnem, a bynajmniej nie pochodziło z jakiejś udanej skromności, którą to skłania niekiedy autorów do spowiadania się przed czytelnikiem z tych lub owych uchybień częściowych, aby krytyka tem pewniej zato pochwalała całość ich dzieła: o tem świadczy i ta jeszcze okoliczność, że się w tym samym sensie o tej sztuce wyraził i poufnie w liście do matki. Zdaje się, że musiała ona coś zganić w układzie tego dramatu. Na to jej tedy odpowiedział poeta słowem krótkim, ale dobitnem: — »Tragedya Mindowe, wiem że bardzo słaba — oprócz kilku scen«. (Z listu z dnia 30 lipca 1832 r.).

Na tym wyroku i mybyśmy mogli najzupełniej poprzestać. Miejsce pojedynczych, wyższym nacechowanych talentem, nie brak wprawdzie tej sztuce; wrażenia odpowiedniego jednakże całość nie sprawia. Co samo już świadczy albo o jakimś niefortunnym założeniu całego pomysłu, albo o jakiejś wadliwości w jego przeprowadzeniu, albo o obojgu. Wadliwe przeprowadzenie rzeczy — jest to innemi słowy pewien niezwiązek pojedynczych części, choćby z osobna najpiękniejszych, pomiędzy sobą i w stosunku do całości. Że dzieło niniejsze zarzutom pod tym względem podlega, tego nie ma co dowodzić. Sam autor to już przyznał. Zato nie wiem, czyby się był zgodził — w owej chwili przynajmniej — na to, coby powiedzieć należało o głównym pomysle tego dramatu.

Z nazwą tragedyi wiązą się zawsze wysokie wymagania. Zapewne ażeby tego uniknąć, nazwał poeta obecny swój utwór skromniejszym mianem obrazu historycznego. Nie na wiele mu się to jednak przydało. Najprzód bowiem, jeżeli czem nie jest Min-

dowe, to właśnie obrazem wieku. Do tego musiałby był Słowacki podejmować zupełnie inne studia. A potem, jak nadanie nazwy tragedyi takiemu utworowi, który nią nie jest, nie czyni go jeszcze tragedją: tak też odwrotnie zatytułowanie sztuki jakiej poematem dramatycznym, obrazem historycznym itp. nie przeszkadza jej bynajmniej być tragiczną kreacją, jeżeli tylko ma po temu wewnętrzne i prawdziwe warunki. Rzecz się ma podobnie i w tym razie. Mindowe nie może być inaczej przedmiotem krytycznych uwag, jak tylko właśnie jako tragedya, do rodzaju której najwięcej się zbliża.

Powiedzmyż, co jest, a raczej co ma być tragicznem w obecnem dziele? — W ogólności otrzymuje każdy utwór znamię tragiczne albo przez odpowiedni tok zdarzeń, stanowiących to co pospolicie nazywają bajką dramatu, albo przez charakter działających w nim osób. Zazwyczaj jedno nie może być bez drugiego, bo gdzie jest pierwsze, tam się znajdzie samo z siebie i drugie: jednakże bywa zazwyczaj pewna po tej albo po owej stronie przewaga. Stosując to do Mindowy, zdawać się wprawdzie może na pierwszy rzut oka, że poeta oparł się tu głównie na przedmiotowej stronie osnowy: że wyrazem i przeprowadzeniem tej idei, która kierowała jego wyobraźnią, kiedy obmyślał układ dzieła, chciał mieć mniej więcej następujący przebieg wydarzeń:

Mindowe porzucił wiarę ojców. Z pobudek politycznych, dla zaspokojenia dumy swojej, dla powiększenia granic państwa, wdał się w związki z Krzyżakami, przyjął koronę królewską, a z nią (wprawdzie obłudnie i tylko na pozór) i chrześcijaństwo. Naród oburzył się nad taką wzdargą bogów ojczystych. Stał się przeciwny wiarołomcy. Własna matka rzuciła na głowę jego przekleństwo. Na nie się nie przydało, że potem Mindowe odrzucił maskę przybraną, do po-

gaństwa powrócił i Krzyżaków zdradził. Przekleństwo matki musiało się dopełnić. Zerwany węzeł wierności narodowej nie mógł być powetowany. Mindowe ginie, a z nim i całe potomstwo jego. Na jego tronie zasiada Trojnat, wierny religii narodu.

Po głębszem zastanowieniu jednak upada przypuszczenie, żeby z tego punktu widzenia dała się wskazać główna waga tej sztuki.

Najprzód bowiem bezpośredni cios, spadający na głowę króla, nie pochodzi ze strony zbuntowanego ludu, ale od Dowmunta. Dowmunt mści się za krzywdę osobistą, a nie z religijnych powodów. Co większa — ów Trojnat, który ostatecznie obejmuje rządy nad Litwą po strąceniu Mindowy, nie ma co do głównej rzeczy żadnej nad tymże wyższości. Nie jest on typem dążeń przeciwstawionych roli, jaką stryj jego odegrał. Chociaż bowiem jest poganinem i być nim nie przestaje, to on jednak osiąga tron książęcy także nie inaczej, jak tylko przy pomocy Krzyżaków. Jest z nimi sprzymierzony, przyrzeka, że się nie będzie nigdy wdierał do pruskiej dzielnicy, że »usługę Krzyżaków w wiecznej zachowa pamięci«. Nie się zatem przez jego na tron wstąpienie na Litwie nie zmieniło. Tak przed katastrofą, jak po katastrofie — białe płaszcze z czarnym krzyżem na piersiach z równym wpływem występują na scenie przy każdej sposobności.

A zatem okazuje się, że tragiczność tej sztuki nie może polegać na akcji. Tok zdarzeń nie zawiera w sobie żadnej idei tragicznej. Szukajmyż przeto, czego nam trzeba, gdzieindziej — w charakterach.

Charakterów w tej sztuce jest kilka z pewną siłą i konsekwencją rzuconych. Plastyczna, marmurowa postać Rognedy jest jak z jednego odlewu. Posagowy to pomnik macierzyńskiej miłości na tle szorstkiego wieku i nieogranej uczuciem chrześcijań-

skiem dzikości. Lecz to osobistość stawiona w tej tragedii na drugim planie. — Wybornym typem starolitewskiej siły jest także Lutuwer. Mistrzowska scena jego skonania (w akcie czwartym) jest jednym z najszcześniejszych ustępów w całym dramacie i nie pozostawia nie do życzenia. Ale i z Lutuwerem tylko się mimochodem zapoznajemy i spotykamy go zaledwie trzy razy w całym przebiegu sztuki. — Z wielkim wdziękiem rozpoczęła rola nieszczęśliwej Aldony. Zrazu obiecuje wiele; od połowy II-go aktu jednak i ta postać przestaje zajmować widza, spadłszy na poziom prostej kopii szekspirowskiej Ofelii. — Heidenrich. Wojsiśko. Mindowe — są to typy jednego stempla, ale Mindowe przerasta ich wszystkich perfekcją w swoim rodzaju i zarzuca cieniem cały obraz dramatu. W ręku Mindowy zbiegają się wszystkie nici rozbiegłych zdarzeń. On nimi kieruje, on je wszystkie porusza. Jego wola, jego czyny, jego cierpienia — oto punkt, około którego wszystko się gromadzi.

Rozbierzmyż teraz rolę, jaką autor dał odegrać bohaterowi sztuki. Przyznając z góry, że takowa ma w sobie wszelkie tragiczności pozory, starajmy się wyrozumieć, czy te pozory nie są złudne; czy w charakterze Mindowy daje się dostrzedz coś takiego, co by jego działanie w tym kierunku jak się ono rozwija, upoważniało i dawało mu prawo do walki, jaką jest całe człowieka tego życie?

Tragiczność roli Mindowy nie jest wynikiem jego położenia, jego stosunku do świata, wśród którego żyje. Ona wynika z jego własnej natury, ona jest w nim i tylko w nim samym. Jest to człowiek, jakby na to zrodzony, ażeby nieposzanować niczyjego prawa na świecie, ażeby zdeptać wszystko, co dla drugih miłe i drogie, ażeby uważać za igraszkę rąk swoich wszystko, co go tylko otacza — i piętrzyć zbrodnie na zbrodniach — i wiedzieć że to złe — i boleć nad tem i cierpieć, — a je-

dnak nie móżdż czy też nie chcieć zejść z tej drogi fatalnej.

Czy tacy ludzie zdarzają się na świecie? Bywają pono niekiedy — dzięki Bogu, że bardzo rzadko! W utworach poetyckich można się częściej z nimi spotykać. Dzieła Byrona przedewszystkiem w nie obfitują. Byron też dopiero jest właściwie ojcem podobnych typów w poezji jako natur upoważnionych do bytu.

Są to niby półbogi w porównaniu z zwyczajną małością ludzką. Ale ta ich półboskość nie sięga poza własne rozumienie o sobie, a w najlepszym razie nie sięga po za pewną, błyszczącą jak szych, wspaniałość słów, uczuć i pragnień, których jedynym źródłem bezdenna egoistyczna duma. Są to zatem olbrzymy w zachęciach, a w działaniu prawdziwe karły! Burzyciele szczęścia ludzkiego za życia, a w godzinie zgonu szatany. Zdaje im się, że cały ich zawód na ziemi była to jedna nieustająca krzywda, jakiej doznawali od ludzi: podczas gdy w rzeczy samej onito byli dręczycielami drugich.

Czy Słowacki widział swego Mindowę w takim świetle przed sobą? Czy wiedział o tem, że jego bohater nie jest niczem więcej, jak demonem upadłym? Otóż właśnie w tem cały obłęd poety, że tego nie wiedział; że owszem rozumiał, iż w nim przeciwstawia zwyczajnej naturze ludzkiej osobistość doskonalszej organizacji, osobistość właśnie przeto upoważnioną do zakłócenia szczęścia wszystkich i każdego na ziemi....

Zresztą gdyby się można zgodzić na wprowadzenie postaci, jakem ją tutaj określił, w zakres dzieła osnutego na najdawniejszych dziejach Litwy pogańskiej: — przyznać trzeba ku pochwalę poety, że ją i z konsekwencją przeprowadził i nieraz umiał uwydatnić tę abstrakcyjną wielkość, jaka niewątpliwie jest jednym z przymiotów podobnych demonicznych postaci.

Dążność ta otrzymała w dziele obecnem tyle nawet po nad wszelkim innym względem przewagi, że czytelnik nieraz — mimo woli i mimo wiedzy — sympatyzuje z jego bohaterem! Słyszając dumne, niekiedy prawdziwą powagą tchnące odzywiania się jego, skargi jego zaprawione dojmującą goryczą, rozkazy jego wydawane głosem, przed którym wszystko się korzy — zapominamy niemal o czynach, na któreśmy własnem okiem patrzeli, o czynach zadających kłam owej wyniosłości, owej poezji wyrazów.

Jeżeli na przykład Mindowe (w akcie I) przemawia do Krzyżaków:

»Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.
I teraz nadto drogą tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę.
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe «¹⁾).

Albo kiedy się (w akcie II) skarży na posępne przeznaczenie swoje:

»Sam więc jestem, sam jestem! Walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekle wargi,
Wędziłem krwawem ściągać dzikie ludu hordy —
To moje życie.... Usta nie wydadzą skargi....
Nie wiedzą, że ja cierpię²⁾«.

Albo kiedy przewidując bliską zagładę, obsaczony zbuntowanym narodem (w akcie V) mówi do Rognedy:

¹⁾ P. II. 11—12. ²⁾ P. II. 18.

»Matko, czujesz? — przez okna tej gotyckiej sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie....
O Litwo moja, syn twój na ciebie się żali!
Zdradzasz go«¹⁾.

Albo wreszcie, kiedy (w akcie V) żegna się ze
swoim zamkiem:

»O zamku, co przetrwałes długie wieków burze,
Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne —
Ja ciebie żegnam.... Zamku! na wysokiej górze,
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wstawił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać
I nieraz cię krwią ofiar niewinnych zakrawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?«²⁾.

Któżby nie słuchał słów takich z pewnem współ-
czuciem i nie rozumiał, że ma głębszą naturę przed
sobą? A tymczasem złoż, oblicz, oceń całe pasmo jego
działania — rozważ, co ten bohater w jaśniejszych
chwilach sam o sobie i to bez najmniejszej mówi
przesady, — na przykład w pierwszej scenie aktu III:

»I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy
I zbrodni?....
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmasał —

(pokazując sztylet)

Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na tej rdzawej stali....

¹⁾ P. II. 55. ²⁾ P. II. 51.

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza
Lud*podły, ciemny, dziki czołga się pode mną,
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrósć w miejscu enoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
Uchyła korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wołałby przy piersiach czuć węza pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny.... Któż mi to przebaczy? ¹⁾.

Jeżeli tak, to jakże jemu mówić do ojczyzny
z wyrzutem:

»O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali,
Zdradzasz go«.

W innem miejscu (w akcie V) powiada o sobie:

»Bezbożny — zbójca — tyran — obłudnik — morderca.
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie:
Jam wszystkie spełnił — zimno! Znużony po zbrodniach
Głębiej teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach malko, ciężkie, ciężkie było moje życie!
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
Nikt mnie nie kochał!«²⁾....

Ta skarga: nikt mnie nie kochał! nie
jestże to istne szalenstwo w ustach takiego człowieka?

Owoż — przeprowadzenie zawodu takiej demon-
icznej natury, takiej że powiem irracjonalnej
wielkości ducha, powołanej do czynu w rozległym za-
kresie działania władcy narodu — zdaje mi się że było
artystycznym zamiarem autora Mindowy. Zadanie

¹⁾ P. II. 30—1. ²⁾ P. II. 51.

wielkie, zadanie godne znakomitego poety. Ale trzeba sobie było zdać z tego sprawę, czy się kreśli wizerunek demona czy ideału. — Nie chodzi wprawdzie o to, ażeby bohaterami dramatów były same idealne postaci. I ujemne żywioły mogą niekiedy nosić na sobie znamiona wielkości. Poezja złego nie wyklucza z swego obszaru. Bohaterem Szekspirowej tragedyi Ryszard III jest niemal szatan wcielony. Ale Szekspir wiedział o tem że to bież boży, na to tylko tutaj przysłany, żeby uprząć plac z nieprzydatnych do niczego rumowisk. Szekspir nie wzbudzał w widzach dla niego ani współczucia ani uwielbienia. Nicose moralna nie jest tam zatem bynajmniej osłonięta wszystkimi urokami poezyi, aż do złudnego przybrania pozorów tego, czem nie jest, i przemienienia się w przedmiot zachwyty poety. U Słowackiego zaś w tem dziele ma się rzecz właśnie przeciwnie ¹⁾.

Pomiędzy utworzeniem Mindowy a dokonaniem **Maryi Stuart** upłynęło trzy kwartały czasu, zapelnionego innemi robotami poetyckimi. Bierzemy jednakże pod rozbiór już w tem miejscu ten późniejszy utwor Juliusza, ponieważ je forma dramatyczna do siebie zbliża; a dalej ponieważ chcielibyśmy pod bezpośredniem wrażeniem uwag rzuconych co do Min-

¹⁾ Trafne uwagi o tej tragedyi mieści rozprawa dr. W. Hahna: „Kilka słów o genezie Mindowego“, (Lwów 1894). Wykazuje w niej autor, że szczegóły historyczne w tragedyi zaczerpnął poeta z kroniki Strykowskię.; i tak charakter Mindowego, postać krzyżaka Hejdenricha, legata papieskiego, przedstawienie koronacyi, powód porzucenia wiary pogańskiej i inne drobniejsze szczegóły opisane są podług Strykowskiego, z którego Słowacki brał wszystko w najlepszej wierze, nie starając się poznać nowszych badań. Dalej są w tragedyi pewne reminiscencye z utworu Euzebiusza Słowackiego

dowy, ocenić — sprawdzić niejako te słowa poety w domówieniu do rzeczzonego dzieła powiedziane: „Sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności Mindowy, a części przynajmniej błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć“.

W rzeczy samej przyznać to poecie należy, że drugie jego dzieło sceniczne z wielu miar od tamtego jest wyższe. Już sam początek jego wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiązanie intrygi zręczne. Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają dożraźnie do wyobraźni i coraz więcej obudzają zajęcia. Cały akt pierwszy, równie jak drugi, prowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent poety przez ten czas rozniósł, dojrzał, spoteźniał. Uchybień, jakie wytknąć należało Mindowie, nie znajdujemy tu ani śladu. Co krok miejsca silne, porywające, przesłusznie pomysłane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Już pewność czytelnika ogarnia, że ma przed sobą utwor pierwszego rzędu, jedną z pereł dramatycznej poezyi naszej. Wtem — rozpoczyna się akt III, a w nim jakos się akcja zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charakterzy owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzeć aż w samo ich wnętrze — coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały —

P. t. „Mendog“, z dramatów Szekspira (Makbet, Hamlet, Ryszard III) i Racina (Britannicus) a wreszcie z Mickiewicza „Grażyny“ i „Konrada Wallenroda“.

Drobne uwagi krytyczne o „Mindowem“ mieszczą rozprawy M. Bałuckiego (Kobiety dramatów Słow. Kraków 1867) i P. Chmielewskiego (Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Kraków 1893 Wyd. IV.) Ob. nadto W. Marcenné: J. Słowacki jako dramaturg (Echo muz. teatr. i artyst. Warszawa 1887, Nr. 180—189).

współczucie widza chwile się lecz nie uprzedzajmy sądu czytelnika naszego. Zaczniemy raczej rozbiór, od czego go rozpocząć należy, od wyjaśnienia głównej intencji autora, od zdania sobie sprawy z roli pierwszorzędnej w dramacie, z charakteru Maryi.

Jest to młoda, żywych uczuć, luźnych zasad i wąleji woli kobieta, stawiona ironią losu na tronie narodu, z którym oprócz prawa do dziedzicznej nad nim władzy, żadna ją wspólność nie łączy. Obyczajami zbliżona do Francji, gdzie jej upłynęły najpiękniejsze lata młodości: sercem najściślej złączona z Rzymem, którego religijną zwierzchność uznaje: gorących katolickich przekonań — objęła rządy nad krajem, który się od jedności Kościoła oderwał, uporeczywie obstaje przy nowych wyobrażeniach, w posępnym rygorze swego purytanizmu spoziera z oburzeniem i wzgardą na tę miękkość obyczajów zamorskich, co ton nadają na dworze Maryi Stuart. Pospółstwo stolicy w zapędzie fanatycznym nie tylko lży publicznie wyznanie swojej monarchinii, ale i czynnie znieważa przybytek »papistycznego« jej nabożeństwa. Jeden z sekciarzy, przywódca ludu, postuwa się i dalej jeszcze. Oto namawia już gawieź do stanowczego wypowiedzenia jej posłuszeństwa nawet jako panującej, do otwartego buntu. »Zburzcie, zburzcie to guiazdo, woła wskazując na jej pałac królewski, a odlećą kruki!« — A wyższe stany patrzą na to wszystko obojętnie. Nie widać w nich żadnego współczucia dla znieważonej. Czują mniej więcej to samo, co pospółstwo: tylko że miarkują uczucia swoje rozsądkiem i jeszcze trzymają się w karbach uległości pozornej.

Ale poeta nie poprzestał na odsłonięciu tej tylko jednej trudności w zawodzie swej bohaterki. Droga Maryi nie z tej tylko przyczyny prowadzi ponad krąg wędznią przepaści, że ją widzimy w przedmiotowej kolizji, gruntującej się na okolicznościach politycznych,

zewnątrznych, na okolicznościach, których ona nie wywołała. Jest jeszcze inny szkopuł, o który się rozbić może łódka jej spokoju i bezpieczeństwa. a tym szkopułem jest jej własna osobistość. Tamte trudności dotyczą jej tylko jako królowej: te jej dotyczą jako kobiety.

Marya jest młoda, dobrą, a nadewszystko — ona jest piękną! Wywiera urok i pociąg jakiś nieopisany na wszystkich, którzy bliższy, którzy częstszy przystępują do niej znajdują. W tej mierze jest jakaś jakby demoniczność przywiązana do jej osoby. Wprawdzie ogół narodu nie podlega tej sile jej niewieścigo uroku. Przesady, sekciarstwo, niechęć z jednej, a brak ufności z drugiej strony utrzymują zbyt wielki przedział między krajem a tronem. To też mało ma przyjaciół królowa szkocka. Ale kto się liczy do jej otoczenia, do jej przyjaciół — rycerze jej orszaku — dworzanie wierni, którym serce jej lepiej jest znane: ci wszyscy pod wpływem jej czarującej osobistości muszą się żegnać z spokojem ducha! Marya zapala miłość, na kogo tylko z nich spojrzy.

Wszakżeż nawet najmłodszy w całym ich gronie, paź królowej — niedorośle pachole i prawie dziecko jeszcze — rozmarzony tem słodkiem upojeniem, jakiego w jej otoczeniu doznaje, z uniesieniem, w warunkowem oddaniu całego swego jestestwa na usługi swej pani, takimi oto słowy maluje uczucia, jakie ona w nim rozbudziła:

»Czy ja kocham królowę? Jakież dam dowody?

Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.

Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana

Przepędzam przy jej stopach, — nieraz na kolana

Spadnie mi róża napół uwiedła z jej czoła;

Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem,

Twarz spłonioną jasnymi rumieńcami szkarłatny;

Nieraz schylonej kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty
Szczęśliwy jestem!«¹⁾.

Z takich samych uczuć, tylko w namiętniejszy sposób, mógłby się spowiadać i Rizzio, nadworny lutnista królowej, i niejeden inny jeszcze, gdyby — byli tyle naiwni, co ów paź młody, i nie woleli tego, co czują, tego co sobie roją, do czasu zamykać w sercu.

Wprawdzie za urojenia drugich nikt odpowiadać nie może. Ale na Maryą spada jednakże część winy za te jaskrawe uwielbienia jej powierników. Niekoniecznie to bowiem mimo jej wiedzy i mimo jej chęci zapalają się te płomienie. Marya jest już z natury zalotną. Nie nadaremnie też pierwszą życia wiosnę spędziła nad brzegami Sekwany.

»Niedawno w kraju Franków na królewskim dworze
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana.
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie²⁾«.

Na kwiatkach tedy, na skrzydłach motylka, jak sen ułudny, lekko uleciała jej przeszłość. Za przybyciem do Szkocji skończyły się te dni jasne. Widzi się tu przyjmowaną oziębłą, samotną i opuszczoną przez naród; czuje, wie nawet o tem, że jest podejrzywaną i niemal zniechęconą. Temci milej, tem wdzięczniej przyjmuje hołdy od tej szczupłej liczby przyjaciół, jaka ją jeszcze otacza. A chociaż w tym lub owym odgaduje uczucia żywsze i śmielsze i gorętsze, niżby może należało: bawi się niemi, cieszy się niemi, bo to

¹⁾ P. II. 84—5. ²⁾ P. II. 128.

jej próżności pochlebia, bo tliwie jej serce nie chciałoby odtrącającem słowem nikomu jego rozkosznych marzeń przerywać — a wreszcie, wszakże to już jest wszystko, »co jej rozjaśnia tę pustynię ciemną,« do której przyrównywa smutny swój zawód na ziemi!

Z tego zachowania wynikają oczywiście następstwa, które szkodzą jej sławie i bynajmniej nie przyczyniają się do umocnienia jej stanowiska na tronie. Świat wie o tem, że stosunek między królową a mężem jej Henrykiem Darnley, jest od pewnego czasu bardzo jakoś oziębły. Powszechnie mniemanie oskarża ją o miłostki z dorodnym Włochem, z poetycznym harfiarzem nadwornym, z Rizziem. Mniemanie to podziela także i tytułarny król Szkocji, małżonek Maryi Stuart. Co większa, i Rizzio nawet — sam rozmiłowany w królowej nad miarę — bynajmniej nie jest daleki od uwierzenia temu, że doprawdy osoba jego jest dla królowej nieobojętną. Na karb tego, co sobie roi, poczyną też on sobie z panami i dostojnikami królestwa z takim zuchwalstwem, w sposób jak dla przybyleca i człowieka w jego podrzędnem położeniu tak niestosowny, że tem bardziej jeszcze samochętnie utrudnia pani swojej wszelkie porozumienie z narodem. Marya Stuart jednakże i tego wszystkiego za nie sobie nie waży. Poczytując się za niewinną, nie poczuwając się do tego, o co ją posądzają, śmiało wyzywa opinią ludzką.

Wprawdzie przychodzi jej czasem na myśl, że mogą szkodzić nawet i same pozory, że »czyste zwierciadło skazie może i lekkie technienie«. Ale duma monarsza co prędzej ją napowrót sprowadza na tę pochyłość, po której idzie, gdyż —

»Któż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie!
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie!

Co najwięcej jednakże w całym tym stosunku jest niebezpiecznem, to że serce Maryi nie jest zajęte żadnem żywszem, trwalszem, rzetelniejszem uczuciem, a koniecznie zdaje się potrzebować głębszego zajęcia. Jej mąż, Henryk Darnley, nie jest człowiekiem, któryby potrzebom tego serca wystarczał, któryby je osobą swoją zapełnił. Niedoleżna to natura! Ograniczony, słaby, lękliwy — namysla się w nieskończoność nad wszystkim. Rozbiera po tysiąc razy swoje nędzne położenie, swój upokarzający stosunek względem kraju, względem żony, względem jej zalotników. Szmerze pokątnie na jej postępowanie, zazdrości władzy królewskiej, którą tylko tytułarnie z nią dzieli. I w tej samej chwili drży na samą myśl, że się może królowa obraziła o co na niego! Przyjaciele jego chcieliby w nim rozbudzić jakieś poczucie godności. Nick, błazen jego nadworny i towarzysz nieodstępny (o którym powiedzmy tu choć nawiasem, że jest to może najwdzięczniejsza rola w całym dramacie i najgłębsza natura ze wszystkich figur w nim działających), Nick smaga go nielitościwie dojmującemi szyderstwami. Popychają wszyscy nieboraka to w tę stronę, to w ową. Rozdmuchują w nim iskrę zemsty. On też nieraz zapala się okrutnie — przyznaje im wszelką słuszność — grozi wszystkim zapalczywie ale czemu im grozi? — oto że się wreszcie już postanowił nad położeniem końca temu wszystkiemu — namysleć.

Taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicność mężczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi Stuart. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jej oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do pustej formy. Darnley rzadko się też pokazuje na pokojach królewskich. Trawi czas najwięcej z błaznem swoim, w wiejskim ustroniu. A w sercu Maryi — próżnia niczem niezapełniona!

W tym stanie rzeczy potrafił zbliżyć się do boku królowej człowiek, którego niepospolita, zagadkowa istota od razu zapala jej wyobraźnię. Jest on obecnie także rycerzem w jej orszaku: nazwisko jego Botwel. Postać zadumana — ponura — smętna, o bladej twarzy. Trawią i dręczą go od dawna pragnienia jakiejs nieokreślonej wielkości, pragnienia przechodzące wszelki zakres rzeczy do osiągnięcia podobnych. Jeden z tych typów byrońskich, nigdy niezadowolonych z niczego, którym się przeto snuje ciągle myśl samobójstwa po głowie. — Oto jakimi słowami sam Botwel zapoznaje nas z sobą:

»Na wybladłej twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda: — nie patrz, co jest we mnie!
Kłóć się we wnętrzu grobu zaglądać odważyć?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jest to sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony, zimny — umrzeć muszę* 1)....

Z tą tedy tajemniczą naturą, z tym duchem kosałnych zapędów, ale jakby napiętnowanym cechę potępienia na czole, spotyka się na drodze życia swobodna, bezpieczna, zalotna żona Darnleya. I to spotkanie stawia ją znienacka, niebawem w położeniu, z którego się bezkarnie wycofać — graniczy niemal z niepodobieństwem. Aż dotąd postępowanie królowej szkockiej mogło być w wielu względach niebaczne, mogło upoważniać do krzywdzących podejrzeń, mogło w oczach rygoryzmu jej purytańskich poddanych być i nagannem: — w własnym wszelako sumieniu nie miała ona sobie dotąd do zarzucenia żadnej przewiny. Igrała wprawdzie z uczuciami, które być nie powinny igraszką; bawiła się miłością, którą tylko w drugich

1) P. II. 38.

wzbudzała; szła po śliskiej, stromej ścieżce, lecz ani przypuszczała, że ta ścieżka może prowadzić i ku przepaści. Naraz spostrzega, że się zapędziła za daleko. Widzi się w pętach uczucia, które z uśmiechem na twarzy tylekroć wyzywała bezkarnie. Czuć zaczyna całą wagę, całą potęgę tej siły, której się nierozmyślnie poddała. Sumienie własne przemawia do niej z gorczyzą, że to, co dotąd nazywała tylko swych nieprzyjaciół potwarzą, może niezadługo i sama o sobie za drugimi powtórzyć.

Wrócym pędem toczy się odtąd ten prawdziwie tragiczny przebój pomiędzy wzrastającą coraz bujniej w sercu Maryi miłością i demoniczną potęgą, którą na niej posępny Botwel wywiera, a słabym oporem refleksyi i sumienia, jaki zdolna stawić obydwoim. Do tragicznego obrotu rzeczy przyczyniają się i uboczne okoliczności, przypadkowe zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, obojętnych założeń dawniejszej daty. Takto zwykle się objawia w zawikłanych sprawach ludzkich ironia losu. Pod wpływem tego wszystkiego wynikają z nawiązanego ogniwa pierwszej przewiny coraz nowe, coraz fatalniejsze, coraz wręcz występniejsze wypadki, aż wreszcie przychodzi do świadomego i unyślnie zamierzonego morderstwa, wykonanego na własnym mężu, i do wystawienia się na ostatnią wzgardę i ohydę narodu. W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą wkońcu i sama się wzdryga, obarczona żalem i wyrzutami sumienia, w ostatniej scenie widzi się Marya zmuszoną zstąpić z stopni tronu swojego, w rychłej ucieczce szukać ocalenia przed sprawiedliwą pomstą własnych poddanych. Ustępuje tedy z granic ojczyzny. Razem z Botwelem — znienawidzonym, idzie powierzyć się niepewnym losom tułactwa między obcymi. A ostateczny kres jej zawodu — smutna dola ofiary, na śmierć z ręki kata skazanej, wśród ciemnych mu-

rów angielskiego więzienia — odsłania jej się jak wizja — w dalekiej perspektywie, na tle obrazu, który przed oczyma jej ducha niewidoma ręka roztacza. To katastrofa i rozwiązanie dramatu.

Tyle miałem do powiedzenia o głównym zamiarze, jaki autor dziełu swemu podłożył. Takem pojął charakter bohaterki tego dramatu.

Ramy obrazu Słowackiego są zatem, jak widzimy, dość szczupłe. Nie zamierzał on, jak Schiller w swojej tragedyi tegoż tytułu, wciągnąć w zakres dzieła swojego całego historyzmu danej epoki. W głębi zdarzeń, na pierwszym stawionych planie, nie odsłania żadnych przebojów dziejowych ogólniejszego znaczenia, których związek z zabiegami ludzi dramatu podnosiłby bohaterkę i tych co ją otaczają, na wysokość prawdziwie historycznych postaci. Nie chciał korzystać nawet z owej kolizyi polityczno-historycznej, ukazanej w głębi sceny w sposób tyle obiecujący na samym początku sztuki, z kolizyi mówię między narodem a panującą z powodu sprzecznych religijnych przekonań. I zaniedbał zupełnie wyprowadzić z tej sceny następstw, któreby w jakiejkolwiek mierze wpływały na tok dramatu w dalszej jego osnowie. Zgromadził natomiast całe światło obrazu właściwie na jednej tylko postaci. Spoczął wzrokiem swoim na niepospolitych rysach jej indywidualnej natury, na nadzwyczajnych kolejach jej życia, uważanego z ogólnie ludzkiego stanowiska. I tak stawiał przed sobą zadanie, które mimo że sprowadza koronowaną osobistość dziejową na poziom prywatnej niemal niewiasty, tyle jednak ma stron w wysokim stopniu zająć jeszcze mogących wyobraźnię każdego, tyle warunków prawdziwej dramatyczności, że krytyka patrząca, jak sprawiedliwie, tego tylko, co dać autor zamierzył, a nie

czegooby sobie kto może życzył, nie ma pod tym względem nie do zarzucenia poecie¹⁾.

Nawet więcej jeszcze osmieliłbym się powiedzieć na korzyść pomysłu służącego tu za główne założenie dramatu. Wspomniałem już wyżej o tragedyi Schillera, osnutej na tym samym ustępie dziejów szkocko-angielskich. Daleki wprawdzie jestem od rozumienia, żeby arcydzieło to niemieckiego tragika nie miało być jako skończony utwór sztuki, wzięty w całym swoim ogóle, nieporównanie wyższem od obecnej sztuki Juliusza. Gdyby atoli chodziło o porównanie ze sobą samych tylko bohaterów w jednym utworze a drugim, to zdaje mi się, że porównanie takowe wypadłoby pod artystycznym względem ostatecznie na korzyść takiej Maryi Stuart, jak ją poeta polski w dziele swoim wprowadza. Heroina Schillera jest nierównie mniej dramatyczna. Bardzo mało, właściwie nie wcale nie przyczynia się ona osobą swoją do tej gorzkiej doli, jakiej doznaje. Jej cierpienia, jej smutny koniec, nie są to wyniki winy, którąby była zaciągnęła sama: są to wszystko raczej, jak wiadomo, następstwa okoliczności od niej niezawisłych. O tyle zawód jej tedy jest tylko bierny. Cierpi — jako słaba ofiara obcej przemocy; upada — niewinnie.

Warunkiem prawdziwej tragiczności w losach człowieka jest nieodzownie pewien własny i umyślny współudział jego w powodach, które na posępny obrót jego doli wpłynęły. W klasycznej tragedyi greckiej mogło odgrywać przeważną rolę przeznaczenie, fata-

¹⁾ To jedno chyba możnaby tu nadmienić, że niewłaściwie nazwał autor dzieło swoje, pomimo tak ścieśnionego zakresu, historycznym dramatem. Historycznym nie jest on wcale, chociaż zna i historia ludzi, którzy w nim występują. On jest tylko psychologicznym obrazem serca ludzkiego i jego namiętności. Ale mniejsza o tytuł! (P. A.).

lizm. Zgodne to było z ówczesnemi wyobrażeniami o warunkach szczęścia i nieszczęścia ziemskiego. Nam nowoczesnym wszelako pojęcia takie nie wystarczają. W nas wrażeń prawdziwie tragicznych nie wzbudza widok samej tylko bierności cierpienia. Nam trzeba i czegoś więcej — własnej współwiny tego, który cierpienia te znosi.

Geniuszowi tak potężnemu jak Schiller, nie mogły oczywiście nie być wiadome i najgłębsze tajemnice sztuki, której był mistrzem. Znał on dokładnie warunki tragicznych założeń i rozporządzał samowładnie sposobami sprawiania za pomocą dzieł poetyckich, wrażeń, o jakie nam tutaj chodzi. To też bierność roli zbyt idealnej Maryi Stuart w jego utworze, była tylko skutkiem nieuniknionym samego wyboru rzeczy, samego przedmiotu dzieła. Ograniczył się bowiem Schiller do samych ostatnich chwil zawodu swej bohaterki. Kresląc ujmujący jej obraz na tle posępnem angielskiego więzienia, czuł on i sam najdokładniej pewien brak samodzielnego ruchu, brak, że tak powiem inicjatywy dramatycznej w jej roli, jaki z tego nieuchronnie wynikał. Lecz umiał go zakryć poniekąd, a nawet sownie go wynagrodził innym sposobem. Wprowadził bowiem w dzieło swoją Maryą nie tyle jako charakter przerastający zwyczajny poziom niewieści pod względem ogólnie ludzkim, ale jako postać historyczną, stawioną na piedestału jej dziejowego znaczenia, z wszystkimi znamionami wieku i kraju, na tle których ją zapamiętała historia. Wprowadził ją jako typ pewnych uroszczeń dynastycznych, pewnych przekonań religijnych, których samo pojawienie się w jej osobie na ziemi angielskiej, chociaż było przypadkowe i bez żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, już tu zostało poczytanem za wyzwanie do boju, i ściaga na się nieuchronnie odwet ze strony interesów miejscowych, tantym ideom przeciwstawionych.

Tak więc bohaterka Schillera, jako katoliczka, jako prawa dziedziczka tronu Tudorów, której się lękać osobście musi Elżbieta, a z nią i każdy jej poddany, jeżeli jest zwolennikiem panującego Kościoła, — jako przedstawicielka pewnych godeł przywiązanych mimo jej woli do jej imienia, występuje w tragedyi przecie wyzywająco i niejako zaczepnie. I z tego punktu widzenia uważana, odzyskuje poniekąd to pełne znaczenie dramatyczne, na jakim jej zbywa jako osobistości indywidualnej, jako kobiecie, która zakończyła już z światem i nie zamierza mieszać nieczyjego spokoju.

Słowacki wybrał sobie inną chwilę życia Maryi Stuart. Rozwinął w ramach swego obrazu właśnie pierwszą połowę jej pełnego przygód zawodu. Ukazał jej wizerunek z całym urokiem niewieści, jakim właśnie w owych czasach tyle jaśniała: z ową dumą mądrą, która później dopiero miała doznać upokorzenia: z pędem temperamentu niezłamanego żadnymi jeszcze ciosami losu, pod wrącym skwarem namiętności, jakie się właśnie dopiero rozbudzały w jej sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelkie warunki świetnego powodzenia na scenie. Postępki i przeboje, uczucia i koleje, jakie bohaterka jego popełnia, słacza, przechodzi — są tu wypływem jej własnej inicjatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Źródło wszystkiego, co czyni, i wszystkiego, co cierpi — jest w niej samej.

Równocześnie z powyższem uznaniem artystycznych zalet wyboru, poczuwać się musi jednakże krytyka i do obowiązku postawienia zapytania: czy z materiału takich czynów i takich cierpień daje się stworzyć dzieło, któreby równie zadość czyniło i elycznemu także zadaniu dramatu, ile jest pewnem teatralnych efektów? Czy przygody indywidualne takiej osobistości, jak Marya Stuart w owej życia swego epoce, są zdolne przyjąć na się

to znamie głębszej intencji, tę idealną barwę prawej poezyi, do znajdowania której w dramatycznych kreacjach już nas przyzwyczaili wielcy mistrzowie dawniejsi na tem polu literatury? — Nie śmiałbym żadną miarą rzeczy powyższem zapytaniem objętej zaprzeczyć bezwarunkowo. Rozumiem raczej, że co do tego względu zależało wszystko już tylko od talentu, a raczej od zręczności poety w ciągu pracy nad szczegółowym wykonaniem utworu. Mianowicie stanowiła tu o rzeczy całej owa czujna baczność artysty i psychologa, ku temu najusilniej zwrócona, ażeby każdy krok na tej przepaścistej pochyłości ku zbrodni był czyto odpowiedniami zajściami poprzedniami, czy wyjątkowym stanem duszy działającego należycie i dostatecznie uzasadniony. Częstokroć się i najjaskrawszy występki okaże jako tylko tragiczna, nieuchronna konieczność chwili, jeżeli go stawisz na tle okoliczności, które towarzyszyły jego spełnieniu. W ogóle przed trybunałem poezyi łatwiej jest zdać rachunek z przevinień, jak przed wszelkimi sądami świata. Prawdziwe są słowa Byrona:

»Bywają zbrodnie, z których rdzę ohydy
Zdejmuje chwila — bywają pokusy
I nieuchronne i takie potężne,
Że z nimi boju naturze nie wszczynać¹⁾».

Tymto sposobem może więc nie byłoby niepodobieństwem zrehabilitować w dramacie imię kobiety, nienajlepiej zapisane w historyi. Wydatne, usilne, z przyciskiem dokonane odślonienie w jej charakterze gruntu, niemającego w stanowczy sposób żadnej spółki z poziomą i powszednią pospolitością kału ziemskiego

¹⁾ Byrona Werner, Akt II. scena 2.

i — co jeszcze ważniejsza — nieustanne a konsekwentne utrzymywanie w widzach przez cały przebieg dramatu wiary w onę lepszą część jej serca — potrafiłoby zdaje mi się doprowadzić do tego, iżby słuchacz — nawet wobec jej przestępstw stanowczego potępienia godnych skądinąd, byli raczej przejęci współczuciem litościwym i tą cześcią wielkiemu przynależną nieszczęściu, aniżeli zimnym wstrętem oburzenia i zgrozy.

Ale temu zadaniu poeta nasz, zdaniem mojem, nie sprostał. W ogóle uwaga jego nierównie mniej była zwrócona na potrzebę pokonania trudności wynikających z etycznych wymagań dramatu, jak na osiągnięcie silnych poetyckich efektów. I ta to właśnie okoliczność odebrała utworowi jego ów wdzięk muzyki szczerze i rzewnie przemawiającej do serca, owę wspaniałość obrazu, pod którego barwami czujemy przytomność jakiejś wielkiej idei, słowem ono znanie wyższej kreacji, jakiego brak podobnośmy wszyscy uczuli, kiedyśmy cztery lata temu mieli sposobność widzenia Maryi Stuart na scenie¹⁾.

Czuje w wysokim stopniu i pociąg i potrzebę nawet poparcia tego, co tu powiedziałem ogólnie, dowodami opartymi na szczegółowych takich ustępach dzieła, gdzie pod wspomnianym względem kompozycya Maryi Stuart zdaje mi się być niedostateczna. Odsuwam jednak od siebie pokuszenie, jakiego w tej mierze doznaję, a to z przyczyny, że przewiduję, iż wywody podobne, jeżeliby być miały wyczerpujące, powiększyłyby zanadto objętość tego dzieła i — co gorsza, nadałyby mu, mimowolnie jakąś cechę polemiczną, którą, ile tylko być może, chciałbym usunąć z uwag

dotyczących pisarza, którego niema już pomiędzy nami. W własnym interesie poety niechaj mi tedy będzie wolno tę przynajmniej dołączyć tu tylko jeszcze uwagę, że niedostatki, jakie upatruję w praktycznem przeprowadzeniu tak tego dramatu, jak i wielu innych młodzieńczych dzieł Słowackiego, nie tyle mi się widzą skutkiem jakiegoś niedopatrzenia, jakiejs, jeslibym miał nazwać rzecz po własnem imieniu, niezdolności technicznej, ile raczej wynikiem odrębnego sposobu artystycznego, i prawiebym powiedział — manieri, jaka mu w pierwszych latach jego zawodu była właściwa i stanowiła wtedy jedno z najwybitniejszych znamion jego oryginalności.

Jeżeli który z pisarzy naszych, to właśnie Juliusz uważany być może, zdaniem mojem, za szczególnego wyobraziciela romantyzmu w poezyi. Romantyzm — jest to jeden z owych wyrazów, o których znaczeniu można mówić bardzo długo i powiedzieć bardzo wiele, a jednak pytania nie załatwić. Na to jednak zgodzi się każdy podobno, że przywiązane są do jego istoty i pewne odrębności co do ducha i pewne właściwości co do formy. Pomijając zupełnem milczeniem tamte, a mając w obecnej chwili tylko te ostatnie na oku, przyznajmy sobie, że romantyzm formy — wprowadzić nie z istoty rzeczy, lecz bardzo często w skutku, de facto, wychodzi na to samo, co genialny kaprys, co niezawisłość najzupełniejsza od wszystkiego, co pozytywne, co jakimkolwiek rozważeniu podlegające, co przez techniczne wymagania kompozycji warunkowane.

Poeta hołdujący przesadnie temu kierunkowi sztuki, w ciągu pracy około szczegółów dzieła rozpoczętego poczyną sobie wedle najswobodniejszego widzi-mi-się swojego; i rzucając jeden rys tak, drugi owak, ma zwykle swoje przyczyny, dlaczego w taki właśnie je sposób rzucił. Lecz to są tylko jego przy-

¹⁾ Była dana na scenie lwowskiej dwa razy w ciągu roku 1862. (P. A.).

czynny. Zdarza się czasem, że nie ma i żadnych przyczyn: ale mu coś majaczy, jakby je miał; i to nieokreślone, jemu samemu niedościgłe poczucie wystarcza, aby kierowało już jego ręką. Jeżeli go wspomaga w pracy prawdziwe natchnienie i wielki talent, to poczucie owo go nie zawiedzie. W przeciwnym razie — zawiedzie go niezawodnie i to na bezdroża dziwactwa, na trzęsawiska marzycielstwa, na jakich tak często na początku tego stulecia widywano owych to poetów niemieckich, kuszących się rywalizować z sławą Göthego i Schillera, których w literaturze tej znają pod imieniem romantyków i którzy — powiedzieć można — zdyskredytowali to godło.

Com tu powiedział w ogóle, nie zamierzam tego oczywiście stósować literalnie do poety, już w pierwszych latach czynności swojej pisarskiej tak znakomitego, jak nasz Słowacki. Miał wszelako i on pewne swoje nawyczki, którychbym się nie wahał kłaść głównie na karb złe zrozumianego romantyzmu. Jego odrębny sposób rozwijania osnowy poetyckiej zależał — pod względem technicznego artyzmu — na tem, że więcej on zawsze tylko natrącał i napomykał, nawiązywał i urywał, jednym więc słowem, szkicował i fragmentyzował, aniżeli żeby miał być wszystkie przejścia kreacji swojej wykonywać odpowiednio potrzebnie i w równej mierze.

Cała sztuka jego (w dziełach przypadających na pierwsze lata zawodu, o tych bowiem tu jedynie mówię), polega na tem, rzucać pełnemi garściami światła na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawiać w cieniu, jeżeli nie zupełnie poza ramami obrazu. Sprawiać wielkie wrażenia sporadyczne — oto główny cel jego tworzenia. Czegoby zaś całości niedostawało, niech sobie tam tego czytelnik własnym przemysłem dopełni!

Byli, trafiają się może jeszcze, wielcy i godni europejskiej sławy artyści dramatyczni — tak aktorzy

jak i śpiewacy sceniczni, którzy początkowe sceny sztuk i w ogóle wszystkie obojętniejsze ustępy oddawali zazwyczaj z umyślnem jakimś zaniedbaniem i bezbarwnością, ażeby zato w chwilach rozstrzygających błysnąć niespodziewanie całą świetnością talentu i samym kontrastem wrażeń najpotężniej olśnić publiczność. Owoż w podobny zupełnie sposób występują i w dziełach naszego poety szczegóły wykończone tem jaskrawiej na widok, im mniej są podniesione posłedniejsze partye utworu. Te świetne chwile w jego kreacjach sprawiają wrażenie jakoby grup rzeźbiarskich, plastycznem dłótem ciosanych; ale zato przestrzenie pomiędzy jedną taką grupą a drugą traktowane są od niechcenia, często lekkomyślnie, co się zowie, byle zbyć. Owoż — gdyby to zaniedbywanie się, gdyby to homeryczne w miejscach niektórych zasypianie odnosiło się do wiersza, do języka, do innych tym podobnych zewnętrzności poetyckich: — nie byłoby nic zgola do powiedzenia przeciwko przyswojeniu sobie takowego sposobu. Ale najgorsza w tem, że się ono — nawet w rodzaju poezji tak realizmem przesiąkłej, jak dramat, u Juliusza właśnie do zupełnie czego innego ściaga. Albowiem wiersz autora Maryi Stuart jest owszem w każdej części dzieła mistrzowski, język jego zawsze się iskrzy brylantami najczystszej wody! Natomiast niedbałość epizodyczna, o jakiej mowa, dotyczy u niego samejże rzeczy, obmyślenia osnowy, dotyczy samejże kompozycji, wiązań budowy, często-kroć samychże fundamentów. I to jest właśnie fatalna strona tej maniery, wielce powabnej skądinąd. Cóż bowiem z tego, że stanowcze chwile i wydatniejsze ustępy w większem dziele poetyckiem będą w sobie oddane z całą świetnością geniuszu? Jeżeli tych chwil wiązanie polega na jakichś kruchych, wątłych i że tak powiem wyproszonych tylko premisach, a krytycznej

próby nie wytrzymuje: w takim razie i to wszystko, co na tem oparte, wisi jakby w powietrzu i nie może wywierać prawdziwie głębokiego wrażenia. Uderza i podoba się w pierwszej chwili: po dłuższem zastanowieniu, nie zaspakaja.

Tak na przykład piękną jest niezaprzeczenie scena VI aktu trzeciego w Maryi Stuart, scena, gdzie się Rizzio po raz ostatni żegna z królową i gdzie zostaje zamordowanym. Jeżeli jednak zważymy, że Rizzio miał wedle rozkazu Maryi wyjechać niezwłocznie, jeszcze tej nocy, i że były bardzo ważne powody, ażeby jak najrychlej odjechać, i że też już stało na tem (w ostatniej scenie aktu II), że się już więcej nie pokaże na jej pokojach: — to prawdziwie nie wiedzieć jakiej okoliczności przypisać to widzenie się jego jeszcze z królową? W pewnej recenzji uczyniono uwagę, że się Marya w Włoszu kochała i że dlatego więc jako dawnego kochanka, przyjmuje go jeszcze u siebie, ażeby się z nim pożegnać. Ale przypuszczenie takie nie ma podstawy. Świat wprawdzie posądzał królowę o te miłości. W rzeczy samej nie musiało ich jednak być między nimi. Bo czyż w takim razie mogłaby ona mówić w monologu (w scenie VII aktu II):

»Wszak z dawna mnie obarcza czarne podejrzenie!
Myślą, że kocham Rizzia«¹⁾.

Czyżby wreszcie, w takim razie, mogła się była ostatnia scena aktu II odbyć takim tonem pomiędzy nimi, jak jest skreślona w dramacie? A zatem niewiadomo czego się trzymać i dlaczego Rizzio po tem wszystkim, co zaszło, otrzymał to wezwanie do Maryi, zwłaszcza że tegoż samego czasu miał się przecież pojawić w jej komnacie i Botwel, także przywołany

tam przez nią. Cóż więc jest? Oto poeta musiał wprowadzić owego wieczora czy nocy Włocha do pokojów królowej, gdyż mu oto chodziło koniecznie, ażeby poległ u stóp królowej. Lecz zupełnie zaniedbał umożliwić tej jego niespodziewanej bytności o tej porze w tem miejscu: i cierpi na tem budowa sztuki.

Weźmy inny przykład. — Kiedy po zamordowaniu już Rizzia i po oddaleniu się jego zabójców, Marya omdlała odzyskuje przytomność i spostrzega przybyłego tymczasem do jej komnaty Botwela: wtedy rzuca się rozpaczliwie sama w jego objęcia —

»O niech teraz te światła, te pochodnie zgasną,
Żeby mój wstyd ukryły.... Kocham cię Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i tać uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona!«¹⁾.

To zwierzenie, które wśród takich okoliczności, tak bez ogródki czyni Marya Stuart kochankowi swojemu, zdaje się być oparte na głębokiej (u poety) znajomości serca ludzkiego. I gdyby tak się rzeczy miały, jak je sobie Botwel tłumaczy:

... »W dobrą trafiłem godzinę.
Wielki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie«²⁾.

zwierzenie to byłoby rzeczywiście, jak tam ktoś o tem powiedział: »psychicznie uzasadnione!« Byłaby to wielka ekskuza dla bohaterki dramatu, że upada; i wielka zasluga poety, że tej sprawie taki dał obrót. Lecz to zwierzenie się królowej, jako i samo przybycie Botwela o tej porze w to miejsce, nie jest bynaj-

¹⁾ P. II. 110.

²⁾ P. II. 111.

mniej przypadkowe. Wszakże on już poprzednio przez pазia królowej został tu zawezwany na tę godzinę, na jej wyraźny rozkaz! (Obacz scenę II w akcie III). Zresztą Marya Stuart nie teraz dopiero rzuca się w tę przepaść, w jaką się miała dla niej obrócić ta miłość ku Botwelowi, bo już w scenie poprzedniej (w scenie VII aktu II) widzieliśmy ją, co się zowie, przygotowaną i zdecydowaną do tego kroku.

»O teraz przybądź do mnie! Przybądź tu Botwelu!
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia —
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy« itd.¹⁾

A zatem, nie jest to bynajmniej następstwem okropnej dopiero chwili owej i »rozpaczy« i »obłąkania«, że się rzuca Marya sama w jego objęcia. Choćby bowiem te okropności wszystkie i nie były zaszyły, choćby był Rizzio jeszcze przy życiu: to byłoby się stało i wtedy nawet zgoła to samo. Bo i cóż byłaby powiedziała królowa Botwelowi, przybywającemu do niej w nocnej porze i na jej własny rozkaz? Podobno mniej więcej to samo, co i teraz z jej ust usłyszał!

Albo cały ten pomysł (w akcie V) z ową lampą przed ołtarzem płonąca, której Botwel koniecznie uparł się użyć do podpalenia prochów pod Henrykiem Daruleym, ażeby go wysadzić w powietrze.... Marya Stuart wzdryga się na taką myśl świętokradzką. Czyni co tylko może, ażeby nie dopuścić do tego. Cała scena dotycząca tej chwili jest pełna wielkich wrażeń tragicznych. Jeżeli jednak rozważymy, że wszystek ten opór czyniony jest przez kobietę, która przed chwilą męża swego już własną ręką intencyjnie zamordowała, boć wiedziała ona o tem, że truciznę zabój-

czą, a nie napój usypiający leje w czarę, podaną mu do wypicia, skoro konwulsyjnie drżała jej ręka w chwili, kiedy ją do niej wlewała; skoro powiedziała wyrazy:

»Przepraszaj jakby leżał w śmiertelnej pościeli!
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia« i t. d.¹⁾

Jeżeli mówię rozważymy, że taki potwór kobiecy, jakim jest Marya Stuart po owej piekielnej scenie w wiejskim domku męzowskim, wzbrania się teraz pozwolić lampy do podpalenia miny, dlatego że to jest lampa święcona: — to wygląda to wszystko jakby na puste tylko jakieś ceregiele! Tragiczność wrażeń na myśl taką ulatuje, a natomiast zostaje tylko niesmak i tem większy wstręt do osoby, której wyobrażenia okazują się tak monstrualnie pomieszane....

Owoż w takich to niedokładnościach kompozycji upatruję ostateczną i najgłówniejszą przyczynę, dlaczego Marya Stuart, zaspakajając w tyłu najświetniejszych ustępach w tak wysokim stopniu wymagania artystyczne, nie czyni jednak zadość etycznym dzieła poetyckiego warunkom. Jeżeli w którym dziele, to w tej właśnie tragedyi uderza to ogólne spostrzeżenie co do natury całego sposobu, właściwego Słowackiemu w początkowych latach jego poetyckiej czynności, że bez porównania więcej jego jest rzeczą porywać, zadziwiać i zapalać wyobraźnię swego czytelnika czy widza, aniżeli umieć zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swojej — do celu, o który chodzi²⁾.

¹⁾ P. II. 122.

²⁾ Niezbyt bogatą jest nasza literatura krytyczna o „Maryi Stuart“ Słowackiego; zestawia ją dokładnie dr. W. Hahn w swej

rozprawie: „Przyczynek do genezy Maryi Stuart Jul. Słow.“ (Ateneum 1894 I. os. odb). W tejże pracy wykazuje autor reminiscencye w tragedyi z innych utworów a mianowicie z Alfierego „Maryi Stuart“ i z kilku utworów Waltera Scotta (The fair Maid of Perth, The lady of Lake, The Abbot, Kenilworth i in.); o wpływie Szekspira, Byrona i Schillera nie pisze krytyk, bo przedmiot ten wyczerpali jego poprzednicy, dodaje jednak trafną uwagę, że wpływ wspomnianych powyżej trzech poetów, nie da się wykazać zbyt licznymi podobieństwami w pomysłach i słowach, ale jest tylko widocznym w całym kolorycie utworu Słowackiego.

Ob. nadto drobny ustęp w dziele M. Zdziechowskiego „Byron i jego wiek“ (II. 414—16), poświęcony rozbirowi dramatu, i artykuł A. Drogosława: „Uwagi o „Maryi Stuart“ Słowackiego w przedstawieniu prof. Małeckiego“ (Ateneum 1896 III. 29—48).

IV.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętej w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiej jako nowej formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiej.

Reszta ówczesnych utworów Słowackiego, Jan Bielecki, Mnich, Arab, Żmija, — wszystko to ujęte jest w formę tak zwaną powieści poetyckiej. Jest to ściśle biorąc, mieszany rodzaj poezyi, w tym kształcie prawie zupełnie nieznanym przed wystąpieniem na początku tego wieku najcelniejszych poetów angielskich. Za głównego twórcę tej formy uważać można najwłaściwiej Byrona, który w tymto sposobie wykonał najznakomitsze swoje i najwięcej rozgłosu sprawiające utwory. Za tym przykładem rozeszła się wziętość powieści poetyckiej niebawem na wszystkie literatury postronne. Poeci polscy także ją przyswoili sobie niebawem. Obok Mickiewicza Grażyny, była Marya Małczewskiego pierwszym w literaturze naszej stanowczym przykładem tego rodzaju poezyi i służyć może za jeden z najdoskonalszych wzorów, kiedykolwiek wykonanych w tym kształcie. Przeważa w nim oczywiście pierwiastek opowiadawczy i opisywcy: to też przynależy forma rzeczona głównie dziedzinie Epiki. W gruncie rzeczy atoli poemat, o jakim mówimy, mało ma wspólności z naturą owych

plastycznych, szerokim korytem zwolna a majestatycznie się toczących kreacji, jakich przykłady najwydatniejsze znajdujemy w rozległych eposejach starożytności, a przede wszystkim w Iliadzie i Odysei. Powieść poetyczna kipi spadzistym łożyskiem, na spienionych falach, ujętych w wązkie koryto. Nie rozlewając się bynajmniej, jak tamte, na cały obszar przedmiotowego życia danej epoki, nie przywiązując żadnej wagi do wydatnego w rzeźbiarski sposób postaciowania szczegółów: pędzi ona co prędzej naprzód w ślady za jednym tylko punktem — osobą samego bohatera.

Na pozór wiele w tem wszystkim podobieństwa do toku, do rytmu dramatycznych kreacji. Ale bo też jest w tem wszystkim i coś więcej, jak pozór. Jak się w dramacie przed oczyma naszymi zlewa ze wewnętrzność zdarzenia i wewnętrzność uczucia (namiętność) w genezę czynu, w akcyę: — tak i w skład tej nowej, tej romantycznej formy epizmu wchodzi już cały zasób artystycznych potęg liryki. Uczucia osobiste poety, jego smętność, żal, nienawiść, jego zwątpiałość i zropaczenie, jego zapal ożyweży, i miłość i ogień namiętny, słowem — co tylko wre na dnie własnego jego serca — wszystko to znajduje tu wyraz bezpośredni i wplata się jak idealny duchowy wątek w materyjalną ośnowę przedmiotu pieśni.

Utwór taki sprawia na słuchaczu wrażenie, jak kiedyby kto spoglądał na ruch przesuwających się widzeń wywołanych do życia czarodziejskim pędzlem malarza, przy odgłosie jakiejś napowietrznej muzyki, która ten świat kolorów owiewa tonami i uzupełnia.

To zespolenie dwóch odrębnych żywiołów poezyi tem więcej jest wdzięczne i dla poety dogodne, że dozwala jego natechnieniu najzupełniejszej swobody. Wolno mu tu, kiedy zechce, spocząć na pewnym ustępie z całym rozmiłowaniem w szczegółach flamandzkiego malarza; wolno mu znowu dawać się porwać

pędowi, w którym całe partye obrazu zbywane być muszą kilku zaledwo ogólnymi rysami. Wolno mu snować wątek powieści, jak czasowa kolej rzeczy wymaga: wolno mu zwickać go nagle, urwać, rzucić zasłoneżone zagadki na najciekawsze ustępy, i zwracając wyobraźnię słuchacza ku innym ogniom tego łańcucha zdarzeń, wprowadzać inne widoki, ażeby niezadługo i te znowu porzucić. Słowem: im więcej rozmaitości, swobody i subiektywizmu autora w rzeczach tego rodzaju: tem też, więcej zwykłe wrażenia.

Talentowi Juliusza z samej natury rzeczy odpowiadał najwłaściwiej ten rodzaj pracy. Próby zastosowania tej metody do utworów dramatycznych, nie zawsze były na miejscu. Natomiast w poematach, o których rzecz obecnie, znalazł on się że tak powiem, na własnym gruncie. To też bodaj które pomiędzy rychlejszemi jego dziełami tak odrazu trafiło do powszechnego czytających smaku, jak **Jan Bielecki**, którego utworzenie przypada właśnie na tę przestrzeń czasu pośrednią, jaka była pomiędzy napisaniem *Minnowy a Maryi Stuart*. — Lesław Łukaszewicz, autor znanego *Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego*, nie był wprawdzie, jak wiadomo, wielkim krytykiem; ale tem pewniej zato znajdujemy w zdaniach jego o dziełach autorskich odgłos wyobrażeń, jakie powszechnie popłacały naówczas pomiędzy czytającym ogółem. Owoż w edycyi dziełka swego ogłoszonej we dwa lata po śmierci poety (w edycyi z r. 1851), mówi on o Bieleckim w takich wyrazach: »We wszystkim, co muza Słowackiego wyśpiewała, znajdziesz ustępy piękne, a całość zawsze niesmaczną. Pospolicie dziwaczy. Tylko powieść Jan Bielecki udała mu się«. — Tosamo niemal donosił o tej powieści matce i sun poeta, a to zaraz po pierwszym dziele tych wyjściu z pod prasy.

»Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy¹⁾. Jednak Bielecki jest najwięcej chwalony przez wielką liczbę, której takiej cichej poezji potrzeba«²⁾.

Równocześnie zdaje się ze słów powyższych i to zatem jeszcze wynikać, jakoby autor sam tak wielkiej wagi do tego swego utworu nie przywiązywał. Że przynajmniej stawiał Żmiję i Maryą Stuart o wiele wyżej: to nie podlega wątpliwości żadnej.

Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik, w części z ustnej tradycyi, przywiązanej do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniej).

Współczesny zdarzeniu temu Bielski w Kronice Polskiej tyle o Bieleckim zapisał, że kiedy w r. 1587 Tatarzy w wielkiej liczbie na Podole i Ruś wtargnęli, plądrując z niezmierną szkodą dla okolicznych mieszkańców: zaszło z nimi kilka potyczek, między którymi bitwa pod Baworowem była jedną ze znaczniejszych. Bitwy tej wprawdzie pohanicy nie wygrali, owszem od tej dopiero chwili »jeli ustępować«. Ustępowali wszelako z niemałą ilością zabranego w niewolę ludu i szlachty. Z tych niektórzy złożywszy okup niemały, wyszli na wolność po niedługim czasie. »A Korycińskiego — są słowa dziejopisa — Bielecki mając z nim z dawna przyjaźń, darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublianianin herbu Janina, jeno się poturczył i przyjechał

¹⁾ Rzeczywiście wstęp do Bieleckiego jest niestósowny i bez żadnego związku z całością. Ale bo też jest to ustęp później dopiero doczepiony. Boć poemat sam pisany był jeszcze roku 1830 w Warszawie, a wstęp jest daty o rok cały późniejszy. We wstępie są już zużytkowane wrażenia, jakich doznał autor 1831 roku w Londynie, kiedy zwiedzał Westminster, z czego też potem zdawał w taki sam sposób sprawę matce listownie. Takie przystawki późniejszej daty zazwyczaj się nie udają. (P. A.).

²⁾ L. I. 113.

z Turek do Polski za króla Stefana, i tu chciał mieszkać: jedno że przecie swej wiary zleć odstąpić nie chciał. Król Stefan chcąc go najwięcej do poselstwa zatrzymać, że to umiał język tatarski i turecki, naznaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu. Ale król dał, a panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiodł«.

Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: król dał, a panowie wzięli, uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niem pamięć, że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego gdzieś położoną w sąsiedztwie najechał, dworek szlachecka wraz z chatami włościan puścił w perzynę, a na ostattek całe to miejsce plugiem kazał zaorać i w puste pole zamienić¹⁾.

Taki więc był surowy materiał poematu. Zdarzenie to przedstawiało różne strony, na których mogła być spocząć wyobraźnia poety. I tak, najbliższe może, co się tu nasuwało jako wdzięczny temat do

¹⁾ Dr. W. Hahn wykazuje w artykule p. t. »Drobne notatki do pism J. Słowackiego« (Prawda, książka dla Świętochowskiego. Lwów, Petersburg, 1899 str. 168—173), że wzmianka o Bieleckim w kronice Bielskiego nie mogła być znaną poecie, gdyż owa część kroniki dopiero w r. 1851 została ogłoszona drukiem. Zdaniem dr. Hahna źródłami, z których Słowacki korzystał w swoim utworze były: R. Heidensteina *Rerum Polonicarum ab excessu Sigismundi Augusti libri XII* Francofurti, 1672 (o Bieleckim wzmianka na str. 286) i Siarczyńskiego: *Obraz wieku panowania Zygmunta III*, Lwów, 1828 (o Bieleckim t. I. str. str. 30 i n).

Wpływ Maryi Malczewskiego na Bieleckiego zaznaczył P. Chmielowski w książce: *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*, Warszawa, 1893. — O byronicznym kolorycie poematu rozwiódł się obszernie J. Treliak w rozprawie: *O byronizmie w poezji polskiej* (Tydzień, Lwów 1879 str. 25 i n).

obrobienia — była to ta zagadkowa postać poturczanego Polaka na tle zygmunto-wskiej epoki! Widzieliśmy za dni naszych kilka przykładów podobnej zamiany krzyża na księżyc, a pocziwiej nazwy polskiej na jakiegoś beja lub paszę. Ale to były manewra polityczne — komedye, dowodzące nibyto wielkiej dyplomacyi i miłości ojczyzny u tych, co się na owe awantury puszczały. Szezęś im tam Boże na tej drodze! Jeżeli jeszcze dziś myślą, że nie popełnili wielkiej niedorzeczności — tem lepiej dla nich. W wyjątkowem naszym położeniu dzisiejszem wszystko to jednak daje się, jeśli nie chwalić, to przynajmniej rozumieć. Ale wtedy! W czasach tak normalnych, takiej głębokiej wiary, w czasach gdzie sobie z religii jeszcze żartów robić nie pozwalano — był to wypadek dziwnie nierymujący ze wszystkim, na czem tylko ta Rzeczpospolita stała. Jakichże to chyba nadzwyczajnych potrzeba było kolei losu, żeby się była mogła wyrobić taka osobistość, jak owa przez historyka odmalowana! Szlachcie polski — poturczony — wrócił do kraju — otrzymał od króla opatrzenie, jest wolny i niezawisły — i mimo tego nie chce czy nie może złej wiary swojej odstąpić. Ileż w tem wszystkim zagadek! Ile domysłów się tu nastęrcza względem przeszłości Bieleckiego, względem jego związków z drugą ojczyzną, względem jego własnej indywidualności, czego wszystkiego historia wcale nie odśłoniła. Była wtedy w młodszym gronie poetów naszych w ogóle wielka skłonność do obrabiania przedmiotów orientalnych. Sam Słowacki hołdował tej skłonności. Otóż nastęrczała się tu jedyna w swoim rodzaju sposobność uczynienia zadość temu poehopowi przejętemu od Byrona i Moora, nie roznijając się przeto z rzeczywistą tradycją i narodową i nawet historyczną.

Albo rzućmy okiem na inną stronę tejże tradycyi. Autor, któryby był obdarzony pewnym zmysłem

dziejowym, któryby dla natchnienia swego szukał podstaw więcej przedmiotowych, byłby się tu uczeplił tych słów kronikarza naszego: Król dał a panowie wzięli, i byłby podniósł głównie ów fałsz odwieczny w stosunku możnowładców dawnej Polski do braci młodszej, do szlachty, która choć z prawa we wszystkim niby równa magnatom, była w rzeczy samej jednak ciągle przez nich traktowana z odręcającem lekceważeniem. Z tego to fałszu wynikły u nas wszystkie klęski publiczne. Wszechwładność panów taka, jaka była w dawnej Polsce, nie byłaby mogła mieć miejsca, gdyby prawa im przynależne a prawa niższej szlachty były rozgraniczone. Rozgraniczenia tego nie dopominali się możnowładcy, bo zagarniając przy każdej sposobności dla siebie wszystko, co się zwało wolnością szlachty, więcej posiadali mocy, niżby im takowej była dać mogła najdalej choćby posunięta forma rządu oligarchiczna. Rozgraniczenia tego nie zażądała i szlachta, bo jej milej było znosić i nadużycia, a cniubić się dogmatem, że szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie, aniżeli przyznać, że ta równość — to tylko urojenie, i poprzestać na czemś skromniejszym. Ani tedy od jednych, ani od drugich nie wychodziła inicjatywa do określenia stosunku, któryby kładł wreszcie koniec temu systematycznemu przechytzaniu się obu stanów. Zamęt pojęć, jaki w tej mierze panował, zakończył się dla całego państwa — jego upadkiem, a nim jeszcze do tego przyszło, sprowadzał na osoby poszczególne w ciągu wieków bardzo często katastrofy równie jaskrawe, chociaż się takowe skrupiały tylko na nich samych i ich rodzinach. Przykładów takich dzieje dostarczają podostatkiem. Owoż i w tym razie z danego materiału dawała się wysnuć kreacya szerszych rozmiarów, rdzennie trafiająca w samo serce naszych instytucyi i obyczajów, w której żyłyby i kipiały namiętności, może najdalej posu-

nięte i najwięcej też tradycyjne ze wszystkich, jakie tylko były znane dawnemu społeczeństwu naszemu.

Słowacki, wierny stanowisku, jakie zajął w poezji, szukający wszędzie ideału wedle swego punktu widzenia, pochwycił rzecz z innej zupełnie strony. Jego fantazya zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiej doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy.... W całym szeregu ogniów, stanowiących łańcuch zdarzeń, jakie sobie wysnuć było można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim, pocie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał, nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby się tylko zemścić — ile ów nadmiar cierpień, dojmujących po zemście już dokonanej a w taki sposób. Owoż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po spłaceniu swej krzywdy, widzi się pod stopami tryumfującej przemocy; ten żal do świata, że go tenże zmusił do czynów, których on sam nie może sobie przebaczyć; to osamotnienie na świecie istoty, dla której ani za życia nie ma nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po śmierci nie będzie kawałka ziemi na mogiłę: — to były motywa w całym onym wydarzeniu dziejowem, dla których zwrócił Słowacki swoje na ten przedmiot uwagę. One też jedynie wprowadza w ramy obrazu, wykluczając historyzm i wszystko inne, jako przybory obojętnej już treści.

»Co było w kraju? nie skreślę do razu.

Jeden cień tylko maluję obrazu¹⁾«....

Oczywiście wypadło, właśnie z tego powodu, niejeden szczegół, ze strony surowego materiału po-

dany, przekształcić inaczej, aby początki i powody katastrofy odpowiadały założeniu. Rozstęp między opowieścią poety a podaniem polega głównie na tem, że podanie ukazuje w Bieleckim renegata już od pierwszej chwili jego powrotu do kraju; w poemacie zaś był on wprawdzie kiedyś za młodu w niewoli tureckiej, ale wrócił z niej niesturczony, Dopiero później krzywda, jakiej od magnata doznaje, rzuca go na drogi zdrady kraju i zdrady wiary. — Wszystkie te premissa zresztą zbywa autor jak najkrócej. Jest to dla niego tylko rusztowanie do właściwej budowy, której ostateczne odślonienie przypada na drugą dopiero połowę poematu. Ze słów urywkowych dowiadujemy się tedy w początkowych pieśniach tyle jedynie o tem, że działo się to za panowania króla Stefana. W brzeżańskim zamku żył możny, dumny Starosta — mieszkanie jego przepychem nie ustępowało w niczem grodowi królów. Ale na czole magnata od niejakiego czasu zawisa chmura jakaś posepna. Jakaś skryta troska dręczyła go tajemnie, pomimo skarbów i włości i tłumy sług i tej szaty złocistej, w której jaśniał. Od tygodnia poczęły się w zamku jego nieustające zjazdy.... W komnatach jego gościnność i uprzejmość i biesiady huczne. Znikła z groźnego możnowładcy oblicza zwyczajna duma. Otworzył na oścież serce dla okolicznej szlachty i karmi ją i poi i schlebia chudopachołkom. Pozwala się rozlegać po domu swoim swobodnie hucznemu gości swoich gwarowi. Po tygodniu takowej uprzejmości wypływa wreszcie oliwa na wierzch.

»Hej! szlachta znacie Bieleckiego Jana? —

Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,

A dziś się z pany w jednym stawia rzędzie,

Jak król udzielny w darowanej grzędzie....

¹⁾ P. I. 62.

A kiedy zamki wałę się pod gromem:
On podparł domu wałę się ściany
I tak spokojnie między nimi żyje
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije¹⁾«....

Z dalszej mowy wynika, że ten więc szlachciec
podły, jak się Starosta o Bieleckim wyraża, miał
z nim jakąś zwadę i wytoczył sprawę przed króla.

»I ja tu był winien, winien był Sieniawski!! —
I oko w oko przed króla obliczem
Widziałem wroga!... Nie próżno przychodził:
Król go pochwalił, zachęcił, nagroził;
Nie spjrzał na mnie i odprawił z niezem!«

Przy łaskawej pomocy życzliwej braci, która
właśnie spija wino Starosty, znajdują się jednak jeszcze
sposoby powetowania tej krzywdy....

O! dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni!....
Bracia — noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Pan Bóg dopomoże,
Dom zrzuć, spalę, grunt domu zaorzę«....

Temu wezwaniu okazuje się zgromadzona szla-
chta powolną:

»Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym okrzykiem —
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni²⁾«.

¹⁾ P. I. 64. ²⁾ P. I. 63—5.

W drugiej pieśni przenosi nas autor w wnę-
trze kościoła. Rzecz dzieje się w Brzeżanach. Dla do-
pehnienia obrzędu ślubnego, staje tu przed ołtarzem
Bielecki, Anna i cały orszak weselny: tymczasem
w domu pana młodego — w niedalekiej odległości
od Brzeżan — prawie wyludnionym z mieszkańców,
nie ma nikogo, co by go bronił przed tą hałastą, nie-
sącą mu zniszczenie. Ta napaść jednak nie wchodzi
tu w ramy obrazu. Jesteśmy świadkami tylko sceny
ślubnej, która zresztą, równie jak poprzednie ustępy,
zbytą jest ogólnymi tylko rysami. Tak młodożeniec,
jak panna młoda — są to jeszcze tylko typy powsze-
chne. Do wnętrza ich serc nie zazieramy. Co tu o nich
słyszemy, ściaga się więcej do ich powierzchowności,
do ich ubioru, do orszaku, który im towarzyszy.
Nawet ich uczucia są tylko zwyczajnym w razach po-
dobnych nastrojem duszy. Gdyby nie te kilka szcze-
gółów, które urywkowo w poprzedzającej pieśni rzu-
cił był o Bieleckim Starosta, to bohater poematu byłby
dla nas człowiekiem zupełnie nieznanym, chociaż go
w tym ustępie mamy tak blisko przed sobą. — Podo-
bnie urywkowo opowiedziane jest i przybycie młodo-
żeńców do domu Bieleckiego. Domu tego jednak oni
już nie znajdują. W miejscu, gdzie przed kilku jesz-
cze dniami był dwór i wioska, znajdują tylko rolę —
świeżo zaoraną i głuchosć. Cała ta więc sytuacja zno-
wu naznaczona tylko kilku rysami. Zdaje się, jakby
poeta słów żałował dla wszystkiego, co go dopiero pro-
wadzi do właściwego tematu. Nawet burza uczuć, obu-
dzonych w bohaterze poematu tą dojmującą krzywdą,
zbytą jest cała w tych oto kilku wierszach:

»Patrzą, nie wierzą.... Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumy się wyrwa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stał przed żoną obłąkany, błąd.

Na jego szatach widać krwawe ślady....

— »Anno«, rzekł, »Anno wracaj! nie mam domu!

Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!

Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.

Już mnie domowe szczęście nie omami:

Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,

W twojem objęciu zalałbym się łzami.

Ja nie mam domu!«... Zadrżał i spał konia,

I jak wiatr, szybko poleciał przez błonia ¹⁾«.

I to już wszystko, co o tem mówi poeta.

Odtąd Bielecki zupełnie znika ze sceny. Przez
niemalę czasu przeciąg ani wieści, co się z nim dzieje.
Żona po nim już przywdziała żalobę.... Gdy wtem
nagle zapowiada się znowu blizka jego w stronach
owych obecność przez owo tajemnicze zlecenie, przy-
słane Annie, ażeby się i ona także znalazła, na
maskowym balu, który wyprawia w zamku swoim
Starosta.

Na tymto balu — w przedostatniej pieśni — przy-
chodzi dopiero do takich zdarzeń, że ów aż dotąd
dla nas prawie nieznamy staje się naprawdę naj-
wydatniejszą postacią poematu. Tu dopiero odsłania
się w nim typ tego demonizmu, tej dzielności pchnię-
tej na przepaściste szlaki zaguby, o której wizerunek
jedynie chodziło autorowi. — Jakich przejść w uspo-
sobieniu duszy trzeba było, ażeby z normalnego czło-
wieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego
poemat nie odsłania. Ani słowa nawet o tem, co się
zewnętrznie działo z Bieleckim od chwili, gdzieśmy
go stracili z oczu. Ale wynagradza nas za to poeta

¹⁾ P. I. 66—7.

gotowym widokiem tego, czem on jest teraz, kiedy znowu
staje przed nami. Cała postać Bieleckiego tak jest
zmieniona, że za pierwszym spojrzeniem własna żona
go nie poznaje. Podobne przeistoczenie zaszło i w ze-
wnętrznych jego stosunkach. Pokazuje się bowiem, że
aby wyrzucić zemstę na magnacie, który go skrzyw-
dził, człowiek ten wyparł się wiary, ojczyzny i prze-
szedł na stronę najzaciętszych jej nieprzyjaciół. Zbra-
tawszy się z Tatarami,

»Czoło złocistym przysłonił turbanem

I wiarę złotym księżyceem naznaczył ¹⁾«.

Po takim czynie, jako wódz ordy pohanów, na-
prowadził na Polskę zagon tatarski. Nie wahał się
splawić we krwi tysiąca chat i dworów, których mie-
szkańcy nie zawinili mu w niczem, byleby tylko za-
wiśł ten piorun zagłady i po nad zamkiem Starosty.
I owoż woli jego dzieje się zadość. Znienacka, kiedy się
w ogrodzie brzeżańskim sproszeni goście bawią w naj-
lepsze, zalały tłumy najeźdźców wszystkie sienie i ko-
mnaty zamkowe. Bielecki

»Leci na czele i służbę pomija,

Nikogo dotąd nderzyć nie raczył,

Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!

Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady

Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,

Światła zadrżały, zgasły, tylko błady

Świecił się promień lamp w alabastrowe

Ukrytych głazy.... Wpadł jak śmierci mara

I wyjście mnogą wartą zabezpiecza....

Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara.

Błysnęły szabli obrazy święcone,

I padł Starosta na twarde granity. —

¹⁾ P. I. 72.

Zaśmiał się Tatar.... śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo — był to jęk kobiety ¹⁾».

Aż dotąd zdrada i mściwość wiodły Bieleckiego do celu, jakby po drodze różami samemi uślanej. Dosięgnął pragnień swoich nakoniec. Widzi dumę, która zniszczyła całe szczęście jego na ziemi, powaloną u stóp swoich i skareoną strasznie. Nie będzie już ten magnat nikogo odłąd krzywdził na świecie! I pierwszy haust z podanego do ust zemsty puharu był słodki. Ale słodczye takich upojeń prędko się przemieniają w truciznę. Na najwyższym szczycie swoim Bielecki słyszy jęk, jak echo złowieszcze czynu, którego się dopuścił. Ten jęk przyzywa go do świadomości — powiada mu, co uczynił. Ten jęk najdroższej mu na ziemi istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugich znosił. Własne sumienie się w nim odzywa i mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe! Teraz dopiero ów wróg jego, nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki! Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od tej chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościół, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością — gardzi nim i odtrąca od siebie. Jest wymazanym z liczby synów ziemi, co go zrodziła. Ze społeczności kościoła wyrzuca go kłątwa biskupia. Rozbudza się w winowajcy bolesna, niezem nie zagłuszona świadomość zbrodniarza, wywołająca. A mimo tego, nie przestał on jednak należeć sercem do tych wszystkich, którzy go odtrącają — gdyż żyć po za ich sferą, nie może!

¹⁾ P. I. 72.

Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka, odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezyi, że śmiało ją stawie można na równi z celniejszymi pięknościami naszej literatury. Szczególnie zaś podnosi wartość rzeczzonego ustępu idealna postać Anny, z dziwnym urokiem stawiona na samym przedzie obrazu w pieśni ostatniej. Jest to niejako kontrast serca, przeciwstawionego bezdusznosci instytucyi, zdolnych tylko potępiać bezwarunkowo. W osobie Anny wcielił poeta całe współczucie i że tak powiem, solidarność swoją z tym posępnym ideałem, jaki sobie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniej nie tai tego przed sobą, że czyny jej męża są wobec ludzi i Boga występne wielce i grzeszne. Z jękiem rozpacz, mdlejąca, ujrzała go idącego po tej drodze zbrodniarzej. Ale ta kobieta ma serce! Przyznając zbrodnię, umie ona wnijść i w pobudki zbrodniarza. Odgaduje konieczność, która jej męża skłoniła do powzięcia takiego postanowienia. Lituje się nad nim i w jego upadku, tak jak go miłowała za dni szczęśliwszych. Słowem: Anna rozumie Jana. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, byle tylko nie opuścić opuszczonego przez wszystkich. I towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do samej godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet w nielitości swojej odmawia, onato słabemi dłońmi swojemi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród tej ostatniej posługi, siły coraz bardziej mdlejące, nadaremnie do drzwi cerkiewnych powtarzając stukanie, ażeby Bóg się zmiłował, kiedy ludzie nie mają dla niej litości: gaśnie biedna z wysilenia nad grobem — niedokopanym! Gaśnie w niemej boleści zwolna, »jako w Bogu tonące modły — jako daleki śpiew«, i usypia przy zwłokach męża — na wieki....

Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezji niejako rehabilitacya człowieka, którego twardy porządek ziemski pokarał nazwiskiem zdrajcy, a nad którym anioł boży w postaci kobiety owej — zapłakał. I te łyzy czyste miłości i zlitowania tak zaważyły na szali onego żywota, do połowy złożonego z przestępstw, a do drugiej połowy z cierpień, że i my potomni sympatyzujemy ostatecznie z bohaterem tej staropolskiej tradycyi.

Jeżeli jednak z nim sympatyzujemy, to tylko pod następującem zastrzeżeniem. Widzę się tu zmuszonym przypomnieć, co się wyżej powiedziało w ogóle o formie powieści poetyckiej, że wielką w niej odgrywa rolę owa urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi dobrą część swego zadania co krok pozostawiać własnemu domysłowi czytającego. Owoż i w tym razie od czytelnika to jedynie zależy, zapłacić sobie własną wyobraźnią tę przerwę, jaka przypada na środek poematu, kiedy to Bieleckiego po zniszczeniu jego wioski z oczu tracimy, aż do powtórnego jego wystąpienia na scenę, w roli herszta Tatarów. Doznana ze strony Starosty obelga i krzywda, a przy niej i ogłocenie z całego mienia, jak są opowiedziane przez autora, mogły wprowadzić i musiały zrodzić w sercu szlachcica namiętne pragnienie zemsty. Jednakże dalekie to wszystko jeszcze jest od jaskrawości pobudek, jakieby zająć musiały, zanimby się człowiek w położeniu Bieleckiego ówczesnem puścił na takie drogi zapamiętałej żądzy odwetu! Wyprzeć się wiary ojców swoich i nie tylko zapomnieć o ojczyźnie, ale ją jeszcze spławić w powodzi krwi niewinnej — to są rzeczy, o które się nie tak łatwo pokusić. Łatwiej to wszystko pomyśleć i zamierzyć, aniżeli wykonać. Pędzej się kto odważy na wszelką inną zbrodnię, choćby największą, choćby najprzeciwniejszą naturze ludzkiej, niżeli na to. Doprowadzenie rzeczy takiej do końca jest

wynikiem długiego pasma planów i środków i obmyślonych sposobów, które potrzebują dla siebie i czasu długiego, zanim zrodzą ostateczny swój owoc. Owoż właśnie z tego powodu szła namiętność, któryby pełniał kogoś na razie w stronę takiego postanowienia, sto razy tymczasem by się ulotnił i ostygł, zanimby dzieło doszło do skutku.

Jeżeli zatem patrzymy na Bieleckiego i w tej jeszcze chwili jego zawodu z pewną wiarą w prawdę poezji: to chyba już jedynie dlatego, ponieważ wychodzimy z przypuszczenia, iż nie zależało na tem autorowi, żeby przedeptać, że tak powiem, krok za krokiem tę całą przestrzeń, jaka człowieka dzieli od normalnego usposobienia aż do najwyższej burzy wszelkich żywiołów w jego jestestwie. Wyobrażamy sobie na przykład, że się Bielecki poprzednio w inny sposób i niejednokrotnie kusił o dokonanie zemsty; że wszystkie jego usiłowania wywarcia jej w granicach, że tak powiem, względnie godziwych, były wobec przemocy, wobec przezorności magnata nadaremne; przypuszczamy, że tymczasem mogła i niejedna nowa obraza zająć ze strony tryumfującego możnowładcy, która serce szlachcica już i bez tego zranione, tem zapamiętałszym hołtem porwała.... Słowem poddajemy się wrażeniu, jakbyśmy słyszeli z ust poety, że on tę całą skalę pośrednich pobudek, zażegających coraz silniej, wiodących coraz nieuchronniej człowieka do ostateczności, otwiera dla naszej wyobraźni, ale zakrywa dla oczu naszych, i że nam wtedy dopiero znowu ukazuje swego człowieka, kiedy ten stanął już na samym szczycie tego szaleńczego i opętania, które jak ogień piekący pozbawia go odpowiedzialności za wszystko, co przedsięwzięte w tym stanie....

Rzecz o **Mniehu** i **Arabie** zbędziemy krótko. Są to utwory już z tego powodu mniej znaczenia mające, że były tylko odbiciem wrażeń wzbudzonych obcem natchnieniem. Rozczytywanie dzieł poetów angielskich, a mianowicie Moora i Byrona, których fantazya lubiła się zasilac zasobami wschodniego świata, poddało Słowackiemu myśl przeniesienia i swoich także ideałów na tło stosunków oryentalnych, chociaż ich wtedy nie znał jeszcze inaczej, jak tylko z książek. Utworzenie obu poematów było przedzielone pracą nad innemi rzeczami. Mnich powstał przed Bieleckim, zaraz po ukończeniu *Mindowy*¹⁾. A Arab należy do płodów najpóźniejszych w obu tych tomach, gdyż tylko *Zmija* jest jeszcze późniejszej daty. Rzecz dziwna, że wartość tych dwóch oryentalnych powieści, nieskończenie nierówna, ma się w odwrotnym właśnie stosunku do czasów, w których jedno i drugie powstało. Arab, pomimo wybornego wiersza i wszystkiego, coby rzecz można na pochwałę o jego zewnętrznej formie, jest to prawdziwy *lapsus ingenii*; podczas, gdy Mnich, pominiawszy pewne nieprawdopodobienstwa w szczegółach, poniekąd wytrzymuje krytykę.

Głównym tematem jest i tutaj odstępstwo wiary i tradycyi ojczyściej. Szczególna rzecz, że ta właśnie materya tak często zaprzatała wtedy wyobraźnię poety. Między siedniū jego pracami objętymi w obu tych tomach, cztery obracają się właśnie około tego motywu. *Mindowe* zmienia religią z rachuby i nieszczerze. Bielecki z konieczności. *Zmija* udaje chrześcijanina z powodu przypadkowych okoliczności. Jeden tylko Mnich zostaje apostatą z całą wiarą, że dokonywa zmiany

¹⁾ Pierwszy pomysł „Mnicha“ odnieść należy do r. 1829; ustęp dowodzący tego mieści „Pamiętnik“ poety, przytoczony w obecnej książce na str. 69.

Ob. nadto drobny artykuł St. Zdziarskiego: „Geneza Mnicha“ (Sami sobie. Warszawa 1900).

na lepsze, i czyni to z wolnej woli. Są zatem, jak widzimy, pewne odcienie w szczegółowym przeprowadzeniu tej myśli; ale grunt rzeczy jest zawsze jeden i następstwa czynu tesame. Prowadzi to zawsze do osamotnienia jednostki na tle całej reszty sobie podobnych i do nieuchronnej walki z ogółem, ani zdolnym zrozumieć pobudek tej apostazy, ani też skłonnym do przebaczenia takowej. Ta kolizya była tedy ciągłym przedmiotem rozmyślań Słowackiego przed rokiem 1831....

Poeta stawia przed nami zakonika jakiegoś w klasztorze na górze Synai, zdającego spowiedź z całego życia, spowiedź ostatnią, gdyż wątek życia tego człowieka właśnie się kończy. Młodość jego, pełna świetności, nie taki zapowiadała mu koniec. Syn zwierzchnika jednego z najdzielniejszych pokoleń arabskich, przywodził i sam za młodu nieraz w napadach na karawany.

»Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne«.

Nie chodziło mu przy tem bynajmniej o zdobycz, o pomnażanie skarbów dziedzicznych. Szukał niebezpieczeństw, bo gardził spokojem życia. Walki miały dla niego urok, bez względu na to, jaki ich skutek. Przygody, trudy, niewczasy były potrzebą jego ducha.

»Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzyłem na nędzę«....

»Marzyła dusza!... Iloż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy!«.

¹⁾ P. I. 50.

Gdy więc tak często bez celu zapędzał się ten młody Arab w stepy bezludne, zdawało mu się razu jednego, jakby słyszał jakieś przeciągłe, a melodyjne tony, które mu z daleka wiatr zachodni przynosił.

»Wypuszczam konia i gonię za śpiewem;
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła —
Coraz doganiam wyraźniejsze tony,
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony¹⁾».

Prześliczne jest miejsce, gdzie dziki ten syn pustyni opisuje pierwsze wrażenie, jakiego doznał za wniknięciem do chrześcijańskiej świątyni:

»Wchodzę — stanąłem przy ciemnym filarze,
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jej czole złoty liść rozkwita,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potem w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła.
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nade mną
Rozlacał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzył w duszę moją ciemną«²⁾.

Wrażenia te tak silnie wstrząsnęły duszą Araba, że porzucił wiarę ojców i został chrześcijaninem.

¹⁾ P. I. 50—1. ²⁾ P. I. 51.

»Ty mówisz, mnieku, że to dzieło enoty? —
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
Dni moje gorzkie zatruty zgryzoły:
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął: — »Idź wyrodne dziecię!
Idź w świat! i zostań sam jeden na świecie«¹⁾.

Ta klątwa ojca spełniła się dosłownie. Młody renegat, odepchnięty i nienawistnie prześladowany przez swoich, ziścił nawet sam owo straszne przekleństwo. Zaczepiony przez brata, zabił go, nie wiedząc w chwili czynu, komu śmiertelną ranę zadaje. Napadnięty potem przez ojca, uszedł wprawdzie przed jego gniewem i przywdziawszy habit zakonny, zagrzebał się w owym samotnym klasztorze. Lecz i tam dosięgła go fatalna siła przekleństwa. Przy odpieraniu napadu jakiegoś tłuszczy Arabów, którzy w nocy, zniemacka, uderzyli na klasztor, żeby go złupić, jegoto oręż powalił trupem herszta owego tłumu. Klasztor został ocalony, ale się okazało, że tym hersztem — był jego ojciec....

Tak więc (nie taję, że wielkim kosztem podobieństwa do prawdy!) jego własna ręka spełniła w całej grozie owę klątwę ojcowską.

»I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczoł matka, gdy w umarłym ulu
Siedzi posępna nad córka grobami,
I sama szuka grobowego cienia«²⁾.

Mógłby teraz zażywać spokoju, kiedy wyginęli już wszyscy, którzy mu go zamęcali, gdyby.... nie

¹⁾ P. I. 51. ²⁾ P. I. 55.

własne jego serce! Onoto zaczyna się teraz domagać praw swoich, których zaspokoić nie nie potrafi na ziemi. Świat nowy, w który przeszedł, murem opasany klasztornym, nie odpowiada jego pragnieniom, nie czyni zadość jego ideałom i nie może być jego światem! Takie życie, to śmierć przed zgonem, to martwość! Pod kapturem zakonnym

»Myśl moja wyschła, jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę«¹⁾.

Nawet pacierze tych ludzi, których już widzi w myśli snujących się koło trumny, w której go zamkną, gdy umrze: — martwe to modły, zimna to boleść!

..... »Niosą kir, kobierce
I światła w rękach i zakryte czoła;
Modlą się za mnie — lecz nawet pozoru
Nie ma boleści!... Zimne mnicha serce
I modły zimne jak mury klasztoru!«²⁾.

Domierza tedy życia w chrześcijańskim klasztorze, ale widzi się w nim jakby wygnaniem z imiego świata, jakby obcym pośród obcych. A tamten świat, do którego myślał powraca, »choć łaża jego, pamięć przodków plami«: już się także odsunął od niego przepaścią nieprzebytą na wieki! Ani więc tu, ani tam — nigdzie — nie ma dla niego miejsca! Żył samotnie — umiera z uczuciem opuszczonego od wszystkich, z wiedzą, że i za grobem nie znajdzie swojej sfery. Żałuje przeszłości, którą zmarnował, rozpacz o przyszłości, której nie zasłużył. Ostatnia jego

¹⁾ P. I. 50. ²⁾ P. I. 58—9.

wola zaleca, aby mu wykopano gdzie na samotnych stepach grobowiec, wśród jakiej kwietnej oazy, gdzie może drzewa czulsze będą, aniżeli serca ludzkie.

Drugi poemat, zatytułowany **Arab**, uważam za poroniony płód ekscentrycznej.... mizantropii raczej, aniżeli fantazyi¹⁾. Słowacki tak się wzył w ten świat ideałów ujemnych, iż mu się zdawało, że dość uderzyć w ten ton nieustającej zwady z całym rodem człowieczym, żeby zagrać melodyą, żeby stworzyć poemat. Przesuwa tu przed oczyma naszymi wicherzającego jak uragan stepowy, nie człowieka, ale demona jakiegoś, którego przeszłość zgoła niewiadoma, a temsamem i powody całej jego wściekłości zwróconej przeciwko ludziom. Nie znam żadnego dzieła, nietylko Słowackiego, ale w całej literaturze, naszej i postronnych, w któremby treść całej owej wtedy przez niego wyznawanej doktryny była wypowiedziana tak wręcz i bez żadnej ogródki, jak właśnie w tym poemacie. Jest to najlepsza satyra, jaką tylko dla zdyskredytowania stanowiska takowego było można napisać. Sądzi się sama i nie ma potrzeby dłużej się nad tą rzeczą rozwódzić²⁾.

Przystępuję do ostatniego z utworów, które zamierzyłem rozebrać w tym rozdziale, do **Żmii**: i zdaje

¹⁾ „Araba“ przerabiał Słowacki dwa razy; wiadomość o pierwszej redakcyi mamy w liście poety do Odyńca (Warszawa, 21 maja 1829), urywek zaś z niej przesłał Malewski Mickiewiczowi (Petersburg, 11 czerwca 1829).

²⁾ O „Mnichu“ i „Arabie“ pomieścił M. Zdziechowski uwagi krytyczne w dziełach: „Messyjański i Słowianofile“ (Kraków, 1888 str. 62—66) i „Byron i jego wiek“ (Kraków, 1898 II 411—3).

mi się, że się nie rozminę z przekonaniem ludzi mających zdrowe zdanie o tego rodzaju rzeczach, jeżeli powiem że ten orientalnie-ukraińsko-historyczno-fantastyczny poemat o sześciu pieśniach nie tylko z wyższego, to jest etycznego punktu widzenia, ale nawet i pod względem artystycznym uważać trzeba za pracę, która się zupełnie nie udała autorowi. Pozostawia ona przy czytaniu niesmak jakiś wielce niemiły, którego powody, zdaje mi się, nie polegają jedynie na zbyt rażących nieprawdopodobieństwach, jakie się tu spotykają, ale jeszcze i na czemś więcej. Autor sądził o tem wszystkim inaczej. Nazwał utwór ten romanssem poetycznym z podań ukraińskich i zamieścił go na samem czele tomu pierwszego w przekonaniu, że to jest najdoskonalsze dzieło jego ze wszystkich, które wtedy ogłaszał. Oto, co w tej mierze pisał do matki, która jak się zdaje musiała być w ogóle zrobić jakąś mniej korzystną uwagę o budowie niektórych jego utworów.

»Zdanie Mamy jest zupełnie słuszne; ale przeczuwam, że postrzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem rozpierzeltych pieśni Żmii. Muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojem i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najślawniejszych naszych krytyków (?) powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni; że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat; widąc więc, że postępuję i kształcę się«. (Dnia 30 lipca 1832 roku z Paryża¹⁾).

Ta wzmianka o zdaniu owego »najślawniejszego z krytyków« dostarcza tylko jednego przykładu więcej na to, że jeżeli w innych literaturach

krytyka jest wielką dźwignią i dla powodzenia pisarzów i do kierowania smakiem czytającego ogółu, to u nas rzecz się ma wcale przeciwnie. Tak zwani krytycy nasi — z małym wyjątkiem — poczynawszy od pierwszych czasów, gdzie się pojawili, uczynili wszystko, co było można, żeby kiedyś powiedziała o nich ta karta dziejów literatury, która tę sprawę podniesie, że gdyby autorowie i zdrowa część społeczeństwa byli poszli za nimi: byłoby się wreszcie skończyło na tem, że u nas czarne byłoby białem, rozumne niedorzeczne, chorobliwe szczytnem, oklepane jedynie uprawnionem i t. d. Dałaby się z tego tekstu napisać bardzo zajmująca monografia i warto, żeby się kiedy kto zajął tym ciekawym przedmiotem. Bajka Krasiekiego o Młynarzu, synu jego i osłe mogłaby tu służyć za ilustracyą do każdej karty; i wyszłyby na wierzch rezultaty zabawne, choć niekoniecznie pochlebne, a tem mniej budujące.... Co się tyczy autora Żmii, snad go łudziła albo ta okoliczność, że było to najmłodsze dziećię jego ducha, albo mu też może to pochlebiało, że cała osnowa poematu była tym razem jego własnej inwencji. W notach dodanych na końcu poematu wyraźnie zwraca też autor na to uwagę, że »romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacyi«. Z dalszych słów wynika, że wszystko, co przejął gotowego z podań przeszłości do ułożenia sobie tak rozległego przedmiotu, ogranicza się do następujących, bardzo mało ważnych punktów oparcia. Jest gdzieś na Ukrainie wał ogromny, nazwany przez lud w a ł e m Żmii; ten Żmija zaś zdaniem niektórych miał być jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporozża.... Wiadomą dalej jest rzeczą, że Kozacy na łodziach swoich, które nazywali czajkami, podejmowali nieraz dalekie wyprawy morskie, i czasem zapędzali się aż pod mury samego Carogrodu. Oprócz tego jest znowu wzmianka w którymś pamiętniku polskim, że

¹⁾ L. I. 112.

razu pewnego został jakiś Basza turecki wzięty w niewolę przez Kozaków i był trzymany na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet.... Nakoniec opowiada Beauplan w znanym swoim opisie Ukrainy, w jaki sposób Kozacy i Tatarzy polować zwykli na sumaka. Tenże pisarz wspomina też o jakichś ruinach zamku, wzniesionego niegdyś wysoko po nad wodą na jednej z wysp dniewprowych. I oto już wszystko, z czego samemu dopiero wypadło autorowi dosnuć sobie reszty osnowy dla dopełnienia poematu o sześciu pieśniach. Nie bywszy zresztą sam nigdy ani w okolicach nad Dnieprem, ani też w krajach tureckich, któreto światy obydwa służą tu na przemian za scenę zdarzeń, zmuszony był puścić wodze fantazyi i ledwie się tedy owedy wiadomościami z drugiej ręki zasilął, jakich mu dostarczali Beauplan, Grądzki, Zaleski, Goszczynski, a głównie poeci angielscy, malujący oryentalne stosunki.

Powyższe okoliczności oczywiście nie wystarczały na to, żeby dzieło tak założone rozległe, wypadło tak korzystnie, jak się tego można było spodziewać po autorze Maryi Stuart i Bieleckiego. Z tejto głównie przyczyny koloryt Żmii jakoś zanadto jest inglisty, wątpliwy. Sfera tego poematu zanadto jest fantastyczna, jak na poemat tradycyjny w rodzaju naprzykład Zamku Kaniowskiego; a zanadto ma znowu barwy historyczno-miejscowej, jak na utwor czystej fantazyi w sposobie Aryosta. Jest to tak dalece i jedno i drugie zarazem, że ostatecznie czyni wrażenie rzeczy, nie będącej ni tem, ni owem....

Ale te wszystkie niewłaściwości nie byłyby mogły — przy talencie poety — tak stanowczo Żmii zaszkodzić, gdyby nie inna pomyłka, na którą warto zwrócić uwagę. Aby rzeczy nie przedłużać, pomijam niżej gwałtowne naciągnięcia i nieprawdopodobieństwa, na które dzieło to utyka w wysokim stopniu,

a które zbyt są rażące, żeby trzeba było je wykazywać. Nie powiem tu ani słowa o chorobliwości figury odgrywającej w poemacie główną rolę, bo musiałbym chyba tylko powtórzyć, com już w ogóle o ludziach Słowackiego powiedział. Zato podnoszę uchybienie, którego się autor tylko w samym Żmii dopuścił, a które zdaniem mojem główną jest tego przyczyną, że utwor ten w czytaniu męczy i nuży. Uchybienie to upatruję w posunięciu po za wszelkie granice miary rozstrzeżeniu pojedynczych ustępów Żmii. Niepodobieństwem jest dla czytelnika, aż do środka pieśni piątej (a zatem przedostatniej), ogarnąć tu okiem wiązania, łączącego poszczególne zdarzenia i epizody w całość. — Skądinąd podnosi to wprawdzie artyzm dzieł poetyckich, jeżeli miesza się do ich składu i cokolwiek nieprzeniknionej na razie tajemniczości. Wyłożenie wszystkiego od razu jakby na dłoni — z rozmazującą najmniejsze drobnostki ekspozycją, spospolitowałoby tylko osnowę poematu. Taka zupełna ewidencja może być tylko zaletą prozy, a nie poezyi. Ale autor nasz przesadził tu trochę w chwalebnych chęciach i posunął ubieganie się o tę sztuczną nieprzeniknioność w budowie Żmii do tego stopnia, że zamiast czytelnika zaciekawie temi ciągłymi zagadkami, które mu poddaje, raczej go czyni wreszcie obojętnym na wszystko.

W pierwszej pieśni maluje w obszernych ramach łowy na sumaka. Ponieważ weale się nie domyślamy, jaki te łowy związek mieć mogą z głównem założeniem powieści, czytamy je z roztargnieniem, życząc sobie co prędzej końca. Następuje pieśń druga, a w niej wprowadzenie nowej zupełnie postaci — Kseni. I tu znowu ani sposób dorozumieć się, co ten epizod ma za związek z łowami, i co on znaczy w całości poematu? Dociekamy, kto jest ta Ksenia? Przypominamy sobie, żeśmy coś podobnego już i gdzieindziej wi-

dzieli — w Zamku Kaniowskim¹⁾. Natrętna kochanka Nebaby nawet imieniem się nie różni od zagadkowej postaci w tej części »Żmii«. Ale Słowacki daje domysłom naszym inny obrót, wkładając w sam środek tego epizodu długą »Powieść kozacką« o Rusalcie w sposobie dum Zaleskiego. Tym ustępem najmiłyjszej osnowy najzupełniej zbija nas z tropu, na któryśmy już już wpadali. To też przeczytaliśmy całą część drugą dzieła i znowu nie rozumiemy nic! W nadziei, że nam zagadkę wyjaśnią dalsze karty, przystępujemy do pieśni trzeciej. Ale tu zastępuje nam drogę znowu inny obraz, obraz zbrojnej wyprawy czajek kozackich na morze Czarne. Czujemy się tu wprowadzić już na gruncie głównych wypadków: ale się wychyla znowu inny przedmiot nadaremnych dociekań naszych — Zulema. Wprowadza ją poeta tak tajemniczo, że się osłonioną być zdaje całemi warstwami mgły nieprzejrzaney. W pieśni czwartej przychodzi na pełnem morzu do boju między czajkami Żmii a jakimś okrętem tureckim. Selim, syn Baszy i dowódcy tego okrętu, ginie w tej walce, sam Basza pierzcha. Lecz kto ten Selim? kto ten Basza? jakie znaczenie tej potyczki na morzu? czy było to tylko zajście przypadkowe, czy też ma bliższy związek z główną osnową? a kto to wie! I w piątej nawet pieśni cała pierwsza połowa ma znowuż wszelkie pozory ustępu nienależącego do rzeczy. Chodzi tu o wzięcie w niewolę jakiegoś Baszy — natolskiego, które też i przychodzi z wielkim trudem wreszcie do skutku. Dopiero od środka tej części Żmii, naraz, zaczyna się wyjaśniać, że te wszystkie pasma rozpieczętłe, które w pojedynczych pieśniach nużyły i niecierpliwiły uwagę, tworzą całość

jednolitą i dopełniającą się wzajem. Łowy na sumaka — Ksenia ze swoim dziecięciem — powód istotny wyprawy na miasta mużułmańskie — zapalczywa walka z Selimem — szalona nienawiść ku Baszy, którego Żmija nareszcie pochwytnie w niewolę — zagadkowa osobistość Zulemy i t. d. wszystko to nagle staje się teraz zrozumiałem, usprawiedliwionem, dodałbym, że się staje i pięknem, gdyby było rzeczą ludzką, przeistoczyć naturę wrażeń — już odebranych. Ale wrażenia otrzymane należą do przeszłości, a ta stęgła jest i nie działać wstecz na nią nie może. To też przez to zanadto późne odkrycie nader sztucznego węzła powieści mało się zmienia na lepsze ostateczny sąd czytelnika o dziele, które już całe jest przeczytanem i w ciągu czytania nie zajmowało.

Stanęliśmy u kresu. Znany teraz już ducha tych pierwszych prac Słowackiego, na mocy szczegółowego tychże rozbioru, i pojmujemy wszyscy podobno, ileto prawdy było w owych słowach Mickiewicza, że poezya tego młodego wieszczu — to gmach, stawiany piękną architekturą jak wzniosły kościół, tylko że w kościele tym Boga nie ma. Zdanie to na razie oburzyło Juliusza. Bo też prawdopodobnie nie rozumiał on jeszcze wtedy, co mu właściwie Adam zarzucał. Słowa te na pierwszy rzut oka wyglądają na zarzut bezbożności. Do bezbożności Słowacki ani w życiu własnem, ani w pismach swoich się nie poczuwał. Lecz Mickiewicz miał też zupełnie co innego na myśli i wyrzekł to, co rozumiał, w formie obrazu, porównania, przenośni, a nie w dosłownym sensie. Nie wytykał on tu braku religii, ale brak rzeczy, która temsamem jest w poezyi, czem jest obecność bóstwa w kościele: wytykał brak tego, co stanowi cel wszelkiej sztuki, a tem jest: wiara w lepszą część człowieka i w możność dosko-

¹⁾ Tej kwestyi poświęcony jest drobny artykuł St. Zdziańskiego p. t. »Ksenia« Słowackiego (Przegląd literacki, Kraków 1896 nr. 4).

nalenia się jego tak jako jednostki, jako i w zbiorowości. Sceptycyzm społeczny zabija wszelkie popędy działania, a temsamem znosi i podstawę samejże poezji, tej dźwigni najpotężniejszej z materializmu ku ideałom.

W kilka lat potem i samemu autorowi Żmii otworzyły się oczy na ten brak w początkowych jego kreacyach. Już w trzy lata po ogłoszeniu takowych, przyznał się matce, że »znenawidził swoje pierwsze utwory i że czuje potrzebę, aby coś jasnego napełniało jego karty, aby więcej łez było w słowach«.... A pod koniec życia jeszcze surowiej o nich sądził. »Wstyd mi — mówił natenczas — wielu melancholii byronskich. Strach, aby one nie zaraziły innych«.

W samej rzeczy, była to jakaś tylko naleciałość skądinąd, której się w młodszych latach wielki ten talent poddawał. Byronizm — pojmowany i przesadnie i jednostronnie — oto, co przyjął Słowacki nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu. I w życiu swoim, zwłaszcza za młodu, był on w wyobrażeniach i sądach, w nałogach i imaginacyjnych cierpieniach swoich, co się zowie byronistą. Było w tem zrazu coś sztucznego; lecz wzrósł młody nasz poeta i dojrzewał pod wpływem tego kierunku tak konsekwentnie i systematycznie, że mu się to byronizowanie wreszcie przemieniło w drugą naturę.

Ale bo też młodość Juliusza przypadła właśnie na czasy najgłośniejszej sławy i największej w świecie umysłowym przewagi tego genialnego człowieka. Wygórowanie przewagi tej poczyną się od roku 1824, roku śmierci Byrona. Wprawdzie był Byron już i za życia przedmiotem powszechnego podziwu. I wielbiciele jego i antagoniści (a było ich pomiędzy Anglikami niem mało), w tem jednym się między sobą zgadzali, że był to geniusz pierwszego rzędu. Z tem wszystkim aż do roku 1824 wyjątkowe, niezwyczajne,

częstokroć gorszące okoliczności jego życia rzuciły cień niekorzystny na wszystko, co tylko wychodziło z pod jego ręki. Oskarżano go o rzeczy, które popełnił i których nie popełnił. Do niekorzystnych o nim pogłosek, które miały po sobie słuszność, doczepiło się — mało powiedzieć drugie tyle, ale nieobliczone mnóstwo baśni i potwarzy ohydnych, wylęglych z bujnej wyobraźni jego nieprzyjaciół lub też tych bezmyślnych plotkarzy, którzy choć go nie widzieli na oczy, umieli jednak rozpowiadać o nim, jakby go znali najlepiej. Z tak mętnych źródeł wyrobiła się o nim z czasem opinia — w Anglii i po za Anglią — najbałamutniejsza w świecie. I na mocy tej opinii nie tylko ryczałtem potępiono życie jego prywatne, ale potępiono i cały zawód jego jako pisarza. — Dzieła Byrona miały rzeczywiście więcej związku z osobistością autora, aniżeli by to powiedzieć można, o jakimkolwiek innym pisarzu. Rzadko tylko i wyjątkowo podejmował on przedmioty, któreby nie potraçały o zdarzenia rzeczywiste, których był świadkiem, uczestnikiem lub sprawcą. Dodajmy do tego, że wszystko, co pisał, lubił otaczać umyślnie jakąś tajemniczością. Przy takich okolicznościach ani się było można spodziewać spokojnego i bezstronnego sądzenia jego utworów. Chcąc je rozumieć, trzeba było znać wewnętrzne dzieje poety, a te zaledwie najbliższym przyjaciółom Byrona były wiadome. Liczba takowych była bardzo mała, wreszcie nikt ich natenczas nie słuchał. To też nawet najżyczliwsi, pod wpływem obiegających po całej Europie plotek, dziwnie sobie tłómaczyli jego kreacje. Przy pomuijmy sobie tylko na przykład, co Göthe w szczególny sposób rozpowiada o znaczeniu *Manfreda*, w rozprawce pisanej w kilka lat po ogłoszeniu tego dramatu, ale jeszcze za życia autora! Jeżeli więc tak niepodległy, tak bystry i życzliwie dla Byrona usposobiony umysł, jak Göthe, nie był zdolny ani przeniknąć pra-

wdy, ani też w jej czystem świetle spoglądać na jego twory: cóż dopiero za wyobrażenie mogła mieć o nich cała masa zwyczajnych czytelników?

Dopiero tedy po śmierci jego nastąpiło, czego się zresztą i sam Byron spodziewał. Znajdują się w pamiętniku jego te słowa: — »Sprawiedliwość będzie mi wymierzona wtedy dopiero, kiedy ta ręka, która to pisze, będzie tak zimna, jak serce, co życie moje zatruię«. — Począł się teraz objawiać nagły a stanowczy zwrot wyobrażeń, w kierunku ku zupełnej rehabilitacji zmarłego, ku apoteozie nawet, choć do takowej znowu nie było dostatecznych powodów. Zwyczajne to zjawisko w kolejach sądów ludzkich, zawsze skłonnych do przeskoku z jednej ostateczności w drugą.... Zanięty serce surowe na samą wieść o zgonie wieszcza. Zgon ten zbyt wczesny, w 37 roku życia, w porze najwyższej siły jego geniuszu — zgon idealny i prawie bohaterski, na klasycznej ziemi Helady, w chwili jej wybijania się z pod barbarzyńskiego jarzma na niepodległość, wśród usiłowań, które odepchnięty od własnej ojezyny Byron nie tylko majątkiem własnym sownie wspierał, lecz i pieśnią natchnioną to wywoływał, to unieśmiertelniał — zgon ten mówię, pod tylu względami chlubny i nadzwyczajny, rozbroił zaciętość wszystkich. Teraz dopiero — odezwali się wielbicieli poety. Z dokumentami w rękę, przemówili przyjaciele zmarłego. Pojawiły się równocześnie biografie, pamiętniki, wspomnienia, listy, rozmowy i tym podobne pisma dotyczące Byrona. Odparło fałsze, uchylono potwarze, odśloniono zalety i piękną stronę zgasłego życia. Stał się rzetelny wizerunek poety — wizerunek poetyczny nad miarę, uwieczony aureolą cierpień i krzywd, w znacznej części niezastużenie doznanych — w moralnym względzie daleki wprawdzie od ideału i ze wszystkimi znamionami krewkości ludzkiej, ale dlatego nie gorszy od tysiąca

innych, którym pomimo tego przecie nikt nie zamącał pokój. W miarę takiej rehabilitacji osoby autora, zaczęto odtąd w świetle rzetelnej prawdy i o czynach jego poetyckich sądzić inaczej, i to pod względem ich moralnego znaczenia; artystycznej potęgi bowiem nie odmawiano dziełom jego i przedtem.

Gdy się to wszystko działo w ojezynie poety, wzięła i dalsza Europa z zajęciem żywszem na nowo dzieła Byrona do ręki. Były one jej już znane w pewnej części i dawniej z sporadycznych przekładów francuskich i niemieckich, z których najrychlejsze przypadają na czasy przed rokiem jeszcze 1820. Ale właściwie teraz dopiero zaczęto na wyścigi na najrozmaitsze języki tłómaczyć wszystko, co tylko pochodziło z pod pióra Byrona. Nie było w Europie literatury, na którejby obliczu w latach owych nie pojawił się już mniej, już więcej wydatny odbłask natchnienia tego poety.

Temu powszechnemu prądowi nie mogła się oprzeć i nasza literatura. Wpływ byronizmu w Polsce, przed rokiem 1830 i przez kilka jeszcze lat potem, był w samej rzeczy większy może, niż się to dzisiaj niejednemu wydaje. Zestawienie przekładów dzieł Byrona na polskie nie daje wprawdzie ani o czasie, ani o stopniu tego wpływu dokładnego wyobrażenia. Gdybyśmy bowiem z nich o tem mieli brać miarę, to wypadłoby wnosić, że przewaga byronizmu zaczęła panować u nas na dobre dopiero około roku 1833; albowiem najłepszy nasi tłómacze tego poety wtedy dopiero wystąpili¹⁾.

¹⁾ Notuję tu najcelniejszych:

Julian Korsak (Więzień Czylłonu 1830, Lara 1833). Adam Mickiewicz (Giaur 1834). A. E. Odynieć (Korsarz 1834, Narzeczona z Abydos 1838, Niebo i Ziemia 1841, Mazepa 1848). Franciszek Morawski (Więzień Czylłonu 1841, Manfred, Mazepa, Oblężenie Koryntu, Paryżyna 1853). Józef Pasz-

Tymczasem wniosek taki byłby zupełnie mylny. Od czasu bowiem pojawienia się *Pieśni Janusza*, *Komedyi Nieboskiej* i *Pana Tadeusza*, a zatem właśnie od r. 1833 i 34 poezya nasza zaczęła brać taki obrót, że byronizowanie, jeżeli się kiedy wynurzyło na nowo, to należało już w każdym razie do zjawisk wyjątkowych i mniej też cenionych w piśmiennictwie.

kowski (Manfred, Kain 1842). Antoni Zawadzki (Werner, Żale Tassa, Narzeczona z Abydos, Wyspa 1846). Antoni Czajkowski (Beppo, około tegoż czasu; Don Juan, w rękopisie). W. hr. Baworowski (Childe Harold 1856, Don Juan 1863). Michał Budzyński (Childe Harold 1858, Proroctwo Dantego 1858). Adam Pajgert (Wyspa 1859). Michał Chodźko (Manfred 1860).

Pierwsi nasi przekładacze Byrona, Bruno hr. Kiciński (Korsarz, Oblężenie Koryntu 1820) i Władysław Ostrowski (Dziewica z Abydos 1821, Giaur 1830), nie mieli sił po temu, żeby dziś jeszcze można było kłaść jakiś przycisk na ich przekładach. Pierwszy, to jest Kiciński, tłómaczył zresztą tylko z francuskiego, a nie z oryginału. — Przed rokiem także jeszcze 1830 spolszczył niektóre pieśni Byrona precudnym wierszem Mickiewicz (Pożegnanie Childe Harolda — Sen — Eutanazy). Lecz to są rzeczy krótszej objętości.

Oprócz tych wszystkich co tylko wymienionych było jeszcze po roku 1834 kilku innych mniej zasłużonych tłómaczów polskich Byrona. Wyczerpującą o nich wszystkich wiadomość znaleźć można w dobrym artykule bibliograficznym przez K. Estreichera zamieszczonym w *Rozmaitościach* Lwowskich r. 1859, Nr. 17 i 18.

Dzięki usiłowaniom wymienionych pisarzy, posiadamy obecnie (w r. 1866) całego już niemal Byrona przełożonego na polskie. Nie znalazły tłómacza dotąd tylko jeszcze następujące (większe) utwory: *Marino Faliero*; *Dwaj Fokarowie* i *Sardanapal* (P. A.) Dzisiaj mamy już wszystkie utwory Byrona przełożone na polskie; zbiorowe wydanie tłómaczeń wyszło w „Bibliotece najcenniejszych utworów“ pod redakcją P. Chmielowskiego. O przekładach pisali: P. Chmielowski we wstępie do wydania „*Poematów*“ Byrona (Warszawa 1895), Ign. Matuszewski „Byron po polsku“ (Biblioteka warsz. 1896 IV) i „Lord Byron i wpływ jego na literaturę polską“ (w zbioru szkiców p. t. „*Swoi i obcy*“). Warsz. 1898).

Tem bardziej zato zajmował ten kierunek umysły między 1824 a 1833 rokiem. O czem ażeby się przekonać, nie dość jest dopatrywać posępnych barw byronowskich na tle takich kreacyi pierwszego rzędu, jak na przykład *Zamek Kaniowski* albo *Maryja*; lecz trzeba spojrzeć na płody poetów i rymotwórców pomniejszych. Naśladownictwo tych pisarzy przesadne, a wreszcie entuzjazm bezwarunkowy dla dzieł Byrona i dla wszystkiego, co tylko tchnęło tym duchem, musiał w młodszej mianowicie generacyi przechodzić wtedy wszelkie granice, skoro jeden z ludzi naszych najwytrawniejszych a zarazem najwyrozumialszych, Brodziński, widział się zmuszonym w tym przedmiocie głos zabierać po kilka razy, przestrzegając w cierpki sposób przed niebezpieczeństwem grożącym z tej strony literaturze. Brodziński zaprawdę nie należał do liczby przeciwników nowego zwrotu poezyi. Owszem, on to był, który się głównie przyczynił do nadania jej takiego kierunku. Z samej zasady był to zatem w owej kwestyi sędzia bezstronny. A jednak w rozprawach jego krytycznych z czasu przed rokiem 1830 znajdujemy częste wycieczki przeciw tej manii ogarniającej umysły.

Oto, co na przykład pisał był o tem w rozprawie *O Egzaltacyi i Entuzjazmie*:

»Byron pędzłem najwięcej poetycznym zacieram wszelką poczęt tego i przyszłego świata. W nieśmiertelności i nieskończoności samę tylko nicość pokazuje i chciałby, żeby człowiek do niczego nie przywiązany, niczemu nie ufający, wkoło boleścią i nicością zagrożony, sam w sobie piekło wzniecił i w niem się strawił. Nie Wirgiliusz, jak Dantemu, nie Muza, jak wszystkim poetom, ale zły duch otwiera mu, równie jak jego Kainowi, i serca ludzkie i światy nadziemskie, kryjąc we wszystkim rządzącego Boga. Nadto, umiał on słabościom ludzkim nadać nie tylko powab, ale

i pewny pozór wyższości, której źródłem i celem jest tylko namiętność w sobie ograniczająca człowieka i klócała go z sobą samym....

»Czuje, na jak wiele się waży, mówi dalej Brodziński, czyniąc podobne uwagi o geniuszach tak słusznie wstawionych. Przecież zważając na pochop do naśladowania poetów, którzy tak oddzielnem byli zjawiskiem, godzi się w sprawie prawdziwej poezji przemówić. Byron sam tylko mógł być takim, jakim był poeta. Próżno każdy usiłuje trafić jego drogą do celu. Od niego poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu sami nie wiedzą jakie tajemnice, i gorzko marzyć i szukać tego, co właśnie w pełni mają. Niknie w nich poetyczna naiwność; wiosnę życia szpecą nienaturalnie, liściem jesiennym od zarazy pożółkłym. Miasto tkliwego udziału ze światem, który ich łączy do siebie, klóca się z nim; wyszukują starannie, ażeby tęsknić do czegoś, rozbierają swoje uczucia, jak bohaterowie sceny francuskiej swe położenia i w sprzeciwieństwie z własną naturą chcą znaleźć poezję«....

Za te słowa o Byronie gromił później Brodzińskiego Mickiewicz z katedry w Collège de France¹⁾. I rzeczywiście zdaje się być na pozór wiele przesady w tych sądach Brodzińskiego o duchu lorda-poety. Wszelako krytyk nasz nie polemizował też z nim samym, ale z jego naśladowcami, o których śmiało powiedzieć można, że więcej w utworach ich byronizmu, aniżeli w samym Byronie. U tego bowiem zawsze jest takt artystyczny i pewna miara we wszystkim. Są zawsze okoliczności, które demoniczność postaci jego albo łagodzą, albo przynajmniej tłómaczą; które pozwalają jej się pojawiać, lecz że tak powiem w for-

mie koncesyi. Byroniści przeciwnie przyjęli wszystkie desperacje byrońskie za wątek uprawniony sam przez się, za materyał gotowy — za rudę czystego złota, którą tylko topić i przelewać w posagi. I dlatego też miał rozważny autor Wiesława zupełną słuszność, kiedy wypowiedział przekonanie, że naśladowanie tego poety może być dla nas daleko więcej szkodliwem, niż wszelkie inne naśladownictwo. Jeżeli zaś co usprawiedliwiło samym skutkiem te Brodzińskiego obawy: to właśnie rola, w jakiej wystąpił na początku swego zawodu oto nasz młody poeta! Byronizm, jest to klucz jedyny, za pomocą którego zrozumieć można, jak człowiek genialny, tylu nadzwyczajnymi warunkami usposobiony na prawdziwego wieszczę narodu, mógł się przez czas tak długi zaprzętać ideałami, które były po za wszelką wspólnością z gruntem naszego poczucia narodowego. Czy zwrócimy uwagę naszą na ogólne idee podłożone dziełom, któreśmy co tylko przebiegli, jako pomysły ich zasadnicze, czy też na ludzi w nich działających: w jednym i drugim razie wniosek nasz nie będzie inny, jak tylko ten: że te wszystkie typy były odbiciem (dodajmy: mocno skrzywionem) tradycji byrońskich.

¹⁾ Obacz kurs roku II-go, lekcya 29. (P. A).

V.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu *Lambro*. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. *Dziady*. Nagły wyjazd z Paryża. Pani Lenormand i podróż do Genewy.

Ogłoszone poezye stanowiły przez kilka miesięcy po ich wydaniu główny przedmiot, na który była zwrócona uwaga autora. W listach swoich z owego czasu często do tego punktu powraca, jużto udzielając matce wiadomości o tem, co o dziełach jego emigracya sądziła, już odpowiadając na uwagi, jakie o nich przesyłała mu rodzina jego z Krzemieńca. Były bo też i szczególne przyczyny, dla których pragnął, aby to pierwsze jego wystąpienie dobrze było przyjęte. Miał on już wtedy w tece materiału nowego dosyć na zapewnienie trzeciego tomu. Poemat *Lambro* już był ukończony w r. 1832 (i to już w pierwszych miesiącach). Chodziło więc znowu o fundusze na pokrycie dalszych kosztów nakładu, a miała ich dostarczyć dopiero sprzedaż dwóch tomów wydanych, z którą jednak nie wiodło się tak pomyślnie księgarzom, jak się z razu autor spodziewał. Dlatego też wydanie trzeciego tomu wypadło odłożyć na czas późniejszy...

Pomiędzy listami, jakie z powodu dzieł ogłoszonych poeta nasz od różnych osób odbierał, doręczono mu i słów kilka z Wilna — od Ludwiki Śniadeckiej. Przypominam że kazał on jej być w lipcu jeszcze posłać egzemplarz dzieł swoich w darze, a przytem i list,

z powodu którego równocześnie pisał do matki: »O! gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się».... Otóż nad spodziewanie jego, po trzech miesiącach — z początkiem października — podziękowanie za pamięć od Ludwiki nadeszło.

»Ile z listu sądzić mogę, (Ludwisia) nie gniewa się za pamięć moję; owszem gniewa się, że za mało pamięci o niej w książkach. Oto są słowa z jej listu: — »Miło mi było w mojej cichej samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajomej mnie duszy. W tych tworach poetę tylko widać — chował się człowiek — nieraz się jednak zdradził, a ja go poznała.... Żadnej już nie czytam książki; ale poezye Pana jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjmę, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć będę na ziemi« (Z listu z dnia 8 grudnia 1832 roku)¹⁾.

Na to spostrzeżenie, że się w utworach jego poetyckich ukrywał człowiek, rzucił autor taką uwagę:

Spodziewam się, że jak wydrukuję *Lambra*, to mnie nie będzie obwiniać, abym się krył z moimi uczuciami; myślę tylko nad tem, że trudno go będzie tam przesłać²⁾.

Zresztą ówczesne życie Słowackiego w Paryżu nie nabierało wcale w oczach jego powabów. Znajomość z rodziną państwa Pinard była utrzymywana, ale jakoś od niechęcenia. Z samą panną Korą to zrywał, to zawiezywał znowu; lecz stosunek ten nie obiecywał długiej przyszłości — mimo jej przywiązania do niego. To też wyobrażnia jego łatwo zajmowała się innemi wrażeniami, przy lada sposobności — zawsze przelotnie i w taki sposób, że serce jego w tem

¹⁾ L. I. 156—7. ²⁾ L. I. 157.

wszystkiem wcale nie brało udziału. Więcej już ono było przystępne dla uczuć przyjaźni, choć i w tym względzie nie stało ono otworem dla byle kogo. Z pomiędzy nader małej liczby osób, był może jeden tylko, o którym powiedzieć można, że go łączyła ze Słowackim prawdziwa przyjaźń. Był to człowiek cierpiący, schorzały, nierokujący długiego życia — nazywał się Zienkowicz. Do niego ściąga się, co tu przytaczam z jednego z listów pisanych w owym roku do matki:

»Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dlatego, że słowa napisane na końcu, »twój do śmierci«, przez człowieka, które wie sam, że jest jej tak bliskim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie. Skąd ten człowiek mógł zawrzeć w dwóch słowach tyle poezyi!... O godzinie 11 z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o dwie nasze mile od Paryża. Zienkowicz wyszedł na moje spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną; przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, zarosły trochę dzikimi chwastami i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie pisząc moje pamiętniki dzieciństwa (Godzinę Myśli), tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w wiejskim cichym domu i ogródek pięknym mi się wydawał. Było tam kilka winogradów rozpiętych na murze, morel owocem okryty, kilka kwitnących róż, gruszki pachnące, i wokoło mur szary, a w kącie ławka z drzewa szara i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże blade i już obsypujące się z liści. Na tej ławce usiedliśmy, i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się słuchając tej wiejskiej ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą; nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko, błady i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. — O piątej godzinie sie-

dliśmy z nim do domowego obiadu; jak zwykle u chłopców było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni, 13-letnia dziewczyna, bardzo do Hersylki (przyrodniej siostry Juliusza) podobna. Stawałem w jej obrobie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle, cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmieszana wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachnący różowy groszek zatknęły w jej pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukietcie poznałem groszek, który zniknął z jej pelerynki, bo wszystkie inne, może umyślnie, przez nią były zerwane ciemniejszego koloru. Udaając, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem do niej: »Ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem«. Uśmiechnęła się — zarumieniła i odpowiedziała, pokazując na bukiet: *il est là, oh! vous le reconnaissez bien.* — Bardzo mi się podobała ta delikatna scena, i bądź pewną moja Mamo, że żadnem słowem nie zniszczyłem jej uroku.

Potem Zienkowicz sporządził litewski kalisz, taki jakiś w Wilnie pijali: było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem było wszystko, co się mogło w wazie pomieścić... a tak był dobry, że się nawet mojej dziewczynce podobał... Po obiedzie poszliśmy do królewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę — i patrzała długo. Odwróciłem się z daleka — uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że nań patrzeć można było; o godzinie 9 wsiedłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem... Jeżeli chcesz Mama wiedzieć o czem — to o dziewczynce... i wkrótce

ujrzałem coraz gęściejsze latarnie — potem Elizejskie pola, a potem ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11 wysiadłem na oświetlonej gazem ulicy Rivoli. Wracając do domu ujrzałem w jednej bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było. W obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącej się nędzy postać. Stał nieporuszony — mileżał. Wstyd mi było myśli krzywdzącej starca, wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny. Mileżał.... To milezenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wrzuciłbym, i chciałbym być, żeby jeszcze raz mileżał.... Kochana Mamo! nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że będąc w Paryżu, piszę o dziewczynie, co mi dała groszek i o żebraku, który mileząc przyjął jałmużnę».... (Dnia 23 lipca 1832 roku)¹⁾.

Oprócz Zienkowicza miał Słowacki w owych czasach w Paryżu drugiego jeszcze towarzysza, z którym się świadczył i codziennie widywał. Był nim wspomniany już wyżej Michał Skibiński, ten sam, któremu przypisane są Arab i Mnich wraz z wierszem umieszczonym na czele tych utworów. Oprócz tych dwóch, niema w listach śladu, żeby był wtedy w emigracji kto inny jeszcze bliższy serca Juliusza. Jest wprawdzie wzmianka (w miesiącu lipcu roku 1832) o przybyciu do Paryża Bohdana Zaleskiego, ale obojętna.

»Spotkałem dziś rano Bohdana Zaleskiego: zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przedtem« (w Warszawie)²⁾.

¹⁾ L. I. 116—119. ²⁾ L. I 125.

Jest zapisek o Stefanie Witwickim, że także przyłączył się do grona żyjących na emigracji, ale z dodatkiem bynajmniej nie świadczącym o szczególnej życzliwości. Jest słów kilka o Lelewelu, lecz niekorzystnych:

»Człowiek z kutasami u bótów (tak Słowacki zwykle Lelewela w tej korespondencji nazywał), jak antreprenier w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje i w tutejszej babilońskiej wieży pomieszał języki. Smutno tu patrzeć na to, co się tu dzieje«.... (Z listu z dnia 9 listopada 1832 roku)¹⁾.

Jest notatka o pani Hofmanowej, ale także sucha, jeżeli nie uszczypliwa.

»Jest tu panna niegdyś Tańska i pisze, jak słychać, opisanie Paryża dla dzieci. — Może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — literatura kobieca, garbata trochę — literatura kłótliva trochę, paszkwilowa — a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema«²⁾....

To też w strony ojczyste, do grona rodziny, w przyszłość, która go kiedyś ze swymi miała połączyć, najbardziej się lubił przenosić myślą Słowacki z tego gwaru i wiru krzyżujących się stosunków, jakie tworzyła ówczesna emigracja. Miłość matki i przywiązanie rodziny miały go wynagrodzić za wszystko.

»Gdyby ludzie o wszystkim nie zapominali — pisał dnia 9 listopada 1832 roku — ty Matko i mój Ojciec zostawilibyście mi na świecie wielu przyjaciół. Ja.... nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleźć nie mogę — cóżbym mu więc zostawił?«³⁾.

¹⁾ L. I. 151. ²⁾ L. I 149. ³⁾ P. I. 150.

Nadzieja, że odzyska kiedyś miejsce stracone przy familijnym stole i że znajdzie wszystkich i wszystko na dawnym miejscu — ta nadzieja najwięcej w nim podtrzymywała otuchę. Nieraz i obojętny przedmiot w Paryżu nasuwał mu na myśl to jego ulubione marzenie. Oto naprzykład pisał raz jednego coś matce o wybornych brzoskwiniach francuskich, i to mu przypominało, że niegdyś o nich w Wilnie i Jan Śniadecki z pochwałami wspominał.

»Kiedyś i ja na starość z Wami zasięde do stołu, jak Jan — z siwym włosem i z białymi najeżonymi brwiami. Wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach¹⁾).

Nadzieje jego atoli zamierały jedna po drugiej — za dotknięciem o twardą rzeczywistość. Listy nadsyłane mu z kraju często były zwiastunami bolesnych zdarzeń. Wyczytywał w nich to o tym, to o owym z pomiędzy dobrych znajomych, przyjaciół, nieraz i krewnych, że go skrzydła płynącego czasu zmiotły do grobu. Prawie równocześnie doniesiono mu właśnie w ciągu owych miesięcy o śmierci Aleksandry, przyrodniej jego siostry, w Wilnie za mąż wydanej, i o jego wuju Janie Januszewskim, że powodem długiego niepowrotu jego w roku 1831 z obozu powstańców podolskich nie była, jak zrazu przypuszczano, niewola, lecz zgon w jednej z potyczek. Po rozstrzygnięciu w taki sposób długiej niepewności o losie męża, wdowa po nim pozostała (Julia) z drobnym dziecięciem (Stasiem) ściągnęła także do Krzemienia z Wierzchówki, w której aż dotąd mieszkali. Cała tedy reszta rodziny zgarnęła się w jedno miejsce, obsiadła jedno ognisko.

»Jak Wam teraz dobrze być musi (pisał w liście z dnia 3 września) tak wszystkim razem w Waszym spo-

kojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie Wasze koło domowe, i Melankę małą, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak Wam teraz dobrze być musi!... Jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do Was, nie zastanę tyle osób. A tak często marzyłem, jakto ja kiedyś będę w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podroste Julinki. Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset pomyśleć sobie, że to wszystko snem nie jest — Wilno bez Olesi! Wierzchówka bez Julki!¹⁾....

W miesiąc później otrzymał doniesienie, że i tej Melanki, którą sobie wystawiał kręcącą się w familijnem kółku w Krzemieńcu, niema już w domu rodziców! Była to jego siostra cioteczna, córka drugiego jego wuja, Teofila Januszewskiego: dziecina przez całą rodzinę, a szczególnie przez naszego poetę bardzo umiłowana. W żadnym prawie liście on tej małej nie pomijał milczeniem; lubił się przypominać jej dziecięcej pamięci i zawsze zapytywał, co tam porabia? Z Drezna jeszcze (1831) list jeden pisząc, żartobliwie jej obiecywał, że jak powróci do Krzemienia, będzie ją uczył po niemiecku, »bo ładny to w ustach dam język«. A teraz mu doniesiono, że to dzieciątko zgasło....

Wyjmuję kilka ustępów z listu, pisanego pod bezpośredniem wrażeniem chwili (dnia 4 października 1832 roku):

»Wezoraj rano o godzinie 9 położyłem się, aby zasnąć. Zaledwo zamykałem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi — list od Was. Senny siadłem do czytania — list ten spadł całym ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły.... O! bo też nigdy nie podobnego nie czytałem, jak

¹⁾ L. I. 132.

¹⁾ L. I. 126.

ten list Mamy. W nim taka ogromna poczyta smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył. Matko moja! tyle w liście Twoim prawdziwej boleści, tak wiernej, że płakałem, czytałem — i znów płakałem. Potem na kawałku papieru leżącym na stoliku napisałem trzy nagrobki i posyłam je — nie przemienione¹⁾....

Nagrobków, o których tu mowa, żądano od niego w liście. Jeden miał być dla Melanki, drugi dla Olesi, a trzeci dla Jana Januszeńskiego.

»Żebyś ja był szczęśliwszym (pisze dalej, zwracając mowę do rodziców umarłej), tobyś Wam może przywiązaniem dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kaznodzieją szczęścia; te dwa dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami. I czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią, poetyczną, exaltowaną rozkosz.... Darujcie mi — bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka«....

....I znów na Wasz list spojrzalem i znów mnie przeraża, i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje, jak jakiś anioł- duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących zawsze jedne i znane mi napisał słowa: »Ja Ciebie mój kochany wnuku pozdrawiam i powodzenia życzę«. Ta jednolitość słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga.... Więc Dziaduniu kochany, klękam przed Tobą, a przyrzekam Ci, że wnuk Twój będzie umiał kiedyś, jak Twój syn starszy, dług wypłacić, którego Ty dla starości wypłacić nie mogłeś.... I Ty, kochana Babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do

rozrządzenia życie — a może Bóg mu pozwoli skończyć, jak skonał —

»Mamo kochana, czuję jak Tobie teraz smutno być musi! List Twój Mamo zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem i list ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poczytą w sercu, to ją od Ciebie wzięłem. Zwłaszcza to wyrażenie: »Mama powtarza, niech się dzieje wola Boga; ja zaś wspomniawszy na Ciebie, niezdolna do wyrzeczenia słów tych« itd. jest ogromnym obrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa — i Bogu nawet, jeżeliby miał syna jej zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania Twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami moimi zapłacone być nie mogą, lecz całym życiem¹⁾.

Ale przejdźmy od tych smutnych rzeczy do więcej obojętnych, do potocznych szczegółów w Słowackiego korespondencji.

»Żebyście wiedzieli — pisał do krewnych dnia 9 listopada 1832 roku — jak ten świat nudny! Zupełnie inny, niż nam się wydaje; zwłaszcza Paryż — jest to prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy, bo w innym miasteczku, a nawet mieście, cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy; trzeba mieć kabriolet własny, żeby się otworzyły. Zwłaszcza teraz *la noblesse* wyniosła się prawie z Paryża, *la bourgeoisie*, ta brylantowa poczwara, która zajęła jej miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogactwa... Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gadać, udawać Anglika, bo wiedzą, że Polacy nie mają pieniędzy; udawać zaś Anglika, trzeba udawać głupca

i oryginała, bo takimi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż lepszym mi się wydał, niż o nim marzyłem; gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny śpiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony itd.; w Paryżu zaś przeciwnie; nie widziałem tu elegantów tak jak u nas z połkniętym kijem, z nakroczalonym halsztuchem; wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba; śmiałoby tu wyszedł na ulicę w dziadowskiej lisiurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziadkowi zarwał. Widziałem tu nieraz ludzi trochę podstarzałych na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w jasno-błękitnym watowanym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. — Jeżeli chcesz sobie Julka wystawić, chodzi on w dni mniej zimne w długim, aż po kostki ciemno-ceglastym surducie, krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dni zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowem futrem, które mam od kochanej Mamy; a w dni ciepłe, w czarnym tuzurku krótkim¹⁾.

Podobne wzmianki nawet o garderobie zdarza się nieraz czytać i przy innych sposobnościach w jego korespondencji. Słowacki nie był elegantem z profesyi i nie przywiązywał do odzieży zbyt wielkiego znaczenia. Ale była inna przyczyna, dla której nie tylko lubił uważać na swoją powierzchowność, ale i chwalić się przed matką, że o tych drobnostkach nie zapomina. Oto chodziło mu o pewną rehabilitacyą całego rodzaju poetów, oskarżanych zazwyczaj o zaniedbywanie się; a przyczyniło się może do tego i trochę opozycyi z powodu znanego antagonizmu....

»Zostawszy raz poetą — chcę ujść powszechnej nagan, która nasz ród wystawia jako opuszczony i nie-

¹⁾ L. I. 144—5.

dbały — i nie chcę, aby mnie tak jak Mickiewicza do domu gry (?) nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma złe zawiązaną chustkę.... (List z dnia 30 lipca 1832)¹⁾.

Pomimo ciągłych wyrzekań na Paryż, na Francuzów i na emigracyą, z którą rad nierad musiał się stykać — za nadejściem jesieni 1832 Słowacki z konieczności godził się i na dalszy pobyt w tem mieście. Żeby nie ziębnąć w pokoiku swoim przez zimę, kazał go urządzić zawczasu więcej na sposób polski.

»Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna — pisał dnia 9 listopada 1832 roku. — Kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, — a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moją uwagę²⁾.

Plany zajęć i rozrywek na całą zimę także już były zrobione. Przy pracach, które mu same płynęły z duszy, spróbował wtedy (już po raz drugi) roboty, która mu miała dostarczyć środków do ogłoszenia III-go tomu Poezyi.

»W tym miesiącu byłem sześć razy na tragediach francuskich.... dla poznania się lepiej z Francuzami towarzyszącymi i z grą aktorek; albowiem pod sekretem powiem Ci Mamo, że piszę tragedya dla jednego z tutejszych teatrów. Nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić³⁾.

¹⁾ L. I. 115.

²⁾ L. I. 150—1.

³⁾ L. I. 145—6. Między papierami po śmierci poety przez rodzinę jego przywiezionymi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu pisanego jego ręką, a poprawianego gdzieś innem pismem, zapewne przez jakiegoś francuskiego Francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwar-

Ażeby się uzdolnić do jak najpomysłniejszego dokonania innych utworów, które obmyślał, żądał w tymże liście od matki niektórych książek polskich.

»Jeżelibyś mogła, kochana Mamo, to mi przez jadącą siostrę Michała (Skibińskiego) przyslij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w swojej szafce; a jeżeli można, to dostańcie także przekładu Jerozolimy przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne. Teraz albowiem nie mam, jak tylko Trembeckiego i uważam, że mój styl twardnieje nieznacznie¹⁾.

Wreszcie donosił rodzinie i o zabawach, jakich sobie w ciągu tej zimy w Paryżu dla urozmaicenia czasu pozwalać postanowił: kiedy wtem nagle zaszło zdarzenie, które te wszystkie jego projekta pokrzyżowało stanowczo.

Niepomału zdziwić się matka musiała, kiedy wyczytała w liście Juliusza już w miesiąc później doniesienie następujące:

»Kochana Mamo! Pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca. Za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy. Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie przynajmniej w poetyczniejsze krainy posyła. Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ale nie wiem, jakimi słowy²⁾.... (Z listu z dnia 8 grudnia 1832 roku²⁾).

tęgo, drugi z piątego aktu. (Musiała ona zatem stanowić kiedys całość skończoną). Była pisana prozą, miała za treść sprawę Beatryczy Cenci, którą później opracował Słowacki wierszem po polsku. Ale osnowa polskiego dramatu zupełnie odstępował od pomysłu, wedle którego, ile wnosić można z fragmentów, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce francuskiej. — Urywki rzeczzone zbyt mi się zdały mało znaczące, żeby je zamieszczać w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych. (P. A.). Ogłosił je dopiero dr. H. Biegeleisen w „Tygodniku ilustr.“ (Warsz. 1893, Nr. 204—206).

¹⁾ L. I. 149. ²⁾ L. I 152.

To nagłe postanowienie porzucenia Paryża tem bardziej zadziwiać mogło każdego, że się już przyzwyczajali zaczęli koledzy Słowackiego paryscy, widzieć go uczestniczącego we wszystkich tamtoczesnych działaniach i obchodach emigracyjnych. Tak np. znajdujemy o nim w piśmie peryodycznem Januszkiewicza, które przyjęło (ale później dopiero) nazwę »Pielgrzym Polski«, w numerze z d. 20 listopada 1832 roku wzniankę, że na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego co tylko odbytem, czytał jakąś rozprawę. „Prezydujący Adam Mickiewicz, obrawszy za przedmiot: Gdzie ducha narodowego i jak go szukać należy? obudził prawdziwie interes słuchaczy swoich. Poklask dany przez zgromadzenie zwrócił uwagę naszą na artykuł J. Słowackiego »O przyszłości prac Towarzystwa, a mianowicie historycznych«. Artykuł ten obrazowym stylem i w ogólnych skreślonych rysach, był raczej przemową, w której autor kilka swoich myśli o historii kraju naszego rzuca, porównując ją z dziejami innych ludów; i stara się przyszedłemu dziejopisowi Polski, szukając go w gronie słuchaczy, podać sposób utworzenia w sobie sądu o wypadkach. »Historyk taki — są jego wyrazy — jeżeli ma sąd drogą indukcji z wypadków przeszłych wyłamywać, niech go nie szuka w historii jednego narodu, lecz w historii całej tej ziemi. Niech rzuci oko na tworzenie się ludów, które mi się wydaje wielkiem i sześciodniowem, jak stworzenie świata. Bo w pierwszym dniu Bóg stworzył religijne królestwo Judy, a w drugim poetyczną Grecją, a w trzecim zdobywszy Rzym, a w czwartym była noc wieków średnich, a w piątym stworzył światło Krucyat, a w szóstym — przebaczenie — zdaje mi się, że stworzył Napoleona, człowieka, pod którym ludy zaczęły budować babilońską wieżę, aż póki Bóg nie pomieszał języków, tak że się dotąd jeszcze jedną myślą zrozumieć nie

mogą. Wolę więc, żeby sąd wyłamał z historii całej ziemi, niż z terazniejszej Europy, którą Napoleon wędrownymi zbrojnymi jak różne warstwy ziemi skłócił, pomieszał i jeszcze nieosiadłymi zostawił». (Cały ten pomysł, jakkolwiek z bardzo istotnemi zmianami, wypowiedziany jest powtórnie wierszem — w Kordyanie, a to w VI-tej scenie III-go aktu. Same te zmiany już dowodzą, że cały ten sześciodniowy podział historii do fantazmagoryi tylko poetycznych zaliczyć trzeba). W numerze z dnia 2 grudnia (1832) to samo znowu czasopismo donosi o obchodzie pamiątkowym dnia 29 listopada odbytym. »Polacy w Paryżu będący zaproszeni zostali na tę uroczystość przez komitet centralny francuski.... Sala, niegdyś będąca Jana Kazimierza mieszkaniem, ozdobiona była chorągwiami Polski, Francji i Ameryki. Damy i znaczna liczba cudzoziemców towarzyszyła tej uroczystości.... O godzinie 5 otworzone zostało posiedzenie przez hr. Laysterie. Czytali mowy w języku polskim: Zaliwski, Rottermund, Dwernicki, Wda Ostrowski, Różycki pułk., Czyński, Lelwel, Pułaski, Grzymała, Saniewski. Zakończył odczyty polskie wiersz Minasowicza. Około godziny 8 okrzyki: *Niech żyje Lafayette!* oznajmiły jego przyjście. W mundurze gwardii narodowej polskiej zasiadł miejsce obok swego dowódcy i generała Dwernickiego. Po krótkiej przemowie Lafayette'a, Słowacki imieniem Towarzystwa Litewskiego i ziem ruskich ofiarował mu medal, bity na pamiątkę powstania rewolucyjnego tych ziem; poczem nastąpiły mowy w języku francuskim Dwernickiego, Lelwela, Worcella, Krępowieckiego. Wiersze francuskie deklamowali Lemercier i Lemaitre. Uroczyste to posiedzenie zakończył przemową powtórna Lafayette«.

Owóż już w 10 dni po tej uroczystości, pisał Juliusz w liście wyżej wspomnianym do matki o sta-

nowczem postanowieniu swoim przeniesienia się do Szwajcaryi, nie powiadając, jaka »potrzeba« go zmuszała do wyjazdu z Paryża, jakkolwiek przytaczał kilka różnych okoliczności mających niby usprawiedliwić tę jego nagłą zmianę pobytu.

»Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatru, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko, a może i nigdy nie powrócę, bo tu przykro, drogo, niespokojnie. Między nami ciągle zwady — a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potem, będąc w Genewie, między Paryżem a Florencją, któżby do Paryża wracał? — Pisałem już, że interes zmusza mnie do wyjazdu, ale zapewne z własnej woli w Genewie zostanę na mieszkanie i wiele sobie obiecuję przyjemności, i listy moje może ciekawsze będą, jak Wam doniosę o mieszkaniu Russa, Woltera, a nadewszystko jak pielgrzymkę na Mamy intencją odprawię i zwiedzę Coppel, gdzie pani Staël mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem genewskim w jakim wiejskim domku — i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowymi, bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność — ale nudną, przerywaną hukiem powozów, rozmową nudnych znajomych. Więc nie obwiniaj mnie Matko, że cichszej samotności szukać będę¹⁾».

I w drugim liście potem pisanym, już datowanym z Genewy (z dnia 30 grudnia 1832 roku) nie wypowiedział się Juliusz, co mu tak zaciężyło na sercu. Rzucił tylko nawiasem wzmiankę o ostatnich chwilach pobytu swego w Paryżu, która tem bardziej mogła każdego zaciekać:

¹⁾ L. I. 154—5.

»Powiem Ci jeszcze, moja Mamo, że mnie w jednym zgromadzeniu ziomeków proszono na klęczkach prawie, ażebym został, ale już było zapóźno, przygotowania do podróży już były porobione«¹⁾.

Dopiero po upływie całego niemal roku dowiedzieli się krewni rzetelnej przyczyny, która Słowackiego wypędziła z Paryża. Świadczy ona może o zbyt daleko posuniętej drażliwości u niego: rozważywszy jednak wszystko, przyznać należy, że w jego położeniu trudno było inaczej sobie postąpić. Rzecz tak się miała:

W samym początku roku 1833 wyszło w Paryżu dzieło, o którego mającym niebawem nastąpić wydaniu donosił już poprzednio matce swojej Słowacki. Pojawiła się *Część trzecia Dziadów*. Poemat ten był drukowany w zakładzie znanych Juliuszowi panien Pinard, i nie wątpię, że go czytać musiał jeszcze przed ogłoszeniem²⁾. Otóż w jednej scenie tego utworu występuje jak wiadomo figura, której tam dano nazwę *Doktora*. Zajmuje ona jedno z przedniejszych miejsc na całym planie obrazu; wystawiona jest w takim świetle, że odpowiedzialność za te wszystkie bezprawia, jakie się działy w Wilnie w latach 1823 i 1824, na nią w znacznej części spada i to z tem większą sromotą, że jest to rodak i członek ciała uniwersyteckiego, którego więc obowiązkiem było zaskaniać od gwałtów młodzież niewinnie prześladowaną, podczas gdy on działa w poemacie Mickiewicza jako intrygant, podlegający jeszcze podejrliwości Nowosilcowa za-

¹⁾ L. I 162.

²⁾ Prof. Tretiak podał p. Hösickowi wiadomość (*Życie Słow.* I str. 545), że po wyjściu „*Dziadów*“, zaraz tego samego czy następnego dnia, ktoś złośliwy przysłał Słowackiemu do domu jeden ich egzemplarz, z poprzecinanemi kartkami, w którym pod koniec poematu cały szereg stronic był pozakreślany czerwonym ołówkiem.

równy przeciw młodzieży, jak profesorom, i nie wstydzi się być jego nadskakującym pochlebcą, a nawet denuncyantem wręcz oskarżającym profesora historii Lelewela i kuratora uniwersytetu księcia Czartoryskiego o spiski przeciw rządowi w gronie uczniów utrzymywane.

Mickiewicz wprawdzie w *Dziadach* nie nazwał po imieniu tego doktora. I stądto może też poszło, że stawiając go jako figurę typową — z wyobraźni tylko wziętą, a nie z rzeczywistości, pozwolił sobie, nie tylko intrygi, z historycznemi zdarzeniami rzeczywistości związek mające na karb jego położyć, ale dodał do nich jeszcze i kilka rysów dokończonych (na przykład owo zajęcie nieludzkie z ks. Piotrem itp.), które same jedne wystarczyłyby najzupełniej na to, żeby każdego jako nikczemnika potępić na całą wieczność....

Wiedział oczywiście każdy, kto tylko z zajęciami czasu owego jakkolwiek był obeznany (a któż ich w emigracji nie znał natenczas?), że tą figurą bezimienną nie był kto inny, jak profesor medycyny w uniwersytecie wileńskim doktor Bécu, rzeczywiście od pioruna w roku 1824 zabity, jak to i w *Dziadach* jest przedstawione.

Czy oskarżenie podobne ojczyima Słowackiego było uzasadnione i sprawiedliwe?

Nam późniejszym, oddalonym od czasu i miejsca zdarzeń — wobec takiej powagi, jak autor *Dziadów* — trudno zaiste zaprzeczyć temu dzisiaj stanowczo. Sądzę atoli, że był to w każdym razie jeden z tych smutnych przykładów, w jakie pierwsze lata emigracyjne szczególnie były obfite, przykładów mowie ryczałtowego piętnowania ludzi nieraz niewinnych znamieniem odstępstwa, zdrady i Bóg wie jakich przekroczeń. Chociażby nie żyli jeszcze ludzie, co pamiętają te czasy, a którzy, o ile tylko mi się mówić z nimi zdarzyło,

po większej części zgadzają się na to, że się tym krokiem względem profesora Bécu dopuścił Mickiewicz grubej przesady: to już samo porównanie rzeczy, jak ona jest dana w Dziadach, ze znanem pisemkiem Lelewela »Nowosilcow w Wilnie«, okazuje, że musiał być Mickiewicz, kiedy układał tę scenę, w dziwnem jakimś rozdrażnieniu. Patrząc na rzecz z tego punktu widzenia, można i trzeba wprawdzie wierzyć, że wypowiadał autor Dziadów to co pisał, w najgłębszem przekonaniu i w godziwych zamiarach, i że się czuł podniesionym na wysokość, z której giną przed okiem drobne względy na pojedyncze osoby wobec zamiaru podniesienia pewnej idei: pomimo tego wszystkiego zaprzeczyć jednak nie można, że przedstawienie to jego scen wileńskich z r. 1823 więcej było poetyczne, niż zgodne z prawdą, a sądy o niektórych osobach w wysokim stopniu polegały na uprzedzeniu.

Lelewel był naocznym świadkiem, a nawet jednym z głównych czynników całego tego dramatu. Był on nadto osobistym przeciwnikiem stronnictwa w uniwersytecie wileńskim, po którego stronie stał Bécu. Co większa, i Lelewel miał przekonanie, że profesor ten czynnie i umyślnie się przyczynił do oddalenia jego z katedry wraz z niektórymi innymi jeszcze profesorami. Nie było tedy powodu, ażeby winę profesora Bécu Lelewel zmniejszał, i widać też po całym sposobie, jakim rzeczy te opisuje, że mu bynajmniej na tem nie zależało, ażeby go od zarzutu oczyścić. Przeciwnie! sądzi o nim z uprzedzeniem; o zachowaniu się jego opowiada namiętnie. I coż mu więc takiego zarzuca? Jestże najmniejsze podobieństwo pomiędzy winą, jaką mu przypisuje historyk, a ową rolę, w jakiej go wystawił w dziele swego poety? Bynajmniej! podobieństwa, stosunku nawet między jednym przedstawieniem a drugim — niema żadnego....

Wprawdzie grube są i Lelewela zarzuty przeciw niektórym profesorom, a między nimi i przeciw doktorowi Bécu. Z tem wszyskiem, kto tylko całe przedstawienie rzeczy w wspomnianem dziełku Lelewela przejdzie z uwagą i rozwagą bezstronną: niepodobna żeby nie widział, że grzeszyła niewątpliwie i jedna strona i druga. Tu podejrzliwość — tam zaciekleść; tu brak umiarkowania i taktu w postępowaniu, a tam przebieganie znowu miarki w sądach o dążności i postępach przeciwnego obozu: — takieto były na nie-szczęście w ówczesnej inteligencji litewskiej przymioty, od których wymówić nie można ani jednych ni drugich.

Starsi nie pojmowali w ówczesnych okolicznościach innej drogi ku lepszej, ku upragnionej przyszłości, jak drogę jawną, pewną, bezpieczną — drogę na podwalinach danego stanu rzeczy opartą — wśród pracy powolnej wprawdzie i niejaskrawej, ale trwałym skutkiem wynagradzającej za trudy. W podziemne knowania.... żadnej wzbudzić w sobie nie mogli wiary. Lękali się entuzjazmu, którego kierunek ginął w mistycznych jakichś sferach ekstazy, a doniosłość przekraczała wszelkie granice rzeczy prawdopodobnych, a nawet możliwych.

Dla młodszych profesorów przeciwnie i dla całej uniwersyteckiej młodzieży nie miało wtedy uroku, co nie nosiło piętna tajemniczości i nie wiało wonią zakazanego owocu. Niepokonana moc jakaś parła całą tę generacją ku robotom, o których ostatecznych następstwach bodaj który z nich miał jasne wyobrażenie. Oda do młodości była ich pieśnią. Gorąca wiara w to, czego wszyscy pragnęli, przy wzgardliwym odrzucaniu na bok wszystkiego, co wyglądało na kalku — to była modła postępowania tego zastępu.

W owych czasach nazywano to wszystko romantyzmem. Ale wiedziano już wtedy dobrze, że się w tej

nazwie ukrywało coś więcej, jak same kwestye dotyczące poezyi lub estetyki....

Takie były dwa stronnictwa w łonie społeczeństwa naszego, których głównem ogniskiem był w owym czasie uniwersytet wileński. Stronnictwo gorętsze zwyciężyło. Jego hasła wzięły z czasem na całą rozległość kraju zupełną przewagę nad instynktami przeciwnej partyi. Co tylko szczytnego posiadamy w literaturze — zawdzięczamy niewątpliwie popędowi i świetnej inicjatywie, jaka była dana z tej strony. I po za literaturą nawet — wszystkie pierwszorzędne sprawy nasze publiczne od owego czasu począwszy, były prowadzone kierunkiem, jaki narodowi wytknęło i ciągle potem wytykało przekonanie tychto zwolenników periodycznie obudzać się mającego w społeczeństwie naszym zapachu i wiary w cudowność polityczną. Łatwo tedy było Mickiewiczowi — w uczuciu odniesionego tryumfu.... wprawdzie tryumfu nie pod murami Warszawy, ale tylko w zakresie myśli, i niedalej jak między swymi — łatwo mu było w roku 1832 na owych pokonanych, prześcigniętych, już w mgle zapomnienia ginących przeciwników niegdyś swego zastępu, rzucić gromy wzgardy i potępienia! Ale dziś — kiedy dalszy przebieg romantyzmu owego w polityce leży już przed nami doprowadzony do ostatecznych swych kresów, i owoce jego dojrzałe jak na dłoni widne są wszystkim: dziś zdaje mi się, ani sam nawet Mickiewicz ani Lelewel nie śmieliby już w podobny sposób sądzić i mówić o ludziach owej epoki....

Czas wreszcie, byśmy powiedzieli to sobie, że może ci starzy i ni by zacofani antagoniści Lelewelowskiej partyi w uniwersytecie wileńskim nie byli wcale ani tacy obskuranci, ani tacy obojętni dla kraju, za jakich ich okrzyknięto wśród walki! Mieli oni zdrowy rozum i kochali ojczyznę równie dobrze, jak drudzy!

A że się nie mogli z młodszymi godzić na sposoby, jakimiby jej służyć: — za to winować nie ich należy.

Za to winować by można tylko znękanie, ciężkie i ciągle jeszcze chore społeczeństwo nasze, na którego siłach się ci młodszy przerachowali fatalnie, a które ludzie przeciwnego tamtych obozu snąć do brze znali. Wedle tego, jakim je znali, urządzali oni swoje postępowanie. Ich przekonaniem było: wprzód ogół narodowy odrodzić, a potem — przyszłości to pozostawić, co tamci czynić chcieli odrazu, jakby wszystkie okoliczności już były przygotowane do tego.

Ale wróćmy do rzeczy. Samo się rozumie, że co tu mówię o profesorach wileńskich umiarkowanych dążności, rozumiem o ogólnym kierunku tychże postępowania, a nie o pojedynczych krokach bez taktu, jakich się niejeden i między nimi pod naciskiem prześladowania dopuszczał czasem. Zupełnie zaś tego co powiedziałem nie ściagam do takich zaprzańców i nikczemników, jak na przykład Pelikan, późniejszy rektor uniwersytetu, który zajmował stanowisko zgoła odrębne....

Co się tyczy doktora Bécu: sam Lelewel w jednym miejscu broszury swojej, w nocie dodanej niżej tekstu na dole, a zatem jak jest prawdopodobna, dopisanej kiedyś później, kiedy już był ochłodnął z pierwszej niechęci przeciwko niemu, sam Lelewel przyznaje, że byli koledzy, którzy rzeczono go profesora dla osobistych uraz »zamierzali złośliwie zgubić«; że nie brakło nawet i na takich uczniach uniwersytetu, co dawniej w domu jego bywali, a potem dostawszy się do kozy, »plątali wesoło i nieszkodliwie« (?) profesora w sprawę, za którą zostali uwięzieni. A więc i jego stanowisko było zachwiane. I jemu groziło niebezpieczeństwo. Broniąc się z konieczności przeciw złośliwości jednym,

a lekkomyślności drugih, może nie trafiał zawsze na sposoby najstosowniejsze; może powodując się zbyt-ecznie osobistem rozdrażnieniem i żalem, postąpił sobie w czem niezupełnie, jak należało. Lecz trzebaż było zaraz rzucić bezwarunkowego potępienia kamieniem na człowieka, który w pracowitym zawodzie swoim całe życie przeżył bez skazy, dopędzał późnego wieku wśród czei powszechnej i miał, jak to sam Lelewel przyznaje, i przedtem i w ciągu owego śledztwa najściślejszą przyjaźń z Janem Śniadeckim? Ta jedna okoliczność, ta jedna rękojmia, ta jedna pewność o przyjaźni ze Śniadeckim, już zdaniem mojem wystarcza, żeby mu nie przypisywać winy, o jaką go może wtedy w Wilnie posądzano chwilowo. Charakter tak nieposzlakowany, wzrok tak bystry, znajomość pobudek ludzkich taka wytrawna, a nade-wszystko owa surowość zasad, która Śniadeckiego przez cały ciąg życia jego jako osobistość tyle podnosi po nad innych ludzi tych generacyi, nie byłaby mu pewnie dozwoliła żyć w poufłym stosunku z kolegą, któryby stał na jednej linii z intrygantami, jak Pelikan albo ta inna hołota, która się obławiała w zyski i rosła w honory przy owej sposobności....

Wspominana tu Lelewela broszura, w sposobie pamiętnika traktująca o owych czasach i stosunkach wileńskich, obchodzi nas tu bardzo blisko i z innej jeszcze przyczyny. Została ona ogłoszona drukiem po raz pierwszy w Warszawie w ciągu listopadowego powstania, w jednym z pierwszych trzech miesięcy roku 1831. Zważywszy, że w niejto właśnie ojczym Juliusza w takim świetle jest przedstawiony; dalej, że wyjazd Słowackiego z Warszawy już w marcu tegoż roku nastąpił nagle, tajemniczo, bez dostatecznych powodów takich, z którychby się było można wytłómaczyć przed matką; dodając do tego i to nareszcie, że we wszystkich listach swoich Słowacki odtąd nie

wspomina nigdy o Lelewelu inaczej, jak w wyrazach świadczących o namiętnej niechęci i z gryzącem zawsze szyderstwem: — zdaje się być rzeczą więcej niż prawdopodobną, że tej jego jakby ucieczki z Warszawy — bez planu, w świat obcy, byle daleko, ucieczki w ciągu wojny, z niejakim jeszcze powodzeniem trwającej — nie mogło być nic innego powodem, jak właśnie owa broszura! Dla mnie przynajmniej jest to wniosek, o którego prawdziwości wcale nie wątpię. Niepodobieństwem było dla Słowackiego oddychać dłużej atmosferą miasta, które zdawało mu się, że patrzyło na bezkarną zniewagę imienia, które jego matka nosiła. Nie śnił jej wyznać, że dlatego wyjeżdża z kraju, ponieważ jeden z mężów składających rząd najwyższy w stolicy, człowiek w dniach owych może najpopularniejszy w narodzie, którego przeto trudno było niepokoić wtedy o rzeczy czysto prywatne.... że się ten człowiek dopuścił takiej krzywdy względem dobrej sławy jej męża. Dlatego to wtedy wołał osłonić milczeniem, co go właściwie wypędziło z Warszawy. Dlatego też i w późniejszych listach tak się o tem mimowolnie nieraz wyrażał, że tylko za pomocą takiego tej zagadki wytłómaczenia można i wyjazd i dziwne o jej pobudkach napomknienia i niechęć ku Lelewelowi w korespondencyi jego zrozumieć¹⁾.

Jeżeli go zaś już ta publikacya Lelewela tak boleśnie wtedy dotknęła: temci bardziej uczuć musiał

¹⁾ Obacz miejsca odnoszące się do całej tej sprawy na stronie 42 i 43, 62 i 189 niniejszego dzieła.

Prof. Tretiak w recenzji dzieła niniejszego (Szkice liter.) a za nim p. Hössick (Życie Słow. I 377) podają jako przyczynę nagłego wyjazdu Słowackiego z Warszawy obawę jego przed wstąpieniem do wojska. Wywody ich nie są wcale przekonujące, i autor — zwracając uwagę na usposobienie i charakter poety — podtrzymać musi stanowczo swoją hipotezę.

tę nową krzywdę, jaką rodzinie jego wyrządził w Dziadach Mickiewicz. Nie przeto tylko, że tu umiędowa wina jego ojczyzna dosięgała rozmiarów prawdziwie monstrualnych. Lecz wszakże to było dzieło, które czytane i odczytywane być miało przez wszystkich! To był poemat — to był Mickiewicza poemat!... Pamiętniczek Lelewela, szorstkim stylem pisany, mógł ugrzęznąć w rękach samych tylko uczonych, samych historyków z zawodu; ani z rzeczy ani z formy nie mógł on sobie obiecywać nieśmiertelności. Dziady były dziełem poety, na którego zwrócone były oczy każdego, kto tylko język polski rozumiał. Broszury Lelewela nie znała matka Juliusza i nigdy się ani o jej egzystencji nie dowiedziała, jak o tem wnosić można na pewne z milczenia o tem dziełku w listach Juliusza do niej pisanych. Lecz można było przypuszczać, żeby i Dziady rąk jej dojść nigdy nie miały? Lelewel wreszcie, w czasie kiedy drukował swoje książeczkę, był zupełnie obojętnym człowiekiem dla Słowackiego. Ani wiek, ani stosunki, ani zawód nie zbliżał ich obydwóch do siebie. Inaczej rzecz się miała z Mickiewiczem. Jeżeli już nie dla innych powodów, to przez samą wzgląd na obecność Juliusza na emigracyi w Paryżu, przez wzgląd na to, że to brat jego młodszy po lutni, że z nim koleguje w przełożenistwie nad Towarzystwem literackim — już dla tych mówię przyczyn nie godziło się Mickiewiczowi obierać sobie właśnie jego ojczyzna za ofiarnego kozła, któryby dźwigał cały ogrom wzgardy poety dla wszystkich samolubów i zaprzańców, jacy tylko byli i kiedykolwiek być mogli....

To też łatwo sobie wystawić, co się po przeczytaniu tej książki dzieć musiało w duszy naszego poety, tyle zawsze drażliwego, a tak serdecznie przywiązanego do matki.... Oto co jej pisał w rok dopiero

po wyjeździe swoim z Paryża, kiedy ona dowiedziała się już skądinąd o wszystkim:

„Więc wiecie o Adamie! ¹⁾ Och! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy! Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała (Skibickiego), przyjaciela mego, aby mi pomocy swojej użyzył. Przyszedł Michał wieczorem, i różnemi radami odwiódł mnie od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem — i teraz nie uwierzycie, ile męki wycierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie słyszeć. Nienawidzę go!... Wyjątek z mojej przedmowy ²⁾ on obiecał i umieścił w piśmie, ale tak obiecał, że mu dał całkiem inne znaczenie — pozór jakiejś uszczypliwości, a przedmowa moja jest raczej mojem usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił, onto bowiem o dziełach literackich w piśmie pisał ³⁾. — Nic mi nie pozostaje, jak okryć Ciebie

¹⁾ Że wielką urazę do Mickiewicza z powodu „Dziadów“ miała cała rodzina Bécu, mamy na to dowód w liście Hersylii Januszewskiej do Józefa Mianowskiego z Krzemienia z dnia 10 listopada 1833:

„Czytałeś „Dziady“ M....? na każde wspomnienie ich wszystko się burzy we mnie: zawsze miałam jakiś wstręt do tego dziwnego poety, tak jakbym przezuwała jad jego złośliwości; ma jeszcze rozkosz po śmierci zatruwać jadem swoim osoby, co po nim pozostały“. (Listy Teofila i Hersylii Januszewskich do J. Mianowskiego. Warszawa, 1897 str. 120).

²⁾ Mówi o przedmowie do III-go tomu Poezyi, obejmującego Lambro. O utworze tym, który wyszedł w początku roku 1833, będziemy niżej mówili obszernie. (P. A.)

³⁾ „Pisemkiem“ nazywa tu Juliusz Pielgrzyma Polskiego Nr. (czyli „półarkusz“) 6-ty, z dnia 16 maja 1833. Donoszono tam o wyjściu tomu III-go Poezyi Słowackiego, i dołączono do tego doniesienia następującą uwagę:

Matko moja, promieniami takiej sławy, aby Cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. I muszę tego dokonać — Bóg mię sam natchnął — bo rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło¹⁾. Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi Matko droga, że się nie zasłepiam, że to dzieło osądził, po napisaniu, obcego człowieka rozważa.... I drukuję bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem.... (Z listu rokiem później pisanego z Genewy dnia 30 listopada 1832 roku²⁾).

— Kiedy już zapadło niecofnięte postanowienie przeniesienia się do Szwajcaryi, rozpoczęto przygotowania do bezzwłocznej podróży. Wśród najrozmaitszych zajęć, jak to bywa na wyjeździe, przyszła do głowy myśl Słowackiemu odwiedzić jeszcze sławną naówczas wróżkę paryską, pannę Lenormand. Było to w samą wilią Bożego Narodzenia.

Autor (Słowacki) we wstępie szydzi z krytyków. „Minął (powiada) ów czas błogi, chociaż mało dla literatury naszej korzystny, kiedy oda lub ballada nadawała imię poety.... Nadto pisma czasowe (przed kilku laty) zamglonymi niemieckimi okresami rzucały z paszcz sfinksowych zagadkę sławy autorskiej. Szczęśliwy, kto ją zrozumiał — szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył! Dziś dziennikarze, owi twórcy literackich królów, milczą. Gazeta warszawska umieściła w sześciu numerach całego Żmiję — bez uwag“. (Czy Autor terazniejsze czasy uważa za lepsze, czy za gorsze?).

Otóż powyższe miejsce w Pielgrzymie miał Słowacki przed oczyma, kiedy oskarżał Adama, że jego przedmowę obciął i nadał jej pozór jakiejś uszczypliwości i „ze złą wiarą postąpił“. Oskarżenie było trafne; autograf tego artykułu, rzeczywiście pióra Mickiewicza, ogłosił Bron. Gubrynowicz w „Pamiętniku Towarzystwa literackiego im. A. Mickiewicza“ (Lwów, 1898 t. VI str. 364—5).

¹⁾ Stосуje się to do Kordyana, który był napisany w rok po wyjściu Dziadów w Genewie. (P. A.).

²⁾ L. I 214.

»Dwoma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o wróżce sławnej w Paryżu pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś Cesarzowi wróżyła. — Ułożyliśmy więc natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała; dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: »Librairie de Mlle Lenormand«. Wchodzimy do sieni, wita nas stara duguenna pytając, czy przyszliśmy na konsultacyą. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia i wśród tych malowideł wisi ogromny portret samej wróżki, w aksamitnej czarnej sukni, ze złotą u dołu frendzlą i w zamyślonej postaci odmalowany. Kilka osób przybyłych przed nami czekało na kabałę, słychać było w drugim pokoju ciągłe mruczenie czarownicy. Wpuściła nas narreszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę: Jest to baba stara, lat ma ze 60, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w szarej sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier włożony aksamitny ogromny czarny beret, jak męska czapka; rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę ciocie Pałuską przypomina. Siadła na krześle z poręczami, przy biurku z wytartym suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. — Zapytana, odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite, od 6 aż do 60 franków. Prosimy o sześciufrankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludzior, co po 6 franków płaca za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytanie: »W którym miesiącu rodziłeś się?« — »w Auguste;« — »Którego dnia?« — »23;« — »Jaka pierwsza litera imienia?« — »J;« — »Pierwsza litera kraju?« — »P;« — »Jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze?« — »czarny;« — »Jakie zwierzę najwięcej lubię?« — »psa;« — »Jakiego zwierzęcia najbardziej niecierpię?« — »pajaka;« —

»Jaki kwiat najbardziej lubię?« — »różę«. — Na tem zakończyła, i wzięwszy talią kart zwyczajnych, ułożyła długi z nich szereg, dwie zawsze karty odrzucając. Potem wzięła ogromne karty, z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potem z trzeciej, równie ogromnej talii kazała mi wybrać 23 karty; z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak ekscytarz jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie proste; między innymi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, której mi rozpoczynać nie radzi aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości; że jestem zdalny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27 a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie; ostatnie tylko dosyć interesujące. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż; a ponieważ jej mówił, że kocha konia, wróżyła mu że się na polu walki odznaczy. — Tumaniba i nieczem zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacjentów¹⁾. —

¹⁾ Ażeby zaspokoić czytelnika ciekawość i powiedzieć mu o wypadku tych przepowiedni, póki pamięta jeszcze o wróżbie, nadmieniam, że jednak w tym pojedynczym razie niekoniecznie „baba tumaniba!“ Niejedno się z jej zapowiedzi spełniło rzeczywiście. I tak, co się tyczy dwukrotnego zakochania — okaże się niżej, że w tem było wiele prawdy, chociaż nie trzeba brać rzeczy w zbyt ścisłym sensie. Obietnica szczęścia i czasu obfitego w wypadki między 27 a 28 rokiem życia, ściągła się wprawdzie do skromniejszych nieco rozmiarów, bo tylko do podróży do Włoch i na Wschód, odbytej w r. 1836—37. Z tem wszystkiem, chociaż nie były to czasy bardzo szczęśliwe, to były one jednak jeszcze stosunkowo najszczęśliwsze w całym życiu poety od chwili wyjazdu jego na emigracyą, a nawet i najobsztsze w wypadki, a przynajmniej w przygody. A co ze wszystkiego najdziwniejsza, to że trafiły właśnie na wiek jego oznaczony!

Po tak przepędzonej godzinie wyszliśmy z Michałem do ogrodu Luxembourg. Gadaliliśmy długo drwiąc z siebie wzajem, a potem mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: »Wiesz — szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, możeby nam co więcej powiedziała«. Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa, malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca; ale ja także wyznać muszę, i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę samą myśl wpadłem.... (List z dnia 30 grudnia 1832 roku z Genewy¹⁾).

W wilią wyjazdu pożegnało grono bliższych znajomych Słowackiego obiadem, na cześć jego wyprawionym przez któregoś z przyjaciół. A nazajutrz, dnia 26 grudnia, w samo więc drugie święto Bożego Narodzenia, o godzinie 7 wieczorem wsiadł do dyliżansu.

Byronowi, kiedy jeszcze był chłopcem, wróżyła także wieszczka jakaś, nazwiskiem Msr. Williams. Przepowiedziała mu, że rok wieku dwudziesty siódmy i trzydziesty siódmy będzie dla niego niebezpiecznym. „Jedno się rzeczywiście spełniło“, pisał Byron w swoich pamiętnikach, stósując rzecz do swego ożenienia, które przypało właśnie na rok jego 27-my. „Nie zapomnę nigdy 2-go stycznia 1815. Było mi, jak gdyby podpisawali mój wyrok śmierci. Lady Byron (młoda panna) była jedyną spokojną osobą w całym towarzystwie. Ksiądz wymówił nazwisko moje fałszywie matka narzeczonej wrzeszczała; ja drżałem jak osowy listek, dawałem odpowiedzi niedorzeczne i nazwałem żonę po ślubie Miss Millbank (nazwisko panieńskie)“.... Tak tę rzecz opisywał Byron w kilka lat po owym ślubie złowieszczym, który mu całe życie zatrutą goryczą. Nie upłynęło wiele czasu i okazało się, że i druga przepowiednia owej wróżki miała się spełnić. Mając właśnie lat 36 i kilka miesięcy, poeta zakończył życie.

Więc wierzyć przepowiedniom? — Nie zawsze! Ale zdarzają się czasem rzeczy na ziemi i na niebie, o których się nie śniło naszym filozofom.... Byron w nie wierzył, Walter Scott także, i Rousseau, i Goethe, i Napoleon — i wielu innych sławnych ludzi! (P. A.)

¹⁾ L. I. 159—161.

»Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokoło, gadając ze mną przez okno karety.... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika (Zienkowicza), który się wywłókł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu. Widać go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potem przez Pont Neuf, a potem przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu. I tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy nie mogąc rozerwać niczem mojej uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tem mieście — i nie znalazłem przyjemnego — żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi«....

A znajomość z panną Korą? — Niema o niej wzmianki w tem rozmyślaniu poety o najbliższej swojej przeszłości. Pożegnanie się ich obojga było, zdaje się, z jego strony obojętne — dla niej było bardzo bolesne.

»Powiem Ci Mamó, że mnie kilka osób w Paryżu żałowało, — mówi Juliusz w innem miejscu tegosamego listu. — Kora płakała i z drugiego pokoju było słycać łkanie; a kiedy wyszła do salonu, czerwone miała tak oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przedemną, że ma mocny katar mózgowy, nad czem bardzo ubolewałem«¹⁾.

¹⁾ L. I 161—2. — „Panna Kora Pinard, prześliczna dziewczyna, ostatecznie wyszła za mąż za pana Chamfleury, bogatego handlarza drzewem okrętowym w Hawrze“. (Z notatek mi udzielonych Eust. Januszkiewicza). (P. A.) — Ten miłosny epizod z życia Słowackiego posłużył znanemu pisarzowi Aerowi (Rządewskiemu) jako temat do powieści p. t. „Miłość poety“ (Tygodnik ilustrowany, 1885 nr. 1354 i n.).

Ale wróćmy do przerwane go opisu podróży.

»Przejeżdżałem przez ładną Francją — ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą; zacząłem ich naśladować i często po całej mili uchodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszym znajdował się jeden sławny szybko-biegacz, który się w Paryżu popisował i któremu dotrzymywałem kroku. — Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszymi wędrowkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jedną górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa była cała szronem okryta. Futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dyliżans i stałem sam jeden, a widząc naokoło skały, Waszemi imionami próbowałem ich echa.... Jechałem przez Tonnerre, Dijon, Dole; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie 5 z rana, przyjechaliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi tej góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko czterech. Siedliśmy więc, ja ciągle z moim towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz — śnieg dawno nie widziany — tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! O 7 zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tem ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny zamazły obraz. — W oberży samotnej na górze Jura

jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć Wam powiedzieć, że przed kinu kłusem jechaliśmy z tej góry godzinę, i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy na otaczający naokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie winować w siebie, aby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney; widziałem z daleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. — Ferney mniej na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez 12 godzin widząc śniegi wokół, o Was marzyłem, marzyłem o dawnym dzieciństwie, o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że Wam tego wystawić nie potrafię. — O półtorej mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o 5 wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w tej miejscinie przeżyłem»....

Początek listu był taki:

»Nie masz smutniejszej dla mnie chwili, jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5 wieczór przyjechałem do Genewy, wniosłem się do hotelu pod Wielkim Orłem i nie mogąc po nocy włożyć się po nieznanem mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list do kochanej Mamy«.... (Wszystko z listu datowanego z Genewy dnia 30 grudnia 1832 roku¹⁾).

¹⁾ L. I. 159, 162—4.

VI.

Rok 1833. — Pensjonat na przedmieściu genewskim i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiej recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potapow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe do Genewy znalazł tam Słowacki kilku ze swoich dawnych znajomych, i ci mu dopomogli w wynalezieniu mieszkania. W ich towarzystwie i wśród stósunków genewskich weale przyjemnych, po niewielu już dniach, owe przykre uczucia, jakich doznawał w pierwszej chwili za przybyciem do tego miasta, ustąpiły miejsca usposobieniu nie tylko znośnemu, ale nawet bez porównania swoobodniejszemu, aniżeli w Paryżu.

»Genewa jest niezmiernie drogą — pisał dnia 5 stycznia 1833 r., w dalszym ciągu listu, z któregośmy dali ustępów kilka w poprzedzającym rozdziale — i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy mieszkają w tak nazwanych pensjonatach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo piękny pensyon w wiejskim domu o kilkadziesiąt kroków

od miasta położonym (aux Paquis Nr. 10 pod Genewą). Kosztuje mnie na miesiąc 130 franków, bez opału. Szczególnie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme Pattey¹⁾. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego lub Kosielskiego, powiedźcie im, że zaraz na wstępie zapytała mi się panna Pattey, czy ich znam; i odtąd ciągle mi o nich gada. Oni kiedyś mieszkali u tej samej pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę: ale wtenczas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

»Muszę Wam opisać pensyon genewski, a naprzód dom, w którym się mieści, potem gospodarstwa moich portrety skreślę — potem opiszę mój pokój — a potem moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiej stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Krzemieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić jak jest małą, kiedy pomimo największej drogości mieszkań, liczy tylko do 24.000 mieszkańców. Otóż dom w którym mieszkam, stoi w ogrodzie za miastem, wysoki na trzy piętra, szary z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów nie widać.

Pani Pattey jest to stara kobieta, przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy zacho-

¹⁾ Do najnowszych prawie czasów pisano nazwisko gospodyni Patteg; dopiero prof. J. Kallenbach (Czas 1897 nr. 204 i 5) wykrył, że nazywała się: Pattey. Listy jej córki Eglantyny, pisane do matki Juliusza wydrukował dr. Biegeleisen w artykule p. t. „Juliusz Słowacki i Eglantyna Patteg“. (Tygodnik ilustrowany 1892 nr. 106—8), a dopiski do listów poety L. Méyet w korespondencji Słowackiego.

rował, w jej domu nie byłbym jak obcy. Córka jej, panna Eglantyna Pattey, wszystkim się w domu trudni. Jest to panna mająca około lat 30 — ładną być dawniej musiała, teraz pokazują się w niej wady starej panny. Z tem wszystkim bardzo przyjemna w konwersacyi, i dobrze gada o swoich znajomych. Czułe wspomina Grocholskiego i Kosielskiego, z uśmiechem mówi o Ilkiewiczu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakżeśmy go widzieli, bo wystawiła mi go panna Pattey jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie.

Przybywszy na pensyon, zastałem w nim rodzinę francuską, starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali, jeden mi tylko więc został towarzysz. Jest to Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki, a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt, bawią się, wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. — Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, biurko czeczotkowe, ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak sięde, to mnie nie widać — i krzesła i stołek i piec okrągły. Okna, jak zwyczajnie w Szwajcaryi, z małemi szybami, a przed oknami dwa świerki, sosna, dąb stary, wiele krzewów, murawę teraz nawet zieloną i kłęb z róż. Okna moje obrócone są na wschód, będę więc miał w lecie słońce — i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał słońce, zapach róż i zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz Mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mnie w około otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem,

zupełnie mi uczuć nie dają, jakoby był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie.

»W pensjonacie tym wstają wszyscy o 9 rano, o 10 schodzą się do wielkiej sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie te dwa napitki przyprawiają tu doskonałe, ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potem rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściej do miasta, do salonu ¹⁾ i tu, odwiedzam moich znajomych i znów o 4 schodzę się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany, dziękuję Bogu, że się od paryskich traktyerów wyzwolił, i czuję, że mi tu daleko lepiej na zdrowiu. Po obiedzie często ktoś z dam genewskich do pani Pattey przychodzi z wizytą — i tak pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z panną Liną, jest to ładna z czarnymi oczyma Szwajcarka — a we czwartek mam pójść do jej rodziców na wieczór. O 9 godzinie pijemy herbatę i potem przy kominku ciągnie się rozmowa, po której każdy do swego pokoju odchodzi«¹⁾.

W ciągu następnych tygodni i miesięcy przywykał Słowacki coraz więcej do miejsca swego nowego zamieszkania, i do ludzi, którzy go otaczali. Ujrzał się tu bez wszelkiego zachodu pośród nader ożywionych stósunków towarzyskich, na brak których często w Paryżu narzekał. Oto, co swoim Krzemieńczanom o tem wszystkim opowiadał w liście z dnia 10 lutego 1833 roku:

»Co do mojego teraźniejszego położenia, bardzo sobie miłe życie prowadzę. Mieszkam na wsi, jak już Wam pisałem, u ludzi, którzy kazali mi Mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się to samo dla mnie uczynić, co chcą aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama,

¹⁾ L. I. 164—167.

pani Pattey, ciągle mnie się pyta o moje chęci, gusta wszystkim chce dogodzić, nad zdrowiem mojem czuwa, słowem, mogę Was zaręczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jej córka, panna Eglantyna, która już ma lat około 30, bardzo mnie także lubi, stara się mnie bawić, w kilku domach już mnie zapoznała, a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencją i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyna i był tam na nich często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki jak śnieg, mieszają się w kołach walca z zamysłonymi Angielkami, których tu jest najwięcej. Tańczą zaś tu tylko kontredanse, walce i galopady.

Zaproszony byłem także na kilka balów, przez nieznajome dawanych osoby; dziwny to weale zwyczaj! Byłem na jednym z nich i z trudnością wyszedłem przeczuć prawie gospodynią, której się trzeba było ukłonić. Na takich balach tańczą mazura, i to mi największą sprawia przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi; z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj w lutym chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł, niebo błękitne, na horyzoncie wysoko wznosi się Mont-blanc śnieżny, lekko jak chmura skreślony, czasem wiankiem białej chmury okryty. Wyrysuję Wam kiedyś i przysię widok domu, w którym mieszkam, wzięty z ogrodu. — Chodząc tak z rana, często pannie Eglantynie opowiadam różne przypadki mojego życia, zaczynając od lat 4 wieku, i zbieramy fiołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Pattey unyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła i kilka dam było ładnych. Bawiłem towarzystwo jak mogłem, nauczyłem mazura, z trudnością przypominałem sobie z dzieśiątek figur, i bardzo były panny kontente. Potem ustawiłem wszystkie do angleza, i znów im różne nasze figle

pokazywałem. Kręciłem wszystkich w długiego gąsiora i tak się rozhasałem, że m. in. wszystkie tańce pokazał aż do kozaka. W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek, wspomnienia tłumem cisnęły mi się do głowy i napełniały puste serce. Miałem jeszcze jedną wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin. Jest to żona jednego z pierwszych doktorów; bywa u nich, ona sama Włoszka, trochę sawantka, ale w miarę; ma ładną córkę, która się nazywa Lina — i sama śpiewa prześlicznie metodą włoską.

Otóż pani Morin, przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: »Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochwalny artykuł o poezjach Juliusza Słowackiego. Czy Pan znasz tego poetę?« — Udałem, że mnie ten artykuł mało obchodził, ale nazajutrz z bijącym sercem pobiegłem do Société de lecture, w którym znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w *Revue Européenne*¹⁾. Bardzo pochwlebnie mówią o mnie. Zaczynają od wyjścia na świat Bogarodzicy — dają tłumaczenie tego hymnu, potem mówią o Żmii z pochwałami, potem przytoczony jest w tłumaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego, rozbiór dość obszerny tragedyi, z cytacyami, pochwała śmierci błazna i charakteru jego w Maryi Stuart, nakoniec tłumaczenie całego Araba, wcale niezłe. Jest wszędzie trochę okrowanej krytyki, ale jest i to, że mam lat 22 i że rzuciłem podstawy wielkiej literackiej sławy. — Widziałem potem w Société de lecture czytających artykuł o mnie widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem, a to

¹⁾ Nadmieniałem już wyżej, że ten artykuł wyszedł potem i w osobnej broszurce, wydanej r. 1833 w Paryżu p. t. *Notice sur les poésies de Jules Słowacki*, podpisanej przez p. Lemaitre. (P. A.)

mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w salonie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezyi siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać — i wiedzieć, co ja za jeden«.

....»Właśnie rok temu, jak drukowałem w Paryżu poezye. Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu — zupełnie inne obrazy i bardzo wydatne odcieniami zostawił w mojej pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najciekawszy i najprzyjemniejszy; bo dom, w którym mieszkam, latem napełnia się mnóstwem wojażerów, najwięcej Anglików. Co roku prawie, jak mi mówi panna Eglantyna, przyjeżdżają i mieszkają u nich ładne damy. Bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mnie w świecie w dobrem świetle wystawia. Pomaga mi w tem rodzaj małej sławy, którą rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniej dobrze ludzi o mnie uprzedza i często tłumaczy milczenie moje, które zgubiłoby w opinii innych, i sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcej, bo nie doświadczam żadnego przymusu«.

O samem mieście Genewie takich udzielał spostrzeżeń:

»Teatr tutejszy szkaradny, albowiem wielu jest metodystów w arystokracji, którzy teatr za zakazaną i zgubną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają: nigdzie — niema mniej intryg — ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małym mieście. Zwyczaj tu jest, że panny same chodzą po ulicach; zwyczaj także, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochają się po lat 10, słowem, wiek tu złoty trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną.... Arystokracja tutejsza złożona z kupców

i zegarmistrzów, nudna bardzo i płaska. Oto macie w kilku słowach rys Genewy». (List z d. 10 lutego 1833 roku, z Genewy ¹⁾).

Lubo oddalony znaczną przestrzenią od miejsca dawniejszego swego pobytu, wiedział Juliusz jednak, co się dzieje w Paryżu, odbierając mnóstwo listów od znajomych tamtejszych: i porównywając stan rzeczy tam, a około siebie, powtarzał bardzo często: »lepiej mi jest w Genewie, niż w Paryżu«....

W listach paryskich donoszono mu nieraz o osobach, które go szczególnie interesowały, o Zienkowiczu, o panie Korze, o Mickiewiczu i t. d. Wiadomości o Zienkowiczu były coraz smutniejsze, wreszcie przysłano mu wiadomość o jego zgonie.

Pisałem Wam o moim wyjeździe; o moim chorym przyjacielu okropną otrzymałem wiadomość. W kilka dni po moim wyjeździe można zastał i był bez nadziei, siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: »nie ma Julka« — a wymawiając te słowa płakał. Kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list, a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał. Czytano mu ten list i płakał.... Dnia 18 w nocy o 10 godzinie wszyscy go opuścili i został tylko służący. W pół godziny potem chory otworzył oczy, westchnął trzy razy i zmarł. Pochowano go na cmentarzu Père la Chaise, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem.... Matko moja, pomóżdł się za tego, który kochał do śmierci Twojego syna i któremu Twój syn nie w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci». (Z Genewy dnia 10 lutego 1833 roku ²⁾).

O panie Korze pisano mu z Paryża, że go zawsze wspomina, — rumieniąc się, kiedy go kto inny

wspomina. — »Druk mego Lambra — mówił z tego powodu Juliusz do matki w tym samym liście — przypomni jej, jak niegdyś drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny. Będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie jej przed oczyma«....

To jest ostatnia wzmianka o panie Pinard w korespondencji Juliusza.

Nie długo potem, w początkach marca (1833), zaczął się rzeczywiście druk tomu III-go Poezyi. Korektę mu tu arkuszami z Paryża przysyłano. W maju było już dzieło gotowe i w rękach publiczności. Są zamieszczone w tym tomie: poemat w dwóch pieśniach p. t. *Lambro*, i następujące krótsze utwory: *Hymn do Bogarodzicy* — *Kulik* — *Pieśń legionu litewskiego* (te trzy rzeczy ogłoszone już były podczas listopadowego powstania w Warszawie) — *Duma o Wacławie Rzewuskim* — *Paryż* — i *Godzina Myśli*.

»Dla tego jednego poematu — pisał autor o Godzinie Myśli do Matki — chciałbym, abyście tom III czytali. Jest to poemat serca w którym jest całe moje dzieciństwo. Kiedyś Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmieję się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzeć nie może«.... (Z listu z d. 15 marca 1833 r.) ¹⁾.

Na czele tego tomu Poezyi położył autor przedmowę, w której się skarży na obojętność, z jaką przyjęto dawniejsze jego publikacye. Między innemi rzeczami są w niej i następujące ustępy:

»Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszej, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, na-

¹⁾ L. I. 169—173. ²⁾ L. I. 171—2.

¹⁾ L. I. 174.

dawała imię poety. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzuciło nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadające imię; nadto pisma czasowe dziennie zamglonymi niemczyzną okresami rzuciły z paszcz słynkowych zagadkę sławy autorskiej — szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył, Dziś dziennikarze owi, twórcy literackich królów, mileżą....

....»Szanuję szkołę religijną, owę wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiadli w Paryżu: sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchniętą słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiej religii źródło jedyne poezji upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów, nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezja była obrazem wieku itd.»

Z powodu onej przedmowy pisał później — po wyjściu już dzieła — do matki, jak następuje:

....»Od dni 20 wyszedł na świat tom III moich poezji.... Przedmowa krótka i gryząca trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednym z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo, ale nie wiem, jak o nim u Was sędzić będą ludzie; o ten tom bardziej jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli o tem co usłyszycie. Jeżeli tak dalej płodną będzie moja imaginacja, jeżeli co roku zacznę tomy nowe drukować, to wkrótce w Waszej małej szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jedną półkę, a po mojej śmierci ten, kto mnie poznać zechce, będzie musiał mieszać cały ze mną obcować. Takie są teraz sny moje«.... (Z listu pisanego 6 czerwca 1833 r.¹⁾).

¹⁾ L. I. 185.

Cały zajęty planami coraz nowych utworów, czuł na wygnaniu swoim dotkliwie brak sposobności zasilania się ożywczem źródłem literatury ojczystej, zwłaszcza dawniejszej. Dzieła Kochanowskich, o które w Paryżu jeszcze prosił, nie nadchodziły. Nie ma prawie listu, w którymby o nich nalegliwie nie przypominał. Oprócz tych dwóch Zygmuntończyków, żądał jeszcze i Obrazu wieku panowania Zygmunta III przez Siarczyńskiego.

»To dzieło wielkim byłoby dla mnie skarbem! Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć, i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co Ci tylko Mamo wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem po rękach Żydów walają, to mi przyslij«.... (List z d. 15 marca 1833 r.¹⁾).

Wśród tych rozmyślań o swojej przyszłej sławie i o drogach, któreby go do niej zawiodły, wśród pracy nad pierwszemi scenami nowego dzieła (Kordyana?), której zwykle ranki poświęcał, nie stronił w owych czasach Juliusz i od zabaw towarzyskich. A było do nich wiele sposobności w domu pani Patey. Dawano amatorskie przedstawienia — tańczono na wieczorkach wiele.

»Czy wierzycie — pisał w tymże liście do krewnych — że ja tu pierwszy animuję towarzystwo? Kiedy tańczę, młodzież ściga mnie oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje. Na (ostatnim) wieczorze zadziwiłem ją walczem tańczonym tak, jak u nas tańczą wojskowi, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jakoto: z szalem, z czterema królami kartowymi itp. Często gram do tańca na for-

¹⁾ L. I. 175.

tepienie — i potem panna Pattey opowiada mi, co o mnie damy gadają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czym Wy z trudnością wierzyć możecie, widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudnem, teraz zaś uniem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od kraju i od Was usprawiedliwia tygodniowe spliny«....

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

»Wicie jak najczęściej przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun¹⁾ podobna, z żywszą trochę imaginacją. Otóż ta dama, pani Pattey, ja i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo, bo pamiętam, jak niegdyś jako dziecko leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona, że do Słowackiego przyszli na bostona²⁾. Gra ta nie jest tak trudną, jak mi ją wystawiano — owszem, daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości«³⁾.

Przy takim zachowywaniu się, przy takiej łatwości w potocznym towarzyskim pożyciu — nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym na przedmieściu Genewy wszyscy lubili. A szczególnie zdaje się, że go lubiła coraz więcej panna Eglantyna Pattey.

¹⁾ Znajoma pani Bécu z Wilna, zamieszkała w majątności swej Żydomli, o kilka mil od Grodna.

²⁾ Mikołaj Mianowski, Jan Rustem i Makary Bogatko byli koleczy ojca Słowackiego, profesorowie wileńscy.

³⁾ L. I. 175 i n.

»Dobrze z nią żyjemy — (pisał w liście z dnia 15 marca) — zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnej ze swych przyjaciółek tegoby, co mnie, nie wyspowiadała«¹⁾....

W miesiąc później uskarżał się gorzko poeta, że mu matka pozwoliła tak długo czekać na swój odpis.

»Dwa miesiące, a raczej cały miesiąc drugi tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem posłańca z pocztą od godziny 11 do 2, a od drugiej godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mnie porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znów z nadzieją o godzinach nadchodzącej pocztą, i tak było przez cały miesiąc.... Kochana Eglantyna cieszyła mię, jak mogła. Często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając na poczmistrza.... Często widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniął być wstąpić. Nie uwierzysz Mamo, jak kito jest mój stróż anioł ta Eglantyna.... ale teraz nie ma jej tutaj, wyjechała do starej i chorej ciotki w Lionie i dopiero za dni czternaście wróci«.... (Dnia 24 kwietnia 1833 roku²⁾).

Przez te dni czternaście starała się sama pani Pattey, matka Eglantyny, rozweselać rozmową smutnego swego lokatora. Ale jej wysilenia, ażeby go rozzerwać, nudziły Juliusza. Natomiast była inna osoba, która lepiej знаła tajemnicę, jak mu skrócić chwile przemijające zanadto zwolna. Było jej imię Eliza. Oto, co o niej pisał dnia 26 kwietnia:

»Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się Tobie Mamo, dla widzenia jednej miłej osóбки, która mi

¹⁾ L. I. 176. ²⁾ L. I. 180.

wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności — gdybym sobie mógł każdej chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mnie. Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie — dziś, gdy jej nie ma, stokroć ładniejsza od niej panienska odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczego odwiedza?... Zapewne nie dla widzenia starej pani Pattey.... A zresztą sądź sobie Mamo, jak chcesz — ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z której mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien.... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienska, jest to osóbką małą, bardzo podobną do Kaźmiry Niepokojczyckiej¹⁾; ma czarne oczy pełne iskier, wiele dowcipu i miłości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24 (więc właśnie tyle, co i nasz poeta liczył ich sobie natenczas. Eglantyna miała niestety lat już 30). Dawniej bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach, wtenczas podobała mi się bardzo — i ubierałem ją zawsze gdy wychodziła.... a dlatego ubierałem że podobał mi się jej kapelusz.... Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusza włosów. Kapelusze te nazywają się *calèche*, koczki.... i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, choć do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży rozkwitłej na oknie gotyckiem; więc dlatego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową i ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu.

¹⁾ Wedle objaśnienia Méyeta była to córka lub krewna Adama Niepokojczyckiego, szambelana dworu, marszałka słuckiego.

Życie jej matki teraz jest bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią.... dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepędza wieczory, u starych, u chorych.... Eliza musiała się nauczyć bostona, aby grywać w takich domach ze starcami i z nie-szczęśliwymi; dlatego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności. Często chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej; więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów, wróciwszy do domu, ułożyłem je naśladując Twój gust Mamo w układaniu bukietów, a potem w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe — i w środek ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie — ale od pani Pattey. Nie zawiodłem się, przypomnienie się było skuteczne. Przyszła z matką wieczorem — i mówiła mi, że złą była na margerytki naszego ogrodu, które jej nieprzychylny dały wyrok. Widzisz Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. I zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych, łagodnych, smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mnie kocha; bo mówiła mi, że była smutną przez 4 dni, a ja nie pytałem, dlaczego. A gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: »Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam«. — »Jaką książkę?« zapytałem. — »Nowy Testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę«.... i mówiła dalej: »Dziś rano obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli, i prze-czułam, że dzień ten będzie szczęśliwy«. — W tym dniu odebrała bukiet — i chodziliśmy po ogrodzie. Dobra dziewczynka! Nie wiem, czy Ciebie takie detale interesują, ale te detale są całą różnorodnością mego życia; bardziej mnie zajmują, niż mój tom III, który za 8 dni wyjdzie z druku¹⁾.

¹⁾ L. I. 181—3.

Było to słowo, którego zaledwo się spodziewać było można z ust Słowackiego, tyle zawsze zajętego swojemi pracami poetyckimi. To też matka to przeczytawszy, pewnie co więcej tam sobie pomyślała o Elizie, jak tylko: »dobra dziewczynka!«

A trzeba właśnie było, że mu w dniach owych pisała, czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z którymi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkosć samotności tułacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

»Ty mi Matko piszesz o ożenieniu? — odrzekł jej na to w tym samym liście, gdzie właśnie tyle o Elizie donosił. — Nie chciałbym niszczyć Twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie....

»Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małym talentem utrzymują całe rodziny — zastaniają je od niedostatku; a ja jestem jak niepotrzebne ziele! Jestem nawet ciężarem dla Ciebie Mamo moja!... Przebac mi, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę....

»Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, aby Bóg Ciebie nie nagroził za to, że Ci dał takiego syna! Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w *Revue Européenne*, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach na końcu napisała: *Heureuse votre mère!* Ona także jest matką. Więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sunienia, które mi powiada, że Ty jesteś nieszczęśliwą przemnie¹⁾.

¹⁾ L. I. 180—1.

Wracając do projektów, jakie sobie matka układała, do projektów ożenienia Juliusza, te już dlatego były więcej niż trudne do doprowadzenia do skutku, ponieważ uczucia jego, choćby obudzone w sposób wiele obiecujący, zbyt rychło zawsze urywały się jakoś.

O Elizie naprzykład niema już ani jednej wzmianki w dalszej korespondencji!

Byłóż rzeczywiście prawdą to, co pisał niedawno przedtem o sobie:

»O kochani moi! smutno mi, smutno czasem — i często — bo się już przerabiam na obywatela świata! Już się ani do miejsc, ani do osób, z którymi żyję, nie przywiązuję tak silnie, jak w dzieciństwie — i to jest jedną z wad, jakiej nabywa serce tułacza«.... (D. 30 grudnia 1832 roku¹⁾).

....»Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci — kto jak liść uwieśdły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł!«.... (Z listu z dnia 22 września 1833 roku²⁾).

Byłóż, powtarzam, w samej rzeczy to tułaczę jego życie przyczyną, że się serdecznie nie był zdolny do nikogo przywiązać? Czy też może przeszkadzał temu ów obraz w pamięci jego niezatarte wyryty.... obraz, który mimo wszelkiej dumy i na przekorę najsilniejszym postanowieniom, ażeby zapomnieć o nim, ciągle mu się odnawiał przed oczyma?

»Kochana Mamo (pisał w czerwcu 1833 roku), czy Ludwisia Ś. wyjeżdża do Odessy? Spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swojem pamięta³⁾. Spodziewam się, że mój tom III pogodzi ją trochę ze mną«⁴⁾.

¹⁾ L. I. 167. ²⁾ L. I. 205.

³⁾ Prosił ją z Paryża jeszcze Juliusz o przysłanie portretu, który mu też ona nadesłać obiecała, lecz później. (P. A.)

⁴⁾ L. I. 189—90.

Pośród zajęć, rozrywek i melancholijnych rozpamiętywań, któreśmy opisali powyżej, minęła tedy pocię naszemu pierwsza zima w Szwajcaryi i nadeszły upragnione miesiące wiosny. Zakwitły wonne bzy w ogrodzie Eglantyny — w parę tygodni później horyzont domku jej matki zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż — nadeszło lato. Z początkiem każdego lata pensjonat pani Pattey zwykł był napełniać się mnóstwem różnych podróżnych. Przygotowany na to Słowacki, cieszył się już naprzód z owej różnorodności, jaką to w dom wprowadzi. Posłuchajmyż opowiadań jego, rozrzuconych po całej korespondencyi owego roku, o współmieszkańcach, których miał w ciągu lata 1833:

»W domie, w którym mieszkam, mijają się różne cienie, jak w czarnoksiężskiej latarni. Najprzód z jaskółkami przyleciał młody Anglo-Szkot — niezmiernie cichy i nabożny — młody i dziecięcy.... Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowej łące. Jak mi to boleśnie przypominało moje dzieciństwo — Mickyny, Wilejkę — lasy sosnowe i jeszcze coś. — To dziwnie, że już teraz nie mogę łowić motylów! Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lozanny«....

»Dom po odjeździe Anglika został pustym przez czas niejaki — w tem jednego poranku zwała się, jak lawina, ogromna familia rosyjska: pani Otwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia, — teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Ot. sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzyżąca, córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włosy mało się odbiły na jej imaginacyi, została nieociosaną statua. Ma sztabuchy, w których włosy artyści stosując się do jej gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze trzy omyłki w aryi każdej, nigdy mniej, ani więcej. W nutach ma mnóstwo

polskich teraźniejszych śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójda za powrotem. — Młodsza jej siostra żywa i piękna, jeszcze dziecko. — Synek mały w czerwonej luzarce haftowanej złotem, bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciół syna, karzę, lat ma 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniej gniewliwy. — Przy dzieciach guwerner — ze wszystkiego do Szantyry, mierzącego pola w Jaszunach, podobny. — Przy pannach guwernantka, dwie panny służebne i służący. — Oto jest cała familia wojażerów — zdaje mi się, — że dostatecznie odhualowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w Babilońskiej wieży. — Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną; przy herbacie wyciągał z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekeje na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swojego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za ręce. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia wstając z rana — i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i biorąc rękę moją w dwie swoje małe rączki, ścisła z całej siły«.... (List z 6 czerwca 1833 r. 1).

Familia ta rosyjska czas tylko krótki zabawiła w Genewie. Po ich odjeździe tyle jeszcze Słowacki donosił o nich matce:

.... »Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowej. Zdaje mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły; bo po odjeździe w listach, pisanych do pani Pattey dały mi długie dowody pamięci, a panna Aleksandra (starsza córka) odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron¹⁾.

Kiedy jeszcze mieszkali ci Rosyanie w owym domku genewskim, urządzali różne wycieczki w okolicy. W wyprawach tych towarzyszył im czasem i Słowacki.

»Jeden z tych spacerów najprzyjemniejszy był na góry otaczające jedną stronę Genewy — góry, z których mniejsza równa naszej zamkowej górze.... Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapę i tak przybyliśmy aż do stóp Salève. Tam wszyscy wsiedliśmy na osły. Moje zwierzątko największe i najmocniejsze prowadziło cały orszak, orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas. wiejskie śniadanie — na długim stole z desek — pod gruszkami i jabłoniemi. Potem oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, w której płynie kręty Rodan, jezioro, w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście innych miasteczek — łąki — drzewa — słowem widok ogromny — rozległy — prawdziwie prześliczny! Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągwiemi i muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w niedzielę, jak przystoi na potoków Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, strzelali z pistoletów — podobni niegdyś do Julka Achillesa w zbroi.... Kilka razy pływaliśmy

w czółnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona, i dlatego często z nim wchodziłem w rozmowę. Stary wioślarz dołąd o niezem nie gada, tylko o angielskim pocie. Zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została, po długim obezwaniu z lordem.... Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o lujdora, kto z nich prędzej na drugi brzeg jeziora dopłynie. »Nie dziw, że mię lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czółno i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało«. Powiada dalej, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi lujdora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka, — i patrzę na wielkich ludzi z tej samej strony, z jakiej się na nich lud zapatruje.

»Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malezewski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że prawie głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniej karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia imię Malezewskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrówce na tę górę nie wiedział, tobym się był tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem, dlaczego — ale myśl o Malezewskim została głęboko w moich dumaniach utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, — ale burza jeszcze mnie nie złamała. Wiesz Matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długą — że przyjdzie na mnie nędza — że mnie dumy moja zabije: to prawdziwie, że mię okro-

¹⁾ L. I. 191.

pność takiego losu przeraża... (Z listu z dnia 15 lipca 1833 roku¹⁾).

W chwili, kiedy to pisał, już familii Ouwaroff w domu pani Pattey nie było. Zmieniły się dekoracje w następujących miesiącach, a raczej wystąpiły na scenę inne osoby, grające jak się wyraża poeta, razem z nim tragi-komedię życia.

Najprzód przybyła po nich znowuż rodzina Rosyan i ta na długo w miejscu osiadła.

Była to, jak u nas nazywają, pocziwa szlachta.

*Wdowa Potopoff²⁾, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą — bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł i prosto-duszna. Kuzynka jej, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikówny podobna — także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin — brzydki z twarzy — ale szczerzy i otwarty — nie mówi po francusku, tylko po rusku. Z tymi osobami jestem jak można najlepiej. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie — z panią Potopoff także często po rosyjsku rozprawiam. — Obok mego pokoju ma mieszkanie la Comtesse Seidwitz, wiek lat 65 — z wszelką grzecznością dla dam to piszę, — trochę uróżowana, co dnia w innej sukni, wygorsowana, krzyż dworu wiedeńskiego zawieszony na ogromnej kokardzie nosi przy boku. Za nią zawsze lokaj Niemiec z dwoma poduszkami, które kładzie gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Z tem wszystkim jest to bardzo dobra osoba, wesoła, przyuczona u dworu do grzeczności, każdemu ma coś powiedzieć; bardzo lubi kalambury, wozi ze sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy, — a oprócz słu-

¹⁾ L. I. 191—2.

²⁾ Ta pani Potopoff — zwrócił na to uwagę Hössick (Życie Słow. II 15) znalazła się z czasem w „Niepoprawnych“, gdzie w akcie I, scenie V-tej hrabina pyta o nią majora.

żącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wszelkimi pokusami — a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda i cały dzień śpiewa nieuczoną lecz ładnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la Comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacyą, ciągle wyciąga szklankę, do której winą nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam — i jestem podobnym do Ganimeda. — Z drugiej strony mego pokoju mieszka Anglik, oryginał, łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony i całą sławę swoją ufundował na dobrej granit w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łąje, jeżeli który z grających słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany. — Oto są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty przez salony i pokój jadalny. Na drugim piętrze mieszkają gospodynie — dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiej podobna, naiwna, żywa jak dziecko. Matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną karetą, z dwoma służącymi, widać że bogate; nazywają się Donnelan. Jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący z powagą i przymusem. Oto jest nasze towarzystwo. (Z listu z dnia 23 sierpnia 1833 roku¹⁾).

Nie było to jednak jeszcze całe towarzystwo Juliusza. Przybyła bowiem później nieco jeszcze jedna para do domu pani Pattey — jakiś pan Wolf z żoną, duchowny anglikański, wysłany z Anglii, ażeby ludzi na metodystów nawracał. Ten dowiedziawszy się, że

¹⁾ L. I. 197—8.

Słowacki jest autorem, przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do niego się przyczepiał; postanowił sobie bowiem wy kierować koniecznie i jego także na metodystę protestanckiego.

»O gdybyście widzieli — pisał o nim w liście z dnia 22 września 1833 roku — jego tłąstą, okrągłą postać — przy chudej żonie — jego uśmiech jezuicki.... Gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy; śmialibyście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą«¹⁾....

Z tem później głównie z Anglików złożonem towarzystwem odbywał Juliusz także niekiedy wspólne wycieczki w dalsze okolice Genewy. Jedną z nich szczegółowo opisał.

»Przepełniliśmy jezioro i na drugiej stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony o 3 wiorsty od miasta — dom mały, murowany i wcale pospolity. Nie wchodziliśmy do środka. Działzinie nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami; z drugiej strony ogród na schodzącej do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w której mieszkał, nazywa się Cologny²⁾. Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca. Nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu.... z jednej i z drugiej strony błękitniejące brzegi mgliste — a w końcu jeziora migające światła i rzędy oświeconych okien — to

¹⁾ L I 207.

²⁾ Pobyt Byrona w tych miejscach nie był długi. Mieszkał on tu tylko w ciągu lata 1816, porzuciwszy Anglię i co tylko rozwiódłszy się z żoną. Następnie, w końcu roku tego, przeniósł się do Włoch. W tymto domku powstał więc Sen — Więzień Chillonu — III-cia pieśń Childe Harolda i pierwsze pomysły Manfreda. (P. A.).

Genewa! Z czwartej strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. — Taki spacer byłby zachwycającym z miłymi osobami, ale Wy sobie nie możecie wystawić, co to są Angliey i Angielki! Jest trzech Anglików w naszym domu — żaden z nich nawet jednej myśli w głowie nie ma. Skrzywione wyobrażenia, stare, *la morgue au lieu de la dignité*. Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem — wcale nie sentymentalne — i nigdy jeszcze z Anglikami nie było w naszym domu interesującej rozmowy«¹⁾....

Tak mówił o tem w liście z dnia 22 września. A w miesiąc później, kiedy już wszystko w różne strony porozjeżdżało się z owego ustronnego zacisza na przedmieściu Genewy, znalazło się w jego doniesieniach jednak wspomnienie zupełnie innym tonem wypowiedziane o jednej z osób należących do naradu, który tak niekorzystnie wtedy osądzał.

»Pusty dom nasz — a dla mnie pustynią się zdaje od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszkała, przez drzwi tylko oddalona odemnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwnie, jak wiele dotąd we mnie dziecinnego, a czasem jak wiele we mnie splinu« (Dnia 27 października 1833 r.²⁾).

W ciągu jeszcze pełnego lata, w miesiącu sierpniu, kiedy całe towarzystwo owo ożywiało jeszcze dom pani Pattey, miał Słowacki przyjemną scenę, którą opowiadał matce ze wszystkimi szczegółami. Wizytator szkółek miejscowych uprosił gospodynią domu,

¹⁾ L. I. 206—7. ²⁾ L. I. 209.

ażeby mu pozwoliła ogrodu swego na wyprawienie dzieciom festynu.

»Porobiono więc w ogrodzie wszelkie przygotowania, jakoto: zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszono były cacka dla dzieci — pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki, pozostawiano stoły, i do tak urządzonego ogrodu o godzinie pierwszej weszły dzieci ordyńkiem z bębniami wojskowymi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz Mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych, — z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopof, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając czy którego podobnego nie znajdzie — i łzy miała w oczach. Ja także — nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne i coś mnie dusiło w gardle.... Prawdziwie że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła.... Podczas gier cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego, przypomniałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając okłaski na egzaminach — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej ojczyzny — zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój, prosząc ażeby sobie kiedyś będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiedzie, że podczas tej sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach. Mały chłopczyk ścisnął mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. — Eglantyna mi potem mówiła, że chciaaby mię w tej chwili uściskać. — Droga Mamo, są czasem chwile, w których

myślę, że Tybys była ze mnie kontenta.... (Z listu z dnia 23 sierpnia 1833 r. ¹).

Podobnie rzewnych, ale i miłych zarazem uczuć doznał Słowacki w tymże samym miesiącu przy innej jeszcze sposobności. Były to jego urodziny — dzień sierpnia 23-ci: w dniu owym rozpoczynał 25-ty rok życia. W wilią dnia tego doręczono mu list z Krzemieńca, »który choć smutny, był mu najmiłszem wiązaniem«. Nazajutrz po odebraniu listu, w sam dzień urodzin, obudził się o godzinie 7-mej i spostrzegł rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na jego łóżko bukiet kwiatów. Zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny, pomyślał sobie.

»Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużej, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania łóżko zalegam; ale pomyślałem sobie, że milej mi będzie pierwsze dwie godziny tego dnia Tobie Mamo droga poświęcić — i oto piszę do Ciebie« ²).

Kiedy tak pisał, bukiet dany mu na wiązanie stał przed nim — w głębi jednej róży w bukiecie spał sobie spokojnie zielony żuk. »Zdaje mi się — są słowa Juliusza — że on ma teraz los podobny do mnie — który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu.... Potem zszedł na śniadanie i zastał pannę Eglantynę samą, która go zniewoliła, aby przyjął od niej złotą obrączkę.

»Obrączka ta otwiera się — we środku napis: 23 Aout 1833. — To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem — a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę, z pierścion-

¹) L. I. 200—1. ²) L. I. 197.

kiem niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu nosząc¹⁾.

W dalszym opisie donosi o powinszowaniach ze strony niektórych Polaków w Genewie bawiących, o obiedzie, na którym pito jego i matki zdrowie, i o wieczorku, na którym tańczono do 11 w nocy.

Zwróćmy teraz uwagę naszą na autorską czynność poety — na tle towarzyskich stosunków, któreśmy właśnie poznali. Zajmowały fantazją jego przez ciąg całego tego roku pierwsze pomysły do dzieła, którem, ile wnieść można, był wydany później poemat pod tytułem *Kordyan*. Już w marcu (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. W lipcu przypomniał o nim w sposób, że wątpić nie można, iż miał na myśli to właśnie dzieło. Za nadejściem jednak lata, przesuwające się przez dom, w którym mieszkał, coraz nowe osoby sprawiały mu tyle roztargnienia, że w tym wirze i zamęcie niepodobna mu było przedłużać pracy. Rzucił tedy pióro, z uśmiechem nieco szyderczym zwrócił oczy badawcze na oryginalne te typy, z którymi pod jednym dachem się mieszcł — i doznając już to przyjemności w towarzystwie z tylu żywiołów różnych złożonem, już moralnego znużenia, bawił się — nudził — marzył — wygrywał na fortepianie — czytał bardzo wiele, ale nie pisał nic. W ogóle nie czuł w sobie żadnego do poważnej pracy przez całe te miesiące popędu.

»Napada mię czasem chęć czynniejszego życia — takimi słowy opisywał usposobienie swoje w korespondencyi z czerwcą i lipcą — marzę o różnych projektach; ale wszystko to napróżno.... Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora — i myślę o Was. Czasem jestem tak

otrętwiały, że potrzebowałbym, aby mnie pszczoły Twojej Mamo pasieki pokąsały. — Smutno, smutno!«¹⁾.

Z nadechodzącą jesienią — i cisza w domu z powodu powoli rozjeżdżających się gości i wrodzona właściwość, że o tej porze właśnie zazwyczaj nawiedzała go jakaś konieczność poetyckiego tworzenia — wszystko to zaczęło się składać na to, że owe pierwsze zarysy dzieła, jeszcze na wiosnę rzucone, nabierały w jego wyobraźni coraz więcej ciała i kształtów.

»Tej zimy zamyslałem pisać i pisać — mówił o sobie w liście z dnia 22 września — jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami — przepełnia — wylewa — i znów jestem jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny«²⁾.

W październiku donosił:

Anglicy i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napełniały — z przyjściem jesieni uniosły się jak jaskółki na południe.... W towarzystwie samych tylko gospodyń domu możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina urojęń i marzeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata. Piszę wielkie dzieło — napisałem już 1300 wierszy; ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całej budowy«.... (Z listu z dnia 27 października 1833 roku³⁾).

W końcu listopada mógł już zdać sprawę z dalszego postępu pracy:

»Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2200 wierszy. Czuję jakąś

¹⁾ L. I. 190 i 191.

²⁾ L. I. 190 i 191. ³⁾ L. I. 204. ³⁾ L. I. 208.

pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra ojczyzny mojej, przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko... Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki Ojca i Twoje kilka wyrazów, Mamó, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemian i znajduję, że *Treny* są niezrównanej piękności. Uwagi Ojca mego po większej części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczesowy klasyczny, a raczej francuski trochę obłąkał. — W teraźniejszej poezji Brodziński się najwięcej do Kochanowskiego zbliża — ale jest od niego niższy o trzy wieki. Oprócz tych dzieł nic więcej teraz nie czytuję, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się *Kordyan*. Dziwne to u mnie sam dla mego idealnego człowieka znalazłem... (Z listu z d. 30 listopada 1833 r. ¹).

Z samej skwapliwości przepisywania widać, ile zależało autorowi na jak najrychlejszem w świat wyprawieniu tej książki. Temu życzeniu stawały znowu w drodze zwykłe trudności z powodu braku fundusów nakładowych. Za poprzednio wydane tomy kosztą zwracały się zwolna, bardzo późno i jak to mówią, tylko kapaniną, a pewnej części takowych nawet pozbawiała go nierzetelność osób do rozprzedaży użytych albo księgarzy, na których też często wyrzeka:

»Ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą — i długo zatająją. Słowem przekonuję się, że księgarze — jest to najgorsza klasa... (List z dnia 23 sierpnia 1833 r. ²).

¹) L. I. 217—18.

²) Według artykułu L. Méyeta (Rachunki księgarskie *Jul. Słowackiego*. Świat, Kraków 1893 nr. 21) ogólny dochód za książki rozprzedane do końca r. 1833 wynosił 1767 franków, a że

Dało się jednak jakoś wszystko załatwić. W miesiącu styczniu czy lutym następnego roku pojawił się w Paryżu poemat, bez żadnej przedmowy i bez wyrażenia imienia autora, pod tytułem: *Kordyan, Część pierwsza Trylogii — Spisek koronacyjny*. Paryż 1834. 12-o str. 159.

Autor dziełem tem zamierzał rzucić rękawicę Mickiewiczowi, pójść w zapasy ze sławą jego: dlatego też wydał je bezimiennie. »Będzie tak równiejsza walka z Adamem«, wyrzekł przy wiadomej nam już sposobności do matki. Stawiał *Kordyana* wyżej nad wszystkie swoje aż dotąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: »Wyjdzie na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką« — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku do korekty sobie przysłane (dnia 2 stycznia 1834 roku). I miał przekonanie, że »osądził to dzieło swoje po napisaniu obcego człowieka rozważą«.

Nim się dalej zapuszcim w rozpowiadanie o kolejach życia poety, zatrzymajmy się na tem miejscu i pomówmy nieco o tej jego świeżo wydanej publikacji, jakoteż o utworach, które zapewniają wydany przed nią Tom III. Przedsięwzięliśmy sobie bowiem iść w ślady nie tylko za ruchem zdarzeń w życiu jego zewnętrznym, ale i dopatrywać rozwoju wewnętrznej w nim siły, której miarą były dzieła z kolei wydawane.

koszta druku wynosiły 2577 fr. do pokrycia więc wydatków pozostawało przeszło 800 fr.

VII

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tem polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnej? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie.

W wydanym w roku 1833 tomie trzecim Poezyi zajmuje główne miejsce »powieść poetyczna« w dwóch pieśniach, nazwana Lambro. Rzecz wzięta jest z historyi nowogreckiej, z drugiej połowy zeszłego wieku. Lambro był dowódcą Greków, którzy namówieni przez jedno z wielkich mocarstw północnych do zrobienia powstania, zostali następnie pozostawieni sobie samym i niesumienne zdradzeni w chwili stanowczej. Powstanie naturalnie upadło. Przypłacili je strumieniami krwi wytoczonej najdzielniejsi synowie tego ujarzmnionego narodu.

Podjąwszy jako przedmiot do dzieła zdarzenie wzięte z dziejów postronnych, poeta rozminął się z praktyką przestrzeganą i wtedy i dziś jeszcze w literaturze naszej. To też w przedmowie usprawiedliwia to zboczenie swoje z drogi utartej. — »Myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wypadki są tylko szatą, ciążem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata... Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest

podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czem być mogli, a o których nieznajomi mówią, że nie byli niezem«...

Powyższe zdanie Słowackiego o warunkach narodowości w poezyi nie przypadło do przekonania pisarzów zajmujących się w latach owych krytyką. Jeden z najdzielniejszych pomiędzy nimi, mający po sobie powagi tem więcej jeszcze przez to, że był zarazem i sam znakomitym poetą — Goszczyński, zupełnie się inaczej na rzecz tę zapatrywał. On żądał koniecznie, aby w poezyi polskiej nawet przedmiot był swój i własny. To też mówiąc o Słowackim, pogardliwie prawie wyraził się o Lambrze: — »Nad dziełami obcej osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi«.¹⁾

Mnie się zdaje, że słuszność tak stanowczo jest po stronie Słowackiego, że nie ma nawet potrzeby tego dopiero dowodzić. Wprawdzie teoria Goszczyńskiego utrzymuje się dotychczas w praktyce. Zacieśniliśmy więcej może, aniżeli by należało, horyzont poezyi naszej. Przy obecnych stosunkach nie jest to wprawdzie bez pewnych ubocznych korzyści. Ale prędzej czy później przyjdzie chwila, gdzie się to jednak będzie musiało zmienić. W każdym razie godzi się być mniemania, że użyłoby to niwę pięknej literatury naszej, gdybyśmy czasem pomnażali jej plony zasobami czerpanymi z przeszłości przynajmniej innych rodów słowiańskich. Może nas dzisiaj odstrasza od podobnych zetknięć pusta mara panslawizmu. Byłaby to bardzo nieuzasadniona obawa! Jeżeli już nie coś innego, to

¹⁾ Obacz bezimiennie ogłoszoną jego rozprawę „Nowa Epoka poezyi polskiej“ w Powszechnym Pamiętniku Nauk Umiejętności krakowskim, r. 1835. (P. A.)

ostatnie sceny Kordyana, o którym niebawem przyjdzie nam mówić, mogłyby stać za dowód, że bez narażenia się na niebezpieczeństwo obłędów panslawistycznych, można w tych dalszych światach słowiańskich znajdować nieraz przedmioty godne fantazyi Szekspira. Dzieje nasze są czyste, pod etycznym względem nieskończenie wyższe od przeszłości nie tylko innych słowiańskich plemion, ale i wielu dalszych europejskich społeczeństw: ale właśnie przeto ogólne ich znamię stanowi pewna że tak powiem, beznamietność. To też rzadko kiedy udaje się na tem tle wznieść dzieło większych rozmiarów, któreby samą treścią doraźnie działało na wyobraźnię i tchnęło grą tych pasyí gwałtownych, bez których pewne rodzaje poezyi nie mogą się obejść.

Poddając to napomknięcie nawiasowe pod rozagę szczególniej naszych dramatycznych pisarzy, wracam do poematu, o którym mam zdanie moje powiedzieć. Podzielam najzupełniej z Goszczyńskim wstręt, który go powstrzymywał od zapuszczania się w uwagi nad Lambrem. I ja nie mam zamiaru rozpoczynać szczegółowej analizy tego utworu, któremu z mego stanowiska jednakże nie dla tego odnawiam wyższej wartości, że to »dzieło obecj osnowy«, lecz że wykonanie i całe przeprowadzenie obranego przedmiotu uważam za chybione pod każdym względem.

Czego chciał Słowacki, zabierając się do tej pracy? — Powiada on w przedmowie o swoim bohaterze, że »jest to człowiek będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań«. — Obaczmy, czy to prawda.

Rozebrawszy rzecz z pięknych rymów, wierszy, obrazów i tym podobnych przyborów poetyckich, którym nie zarzucić nie można, bo pod tym względem wykonał autor dzieło z całym przepychem: ściągnijmy osnowę poematu do jak najściślejszego streszczenia

i okażmy w suchych słowach, jaki to człowiek dostarczył tu rysów na skreślenie obrazu naszego wieku.

Bohaterem poematu jest młody wódz jednego z tych licznych powstań, jakie poprzedziły wydobycie się ostateczne Grecyi z pod tureckiego jarzma. Miał on być już w którymś z poprzednich ruchów czynny udział: ale wtedy, skoro tylko przyszło do walnej bitwy, skończyło się wszystko dla sprawy tej jak najgorzej. Cały zastęp Greków wyginął. Lambro sam jeden tylko potrafił opuścić pobojowisko przy życiu. Udał on się natenczas na emigracyą — »lecz nie samotny! znalazł się ktoś drugi, co przy nim giermka podjął się usługi«. (Była to Ida, jego kochanka. Odpowiedzialność za ten pomysł niedorzeczny — musi rad nie rad przyjąć tym razem na siebie Byron, protoplasta całej famillii giermków tego rodzaju). — W kilka lat później zaczęło się w Grecyi zanosić na nowy wybuch. Wystąpił w narodzie natchniony poeta Ryga i budził pieśnią swoją ducha z letargu: któreś z mocarstw popierało pomysł powstania: więc przyszło wreszcie do pierwszych objawów jawnej walki między ludnością grecką a rządem. Na pierwszą wieść o tem wszystkiem Lambro emigrant zjawił się w kraju! Powrócił z daleka z gotowem postanowieniem, odegrania w tym ruchu zbrojnym, który się właśnie zaczął, roli naczelnego wodza. Ale zaczyna i to powstanie bardzo rychło doznawać niepowodzenia: pierwsze starcia Kleftów z Turkami wypadły nieszczęśliwie; co gorsza, ów wieszcz narodowy został ujęty w niewolę, i właśnie przygotowuje się scena straszna, gdzie go w skutek zapadłego wyroku mają stracić publicznie.

Właśnie w przededniu tej egzekucyi, schodzi się Lambro w umówionem miejscu z kochanką. (Ida od niejakiego czasu nie dzieliła już z nim wygnania, i spędzała czas w kraju. Teraz, po długiem niewidzeniu,

witają się oni tedy z sobą na nowo). Przy tej sposobności zapoznajemy się nieco lepiej z osobą bohatera powieści. Widzimy w nim rodzzonego brata Mindowy, Botwela, Żmii i t. d. z różnicą chyba, bez jakiej nie znaleźć i dwóch listków na drzewie. Melancholia i sceptycyzm — oto znamiona choroby duszy tego człowieka. Na twarzy przyszłego zbawcy Grecyi »jakiś szatan miesza rozpacz i śmiech szyderczy i cierpienie; a na dobitkę, wyczytuje jeszcze na niej kochanka »ostatni stopień wszystkich nieszczęść... nudę«! — Dalsza rozmowa odsłania, że Lambro został (już po oddaleniu się ldy od niego) korsarzem, nad czem oboje, i ona i on nawet także, ubolewają. Dawniej — mówi Lambro o sobie — byłem innym człowiekiem; ale mię nieszczęście złamało! To też teraz szerzy on śmierć z obojętnością około siebie, jak daleko tylko działa okrętu jego sięgają, i z uśmiechem dziwnej radości patrzy nawet na konanie własnych swych majtków, którzy wiernie dzielą z nim wszystkie koleje losu...

Po tym obrazie Lambra, który pomimo wszystkich starań, jakie podjął autor, żeby go otoczyć urokiem pewnej wielkości, wzbudza jako człowiek odrazę a jako przyszły zbawca narodu najwyższe niedowierzanie: — następuje epizod rzeczywiście oddany z niepospolitym talentem — jedyne miejsce w tym poemacie, które się może i które się musi każdemu kto je czyta podobać, opis wykonania wyroku na skazanym na śmierć poecie. Postać ginącej na szubienicy ofiary oddana jest a bas-relief, niewielu tylko rysami; ale te kilka rysów staje za szczegółową opowieść o całym jego szlachetnym życiu i daje wymowne, tryumfujące świadectwo tym ideałom, którym Ryga wszystko na ziemi poświęcił. — Nie podnosi za to bynajmniej w oczach naszych osobistości głównego bohatera czyn, jakiego Lambro dokonywa właśnie przy tejże egzekucyi,

mszcząc się nibyto za tę krew niesprawiedliwie przebraną. Jest to brawura — może wyborna, żeby dowiesić kwalifikacyi na korsarza, ale niewiele dobrego rokująca o rozumie wodza narodowego! Poeta opisywał to wszystko na nieszczęście w przeciwnym przekonaniu.

Po spaleniu w taki awanturniczy sposób tureckiego okrętu, czeka Lambro, co powie na to naród, i gotuje się do dalszego działania. Ale nim przyszło do tego, żeby się choć był dowiedział, jakie jest usposobienie ludu: — przytrafiło się na jego korsarskim statku, tejże nocy co nastąpiła koniec i karyerze jego jako naczelnika sił zbrojnych powstania narodowego, i... poematowi. Zdarzenie to bardzo naturalne, choć dla czytelnika wcale niespodziewane! Okazuje się bowiem — w drugiej pieśni — że Lambro, oprócz innych przymiotów niekoniecznie potrzebnych wodzom naczelnym, posiadał jeszcze i ten najniepotrzebniejszy ze wszystkich, iż był... nałogowym amatorem opiatu. Poeta starał się tę smutną stronę swojego bohatera ubarwić i osłonić, ile to tylko być mogło. Zamiast powiedzieć otwarcie, że się Lambro po prostu lubił zapijać, wyraża się tedy w tych poetycznych słowach, że

»...Lambro co dnia bledszy o północy
Szaleje trucizn namiętnem piciem
I życie mieni na sen gorączkowy«. ¹⁾

Tym razem — po tem co zaszło — tuż przed czynami, jakich się ojczyzna ma prawo po nim spodziewać — czuje to Lambro, że mu jakoś nie wypada brać i tej nocy czary do ręki... Nadeszła północ: nasz człowiek trzyma się twardo! łamie się z nałog-

¹⁾ P. I. 161—2.

giem, jak tylko może. Ale ludzie tego rodzaju daleko pochopniejsi bywają do walki z całym światem, aniżeli ze sobą samymi! Siebie zwyciężyć nasamprzód, a potem dopiero zapróbować i z drugimi tego samego: — tej zasady Słowacki w młodocianych robotach swoich nie zastosował nigdzie! Tak też miała się sprawa i z Lambrem. Długo on dumał blady samotnie na pokładzie swego okrętu — patrzył w milczeniu na spokojną powierzchnię morza, oświeconą bladem światłem księżyca — bladł coraz bardziej i chwiał się: nagle upadł bez przytomności. Po jakiejś chwili wróciły siły — powstał: — ale teraz gromkim głosem zażądał swojej zwyczajnej czary! — Podano mu ją — wypił. Zbieg przypadkowy okoliczności sprawił tu nieco zamętu. Zamiast pazia, który obsługiwał w razach takich naszego kapitana okrętu, weisnęła się była tym razem do niego przebrana za pazia — lda: ona mu tedy podać musiała fatalną czarę ową, której zażądał. Kiedy ją nalewała, drżała jej ręka i kilka kropel truciźny wpadło do czary więcej, niż należało. Więc nastąpiło, co musiało: otrul się zbawca ojczyzny.

Powyższe streszczenie samej osnowy Lambra uwalnia mię od potrzeby rozwijania uwag i nad artystyczną i nad moralną wartością poematu. Zdaje mi się, że byłby to utwór wyborny, gdyby był wykonany w formie satyry, parodyi, komedyi dowcipnej i gryzącej, słowem czegoś z dążnością szydereczą. Chodzi tu wprawdzie o rzeczy zbyt poważne i wzniosłe, żeby się który z poetów polskich był mógł ośmielić na to. W naszej literaturze takie traktowanie podobnego przedmiotu byłoby niepodobieństwem. Ale gdyby taki Heine na przykład, dla którego nie było rzeczy, z którejby nie baraszkował, był się zabrał do tego: to jestem pewien, że nie potrzebowałby on w całej tej powieści niczego zmienić ani też dodać ni ująć, a byłby wystawił farsę, któraby stanowiła kamień węgielny dla

jego autorskiej nieśmiertelności. Figura Lambra — to typ stworzony dla Heinego! Jako ideał — jest to zero, ladaco: — ale właśnie przeto, że będąc zerem, chce uchodzić za wielkiego człowieka, jest to niewyczerpany materyał dla komika i humorysty...

Na nieszczęście, podług założenia poety, miał to być człowiek, »będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań«. Tak jest, niezawodnie! Usiłowania naszego wieku są bezskuteczne, ale właśnie tylko dlatego, że tacy ludzie, jak Lambro, i w taki sam sposób, jak on, narzucają się społeczeństwu na przewodników, a ono daje im się prowadzić i wyzyskiwać! Nie przeczę tego zatem, że udało się tu Słowackiemu dać dość wierny wizerunek jednego z całej legii tych mniemanych bohaterów, którzy są prawdziwą plagą bieżącego stulecia! Zaszła przy tem jedna tylko mała pomyłka. Poeta stworzył karykaturę, a rozumiał, że stawia ideał! W przekonaniu, że roztaacza obraz poetyckiej wielkości, starał on się bohatera swego uposażyć w wszelkie warunki zapewniające dla postępów jego współczucie i podziw czytelnika: gdy tymczasem odsłania się z pod tych sztucznych osłon wyobraźni autorskiej sama tylko nędza i zgniot moralna tego człowieka, tem przykrzejsza dla oka, że występuje z olbrzymiami uroszczeniami i z dumą, której nic zgoła nie usprawiedliwia¹⁾.

Razem z poematem Lambro zostawiamy po za sobą okres Słowackiego byronski (a raczej pseudo-

¹⁾ Prof. Tretiak w swej rozprawie: „O bajronizmie w poezyi polskiej“ (Tydzień Lwów 1879) poświęca ustęp Lambrowi i wykazuje w nim oprócz zemsty inny jeszcze pierwiastek byroniczny a mianowicie: przesyt i nudę. — Ob. nadto w dziele M. Zdziechowskiego: „Byron i jego wiek“ (II 416—21) kilka trafnych uwag o Lambrze; poprzednio wypowiedział je autor w książce „Messyjańści i Słowianofile“ (Kraków 1888).

byroński), i przechodzimy do naturalniejszych natchnień i do więcej przynajmniej samodzielnych kierunków w jego zawodzie. Bez symptomatów pewnej chorobliwości nie obyło się i w tem drugim stadium u niego; ale przynajmniej była to już chorobliwość własna — chorobliwość, jakiej w owym czasie podlegali tysiacy. Zbliżył się więc poeta nasz więcej do usposobienia ogółu. Pierwszym czynem na tej nowej drodze był Kordyan. Pod każdym względem możnaby go nazwać słupem granicznym pomiędzy pierwszą dobą poety a drugą.

Dziełem tem więcej przekonał Juliusz naród o swem niepospolitem uzdolnieniu poetyckiem, aniżeli tem wszystkim razem, co wydał poprzednio. Kordyan wyszedł bezimiennie. Nie od razu zdołano się domyśleć, kto jego autorem. Podobno mieli być tacy, którzy w pierwszej chwili przypisywali go Mickiewiczowi.

»Mój śpiew ostatni — pisał autor Kordyana niebawem po jego ogłoszeniu do matki — jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednym z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór pochlebny — o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może, a ta przeciwna mi partya, są to nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam. Od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moją Adamowi. Oto wyjątek z listu do mnie pisanego: — »Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczem, Ogiński rzekł: to przynajmniej wiemy, że Pan chce to mieć tajemnicą¹⁾. — W drugim liście (mówi dalej Słowa-

wacki) pisze mi jeden ze znajomych: — »Z Memla, dokąd egzemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiem uniesieniem — i biorą to za pracę Adama«. — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moją pracę przypisują innemu. Znać uprzedzenie naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka.... (Z listu z d. 27 kwietnia 1834 r.¹⁾).

Do mniemania takiego (jeżeli to wszystko prawda) przyczynić się mogło niejake podobieństwo w zewnętrznej formie pomiędzy Kordyanem a wydaną niedawno przedtem Częścią III-cią Dziadów Mickiewicza. I jedno i drugie dzieło jest nieregularnym, niescenicznym ułożonym, lecz za to wielkiej lirycznej siły dramatem. Jest nawet pewne pokrewieństwo i w całym pomysle. Na okoliczność tę atoli zbyt wiele przyecku kłaść nie należy: pokrewieństwo to bowiem wynikało z intencji, w jakiej Słowacki zabrał się do napisania Kordyana. Chciał on, jak to już wyżej okazałem, dziełem tem — rzuciwszy niejako rękawicę Mickiewiczowi, iść z nim o lepszą. Mickiewicz stworzył w postaci Konrada wizerunek najszlachetniejszych i zarazem do najwyższego stopnia siły i natchnienia podniesionych wysień, właściwych generacyi współczesnej. Bohater jego, póki jeszcze nosił imię Gustawa, wplątany był we wszystkie potoczne stosunki świata i doznał najdotkliwzych bólów, jakie tylko mogą zranić serce zwyczajnej jednostki w społeczeństwie. Przesiliwszy się w duchu, czyli jak to poeta wyraża: przerodziwszy się w Konrada, bohater Dziadów podniósł się po nad poziom tych wszystkich pragnień i zawodów osobistych i wy-

Słowackiego znając jego słabość, miłość do nowych dzieł, rozpuszczali bajki, aby brak pochwał rzetelnych czem bądź zastąpić, (Notatka Eust. Januszkiewicza). (P. A.)

¹⁾ L. I. 235—6.



¹⁾ »Kordyana za utwor Mickiewicza nikt nie brał. Ogiński, co się introligatorstwem na emigracyi trudnił, pewnie przez czas swego pobytu w Paryżu jednej książki nie przeczytał. Przyjaciele

łącznie poświęcił życie ojczyźnie. Pragnie ją »dźwignąć i uszczęśliwić«: lecz nim przystąpi do czynu, żąda od Boga.... rządu dusz! Konrad czuje się nieśmiertelnym i jako Bóg sam wszechwładnym myśla własną, »której ludzkie mu nie dali«, »tą myślą, co niebiosom pioruny wydarła«. Czuje się w sobie równym Bogu uczuciem, »co się samo w sobie chowa — jak wulkan, i tylko dymi niekiedy przez słowa«. Ale temi dwiema dźwigniami, dopóki one w nim samym tylko zawarte, nie spodziewa on się ani przemóc ani podnieść odrętwiałego ciężaru martwej bryły, jaką mu się być wydaje w danych stosunkach cała masa narodu. I dlatego żąda od Boga potęgi, żąda bezpośredniej, nieograniczonej, choć niewidzialnej władzy nad duchami ludzkimi....

»Ja chcę władzy! daj mi ją lub wskaż do niej drogę!
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wyrzucić na ludzkie dusze!«

Konrad chce nad bliźnimi władzy doraźnej, i to nie za pośrednictwem pieśni, ani wiedzy, ani siły zbrojnej, ani nawet cudów:

»Chcę uczuciem rządzić, które jest we mnie,
Rządzić jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie:
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepatną!«

Ponieważ zaś tej potęgi nadludzkiej nie otrzymuje Konrad od Boga; wpada w szal rozpacz i zaczyna wątpić o dobrej woli Stwórcy. Ośmiela się do bluźnierstwa:

»Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością —
Ty jesteś tylko mądrością!«

To jest najwyższy zenit, do którego się wznosi bohater Dziadów, przynajmniej w wydanej części dzieła. Bóg nie zsyła na niego kary za tę pychę i za takie buntownicze wypowiedzenie posłuszeństwa niebiosom, albowiem płynie ona u niego z miłości kraju, z nieszczęścia.... zresztą modlą się za nim anieli i dobrzy ludzie (matka zmarła Konrada, ks. Piotr, Ewa). I pozwala Konradowi — po uznaniu kornem obłędu — wyjść z tych walk ducha czystym, rozgrzeszonym i nawet przeznaczonym w przyszłości do wielkich rzeczy. Ale do spełnienia tych obietnic nie przychodzi w tej części dzieła, tak iż Adama ideał, jak tu jest dany, ostatecznie nie wychodzi z po za sfery samych tylko zamiarów, pragnień i uczuć.... I jeżeli walczy, to chyba z Bogiem walczy, a nie z temi potęgami ciemności, nie z temi monstrualnościami wieku, na powaleniu których właśnie zależy.

Otóż Słowacki podjął umyślnie w dziele swoim właśnie tę myśl w powyższy sposób wytoczoną przez Mickiewicza, ale zamierzał wykonać ją po swojemu i o tyle lepiej, że wprowadził bohatera swojego właśnie w ten zakres, w jakim Konrada nie widzimy, to jest w zakres czynów. Punkt wyjścia zatem jeden jest u obydwojch poetów; ale ludzkie ich różni i zawody ich różne. Słowacki nie mógł spodziewać się osiągnąć wyższości nad swoim współzawodnikiem ani potęgą natchnienia, ani artyzmem, ani wykonaniem szczegółów; bo to wszystko było tak niezrównane u niego, że wszelka chętką do walki z nim na tem polu byłaby chyba lekkomyślnością. Słabszą stroną Dziadów jest ich ogólny pomysł — niejasno i niecałorzucony! To też w tem tylko mógł upatrywać Słowacki możność jakiegokolwiek korzyści swoich nad nim,

że zamierzył bohatera swego dalej doprowadzić w zawodzie podjętych usiłowań, aniżeli się w Dziadach Konrad na drodze swojej posunął. A zarzutu, że się przedmiotem zanadto zbliża do Mickiewicza, zarzutu tego się autor Kordyana nie mógł obawiać. Boć umyślnie i samoświadomie i wręcz wyzywając Adama do walki, wytoczył ideę jego na nowo jakby przed sądy drugiej instancyi.

Skorośmy już wpadli na ten trop uwag dotyczących genezy obecnego utworu, niech mi wolno jeszcze będzie zwrócić uwagę na inne dzieło, które równie, a może nawet więcej jeszcze wpłynęło na wyobraźnię poety w chwili, kiedy obmyślał układ Kordyana. Mówię o poemacie Stefana Garczyńskiego *Wacława Dzieje*. Kto tylko dwa te dzieła zechce porównać ze sobą, to niepodobna żeby go nie miało uderzyć dziwne podobieństwo pomiędzy niemi. Wartość artystyczna Kordyana wprawdzie nieskończenie jest wyższa. Ale założenie, główny pomysł i zamiar artystyczny w obydwóch tych utworach jest niewątpliwie i oczywiście — jeden tylko. Charaktery wprawk głównych figur znacznie się różnią. Wacław — to filozof, myśliciel; wrodzonym usposobieniem swoim więcej na Fausta albo na Hamleta zakrawa. Kordyan przeciwnie jest marzycielem namiętnym i entuzystą. — w pierwszej wiosnie życia podobny do Wertera, w dalszej młodości przypomina Manfreda; w głównej zaś akcji, w sile wieku (w III akcie) — nie wiem do kogo bym go porównał.... Śnać jest on tu tylko Kordyanem, jest tem, czem go mieć chciał poeta, typem samostannym i własnym. Przy tak różnych charakterach atoli, zamiar i role obydwóch tych ludzi godzą w jedno i to samo. Niemniej szczegóły i postaci podrzędne tak się w obu poematach wzajemnie przypominają, że niepodobna, żeby się miały rzeczy te spotykać ze sobą zupełnie przypadkowo. Tak na przykład

cała ta scena na czele Juliuszowego dramatu, nazwana *»Przygotowanie«* — to tylko bujne i fantastyczne rozwinięcie idei, która u Garczyńskiego wcielona jest w jedną osobę, w osobę *»Nieznajomego«*. A ten spisek koronacyjny, służący i tu i tam za punkt centralny, za oś, około której toczy się wszystko! A ta piękna postać starca, jaśniejąca zapalem i srebrnym włosem tak wydatnie na tem tle ciemnem tajemnych obrad.... Wszystko to są szczegóły, które — trudno przypuścić, żeby miały być bez wszelkiej zawisłości wzajemnej.

(Gdyby poemat Garczyńskiego wyszedł był później, aniżeli Kordyan: byłby to tylko plagiat, plagiat bardzo błady. Tak jednak nie było. Wacław jest dziełem rychlejszem. Czy go Słowacki znał, pracując nad swoim dramatem? — Mnie się zdaje że go znać musiał.

Wacława Dzieje pisane były w Dreźnie, w ciągu roku 1832, a wyszły z druku w Paryżu roku 1833 w miesiącu czerwcu albo najpóźniej w początkach

¹⁾ Kordyan zatrudniał myśl Słowackiego już w ciągu wiosny tegoż roku (1833). W środku lipca już był plan jego gotowy. Rzecz ostatecznie jednak spisana została dopiero w miesiącach jesiennych. Nie było tedy niemożności fizycznej, dla którejby mu nie miał być znany utwór wielkopolskiego poety, przed ostatecznem dokonaniem Kordyana. Niemożność ta znika do reszty, jeżeli wspomnimy, że Stefan Garczyński przez ciąg tegosamego lata bawił w Szwajcaryi, a nawet spędził czas niejaki (miesiąc sierpień) w samejże Genewie wraz z Mickiewiczem, który go tu (po raz ostatni przed jego śmiercią) widzieć przyjechał

¹⁾ Wyrozumieć to można z dat listów Mickiewicza do Garczyńskiego pisanych w sprawie drukujących się właśnie jego poezyi. (P. A.)

z Paryża. Czy się Juliusz przy tej sposobności zapoznał osobiście z Garczyńskim, tego nie wiem i wątpię, żeby było przyszło do tego. Bytność autora Dziadów w mieszkaniu Garczyńskiego nie mogła go do zabrania tej znajomości zachęcać. Zresztą Słowacki nie był pochopny do pierwszych wizyt, a Garczyński znowu był już natenczas bardzo cierpiący i zapewne także nowych znajomości nie szukał. Z tem wszyskiem nie mogło być bez tego, żeby ta jego bytność w Genewie, choćby za pośrednictwem trzecich osób, nie była miała zwrócić uwagi Słowackiego na niego i na świeżo wydane jego poezye w Paryżu, których egzemplarze musiały się rozejść wtedy i pomiędzy Polakami bawiącymi w tem mieście. W kilka miesięcy po zgonie już Stefana Garczyńskiego (w liście z d. 3 stycznia 1834 roku) donosił Juliusz matce o nim w następujących wyrazach:

»Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński. Wydał dwa tomiki, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcej jeszcze nadziei: ale nieszczęściem suchoty zniszczyły go — i umarł. Ciągłe wzdychał do Neapolu i miał nadzieję, że tam dojechawszy uzdrowi się; ale nieborak w drodze w Awinionie życie zakończył«¹⁾.

To wspomnienie pobieżne, pisane właśnie nad korektą drugiego arkusza Kordyana, którego mu w ciągu druku dosyłało dla kontroli z Paryża — są to, zdaje mi się, słowa człowieka, który nie znał się osobiście z autorem i co o nim wiedział, to od trzecich osób (inaczej bowiem byłby ciekawych szczegółów niewątpliwie więcej o nim udzielił), ale który niezawodnie czytał jego poezye. Jeżeli zaś znane mu

były takowe w pierwszych dniach roku 1834: to dla czegoż nie miałby ich być znać i jaki kwartał rychlej?

Nie przeto mówię o tej okoliczności, żebym chciał z tego punktu widzenia uwłaczać w czemkolwiek autorowi Kordyana. Mimo to wszystko bowiem konkurencyi pod artystycznym względem z Wacławem to dzieło obawiać się żadną miarą nie potrzebuje. Lecz ciekawą zdaje mi się być rzeczą dochodzić, gdzie tylko na to pozwalają okoliczności, niewiadomych zażwyczaj wpływów, jakie towarzyszyły poczęciu dzieł poetyckich. Ileż światła rzucają na tę zagadkę geniuszu nieraz szczegóły wiadome o Szekspirze.

A krom tego jest jeszcze jedno, czego milczeniem tu pominąć nie można. Kiedy Mickiewicz, w Paryżu jeszcze, zajęty był właśnie drukiem poezyi Garczyńskiego, pisał on do niego z powodu *Dziejów Wacława*, co następuje:

»Niezawodnie pokazuje się, że więcej przez Twoją głowę przeszło myśli, niż przez moją, choć ja moje wiele lepiej wyrobiłem. Ileż wierszy w Wacławie, nad którymi dumam jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i w przód wyjechać, nim tę koleinę wygrzyzły! Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrości poetyckiej; ale mnie się zdaje, że gdyby Wacław był nie Twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi. Teraz — Kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Możesz być pewny, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi«¹⁾.

Że się nie pomylił Mickiewicz, iż myśl dzieła tego leżała rzeczywiście w usposobieniu czasu: tego najwymowniejszym dowodem okoliczność, na którą

¹⁾ L. I. 221. Garczyński umarł d. 20. września 1833 r.

¹⁾ List Mickiewicza do Garczyńskiego z Paryża dnia 12 stycznia 1833 roku. (P. A.) Nader ciekawe szczegóły objaśniające

zwracam właśnie uwagę. Widzimy bowiem, że w tym samym niemal czasie zajmował ten przedmiot wyobraźnię i naszego poety. W ciągu rozmyślań nad nim wpadła mu w ręce praca Garczyńskiego. Kreacya ta ożywiła jego imaginację i dorzuciła żywiołów palnych w ognisko, które już i bez tego gorzało. Kilka zarodków gotowych wniosła w ramy jego obrazu. Ale zarody te przybrały tu dziwną bujność, pod wręczem czuciem genialniejszego ducha. Co u Garczyńskiego jest tylko napomknięte, niedonoszone w wyobraźni, mgliste, niekiedy chorobliwe: to się ukazuje w utworze Słowackiego, przynajmniej pod artystycznym względem, rozwinięte do pełni i wykonane plastycznie. Nawet i po za obrębem względów na artyzm, mała jest wartość Wacława w porównaniu z tem dziełem. Garczyński jeszcze w najlepsze byronizuje, Słowacki właśnie się z pod wpływu tego otrząsnął. Garczyńskiemu się bohater jego wydaje tytanem — ideałem skończonym.... a kiedy nie wie, jak nieudolność jego usprawiedliwić, radzi sobie w taki sposób, że oto — urywa dzieło w pośrodku! Autor Kordyana podobny jest do niego w pierwszej połowie swego dramatu. W trzecim akcie.... spostrzegł się i osądził swego człowieka.

Te kilka myśli ogólnych niechaj zastąpi to wszystko, co w dalszym rozbiorze Kordyana zdawać się może

sądy Mickiewicza o Garczyńskim i stosunki przyjacielskie dwóch poetów, przynosi piękna praca Tadeusza Piniego: „Rękopis poezyi Garczyńskiego w przerobieniu przez Mickiewicza”. (Pamiętnik Towarzystwa lit. im. A. Mickiewicza T. VI. str. 435—480). Wykazuje w niej autor jak najdokładniej, ile to poprawek i dodatków w poematach Garczyńskiego pochodzi z pod pióra Mickiewicza. Współpracownictwo to jednak nie przynosi ujmy poecie, bo sława autora „Wizyi” i „Nabożeństwa tegoczesnego” nie na piękności rymów polega, ale opiera się na innej trwalszej podstawie: na podniości myśli i szlachetności dążeń.

będzie nie dość dokładnem. Są okoliczności — łatwe do odgadnienia, które nie pozwalają na zupełnie swobodne traktowanie tego przedmiotu. Zresztą był to tylko ułamek większej całości, do utworzenia której nie przyszło. Autor zapowiedział trzy takie dzieła, pomiędzy sobą związane węzłem trylogii. Trylogia ta, jak z prologu czyli »Przygotowania« na czele umieszczonego wnosić trzeba, miała obejmować wypadki z przed roku 1830, z czasów samegoż powstania, i zapewne z dalszych lat potem. Kordyan stanowi tylko część pierwszą trylogii. Dalszych części niema. Materiał części trzeciej zdaje mi się, że wpłynął w głównych zarysach w utworzonego nieco później Anhellego. Środkowy dramat pozostał niezapełnioną próżnią. Jego osnovy nawet się domyslić nie można, chociaż surowy materiał jest każdemu wiadomy.

Jeżeli by się jednak godziło, odgadującym sposobem rzucić zarys ogólnej myśli, na tle której ta obszerna budowa miała się wznieść: to napomknienia tu i owdzie spotykane w części pierwszej upoważniają przypuścić, co następuje:

Żyjemy w wieku materyalnym, karłowatym, upadłym, w wieku, w którym się nie światodziejowego nie dokonywa w ludzkości. Jest to dzień wypoczynku Stwórcy po pracy, dzień siódmy, sabat myśli bożej w tworzeniu dziejów powszechnych:

»Bóg przez sześć dni dziejowych stwarzał ziemskie ludy,
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Ludy;
To była ziemia — na niej wyrosły narody.
W drugim dniu — porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim — jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym — wzleciały orłów rzymiańskich znamiona:
To były ptaki; — a na dnia piątego końce

Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona —
W szóstym — człowieka zlepił Bóg: Napoleona!
Dziś dzień siódmy — Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył!¹⁾

Słowa te znajdujemy wyrzeczone w VI-tej scenie aktu III-go, przez figurę fantastyczną, która tam ma nazwę »Doktora«, a którą oczywiście jest Szatan. Przybywa on do szpitala, ażeby i kusić Kordyana i naigrawać się z niego. Zdawaćby się wprawdzie mogło, że ponieważ Szatan to mówi i to jeszcze w takim zamiarze: nie jest to przeto nic więcej, jak tylko prosty fałsz, sofizmat, przypuszczenie przewrotne, nie mające żadnej spółki z rzeczywistym pomysłem autora. Tak jednak nie jest. Poeci zwykli — jak wiadomo, dawać nieraz i demonom mimowolnie wypowiadać ukrytą prawdę. Są to zazwyczaj prawdy gorzkie dla ludzi, ale zawsze prawdy. Przypomnijmy sobie tylko Mefistofelesa w Fauscie. Ma się rzecz podobnie i w razie obecnym. Doktor Słowackiego rzuci wprawdzie w scenie tej wiele i zdań bałamutnych, bezwarunkowo obłądnych. Ta jednakże myśl jego spływa doskonale z całym założeniem poematu, i jeżeli się różni od innych miejsc podobnych w »Kordyanie«, to chyba tylko tem, że rzecz jest tutaj wręcz wyrzeczona i nazwana po właściwem swoim imieniu. Taki wypadek wynika też ostatecznie z całego przeprowadzenia dzieła — do tego stopnia — że bez tego klucza zrozumienie celu jego wcale byłoby niepodobnem.

My na ostatni punkt tego dyktu piszemy się. Jest on niestety — de facto co się zowie prawdziwy! Ale zobaczmy, co idzie za tem.

¹⁾ P. II. 306. Ob. ustęp niniejszej książki na str. 197—8.

Kiedy więc w myśl założenia poety ta siła twórcza, dodatnia, boża, która kieruje biegiem świata, obecnie wyjątkowo odpoczywa po pracy i nie tworzy nic: poczuwają się do tem większej czynności w wieku obecnym demoniczne potęgi. Pragnienie i zabiegi tych potęg zawsze ku temu zmierzają, ażeby się niweczyło w samym zarodzie to wszystko, czego ludzkość pragnie i za szczęście swoje uważa. W tym też celu i teraz przystępują one do dzieła. Pierwszy ustęp Kordyana, nazwany Przygotowanie, odsłania właśnie te ich roboty. W samej chwili poczęcia się wieku obecnie bieżącego, w nocy z dnia 31 grudnia 1799 na 1 stycznia 1800 roku, zgromadzają się na ustroniu, w chacie niegdyś Twardowskiego, najprzedniejsze mocy szatańskie i przygotowują zapas kierowników narodowych na cały wiek dziewiętnasty:

..... »Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego ciekłu.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każdą rządu dziurę¹⁾.

Oczywiście wychodzą z tego kotła szatanów same osobistości zdaniem poety niedołęzne, wsteczne, potrzeb wieku niepojmujące, jeżeli zgoła nie napiętnowane czem gorszem jeszcze. I tak nasamprzód otrzymuje tam sankcya na wielkiego człowieka XIX wieku — Chłopecki. Na dalszych kierowników wydarzeń, które mają nastąpić, przeznaczeni zostają: Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel, nakoniec Krukowiecki. Obok nich je-

¹⁾ P. I. 232.

szece zostaje przygotowaną dla tem pewniejszej zguby narodu cała zgraja świetnych bohaterów salonu i brukotłuków (>wymuskani rycerze - ospalcy<); niemniej i tłum niezliczony krzykaczów i intrygantów (<co narodowej chwycą się mównicy — dyplomatycznych mówców plemię<)...

O takich siłach ma się tedy snuć odtąd wątek spraw, dotyczących żywotnej kwestyi jednego z głównie w stuleciu tem do działania powołanych narodów — aby się dokonało, co przepowiedziało piekło, że >wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany<....

W jaki sposób winy tych wszystkich ludzi, tak lekkomyślnie stawionych na jednej linii ze sobą, zamierzał autor w dziele swoim rozwinąć i udowodnić — na wyrozumienie tego braknie nam wszelkiego punktu oparcia. Ich role przypadają prawie bez wyjątku dopiero na czasy, które miały być pomieszczone w ramach dalszych obrazów, składających tę trylogią. W Kordyanie — wyjąwszy jednego Niemcewicza — kończy się wszystko na tej ryczałkowej kondemnacie, rzuconej na nich w prologu bez żadnego tejsze poparcia. Gdyby autor był poprzestał na twierdzeniu, że tak usiłowania Chłopickiego, jak ks. Czartoryskiego i wreszcie Lelewela w roku 1831 były nadaremne; że kroki ich były nieodpowiednie celowi i t. d. nie mielibyśmy nic przeciw temu do powiedzenia. Ale wystawiać w nich istoty, z piekieł przysłane na zatrąę narodu: to cokolwiek gruba przesada. Gdyby która z osób nazwanych była autorem powstania; gdyby się byli okazali chciwymi władzy; gdyby ją byli prze-mocą lub podstępem sobie przywłaszczyli, odtrącając od steru innych, zdolniejszych, a po tem wszystkiem okazali niezdolność, złą wolę albo złą wiarę: — wtedy można by składać na nich odpowiedzialność za wszystko i godziłoby się pocie wprowadzać ich w dzieło swo-

jem w taki sposób, jak to jest wszystko uczynione w Kordyanie. Tak to jednakże nie było. Na tę genezę z kotła szatanów zasłużyli sobie zatem chyba zupełnie inni! Powziąć lekkomyślne postanowienie — wykonać je gorzej, niż niedorzecznie — rozdmuchać pożar — potem niewiedzieć, co z nim począć — w braku lepszej rady przyjsć do ludzi, których ani wiek, ani stanowisko, ani wyobrażenia, ani tradycye nie były potemu, żeby mogli uwierzyć w dzieło, z którem nie mieli żadnej wspólności, i powiedzieć im, na klęczkach i upominając, z prośbą i groźbą: teraz ty prowadzić musisz, bo ty masz zaufanie w narodzie, a my go nie mamy! — nareszcie po wszystkiemu winić ich i przeklinać za to, że się ta z góry i w zarodzie samym zwichnięta robota nie udała: — to wszystko dzieć się może tylko w społeczeństwie, tak zupełnie pozbawionem zmysłu politycznego, jak nasze!... Na obronę Słowackiego wprowadzić powiedzieć można, że takie wtedy były wyobrażenia o tem powszechnie. W takito sposób odbywały się sądy o rzeczach i o ludziach z roku 1831, przez kilka lat potem, wśród całej emigracyi, a nawet po większej części i w kraju. Łagodzi to niezawodnie zarzut zrobiony temu ustępowi Kordyana. Ale monstrualność założenia całego dzieła dlatego się nie naprawia.

Większej jeszcze niesprawiedliwości dopuścił się autor Kordyana przeciwko Niemcewiczowi, o którym dlatego tu z osobna mówię, ponieważ jego jednego tylko wina jest w zupełności niby odsłonięta i przeprowadzona w dramacie. — Mówi o nim Słowacki w prologu w takich wyrazach, że się wierzyć nie chce, żeby się to do Ursyna odnosić mogło:

. . . . >Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą

Na pół zastygła, przegniła —
 Poeta — rycerz — starzec — nie,
 Dziewięciu Feba sułtanie
 Eunuch* i t. d ¹⁾.

Że nie kto inny jednak, jak ten mąż, pod tylu względami dobrze ojczyźnie zasłużony, jest tu rozumiany, to się dowodnie okazuje w IV-tej scenie aktu trzeciego, gdzie mniemana jego zbrodnia jest skreślona śmiałym pędzlem i bez ogródki. Wystawiony tam jest Niemcewicz jako Prezes knowań (z r. 1829), które się miały odbywać w podziemiach kościoła św. Jana w Warszawie.... Pomimo wyraźnego zamiaru poety, ażeby rola, jaką tam wypadło starcowi temu odegrać, wiekuście go potępiała: postać Ursyna występuje tam po nad tłumem zebranych zapaleńców tak czysto, tak posagowo i z taką szlachetnością, że nie można mu było wystawić piękniejszego pomnika, jak ową właśnie sceną Kordyana.

Ale wrażenie takie sprawia ten ustęp tylko w umysłach głębszych. Czytelnik nierozumny, z rzeczami najświeższych dziejów kraju źle obeznany, rzuca czytając to miejsce, na siwe włosy starca tesame gromy, jakie na niego myślał że rzuca poeta, kiedy je pisał. I byłże jaki, choćby najmniejszy powód do tego wszystkiego? To już polega na czystym urojeniu! Nie widzę potrzeby rozwodzić się nad samym spiskiem koronacyjnym, który tu stanowi główny przedmiot. Był to pierwszy w nieskalanych jeszcze wtedy dziejach naszych, szalony — na szczęście, nie czyn, lecz tylko czynu zamiar. Co o nim nasz autor włożył w usta Prezesowi sprzysiężonych, co u Garczyńskiego mówi przeciw tej robocie »Nieznajomy«, uważany

przez tamtego poetę wskutek dziwnego pomieszania pojęć równie za wroga dobrej sprawy, jak nim jest u Słowackiego Niemcewicz: — wystarcza to zupełnie do ocenienia i moralnej projektu tego wartości i nawet praktycznej jego pożyteczności w bezpośrednich i dalszych skutkach. Tego jednego wszelako milczeniu tu pominąć nie można, że choćby tam sobie zresztą każdy rozumiał o tych zamysłach z roku 1829, co mu się żywnie podoba: to w każdym razie wmieszany tu w nie został Niemcewicz — co się zowie, jak Piłat w Credo. Nie miał on z nimi nic zgoda do czynienia! Że plany te spełzły na niczem, temu Niemcewicz nie winien! — jedynym tego powodem był brak energii i odwagi, kiedy nadeszła chwila działania, u samych autorów tego projektu ¹⁾,

Śmiało zatem powiedzieć można, że cała ta część Kordyana wypadła jak najfatalniej. Autor nie znał faktów, a pozwolił sobie, idąc za utartym przykładem drugich, rzucić (nibyto *pro bono publico!*) potępienie na starca, który całe życie poświęcił dobru narodu, a w mniemanej owej zbrodni żadnego nie miał udziału. Ironia losu zrządziła, że spotkało to właśnie człowieka, który z taką gościnnością przyjmował niegdyś w Ursynowie młodego autora Mindowy. Postąpił więc sobie z nim Słowacki gorzej jeszcze, aniżeli Mickiewicz w Dziadach z jego ojczymem. Mogli sobie obaj podać teraz ręce do zgody: krzywda nie powinna boleć takiego, który ją i sam drugim lekkomyślnie wyrządza.

Rzuciliśmy ogólny zarys pomysłu, na którym zdaje się że miała stanąć cała budowa trylogii. Teraz powiedzmy zdanie nasze o części jej wykonanej, a mianowicie o samymże bohaterze utworu.

¹⁾ P. I. 284

¹⁾ Bliższe szczegóły o tem wszystkim podaje w dziele swoim Mochnacki. (P. A.)

Na tle wieku, z góry potępionego za karłowatość i niejako skazanego na to, żeby w dziejach minął bez wieści, stworzył poeta postać, która przerasta małość duchową ludzi tych generacyi, i czuje nędzę takiego życia, i pragnie je czem wznioślejszem zapełnić, i rzuca się z jednego kierunku w drugi.... ale klątwa wieku położyła znamię swoje i na tym duchu. Jest to natura głębsza, ale chora na duszy: jest to entuzysta, ale nie charakter; jest to bohater, ale o słabych nerwach. Reszta tłum — najszcześniejsza z tego kału, w którym brnie — nie żąda i nie chce od nikogo poświęceń. Ani rozumie, ani też nie popiera wysileni podobnych ludzi. Tym zaś braknie znowu tej siły, przelania swego zapału w ogół. Gore tedy cały ogień w ich własnem wnętrzu, gore płomieniem jaskrawym, ale słomianym, racowym: to też nim jeszcze nadejdzie godzina — cała moc ducha i ciała u natur takich zwęglą się w popiół.

Kordyan Słowackiego nibyto łączy w sobie prawie wszystkie znamiona wielkości. Wzgarda życia, gotowość do ofiar, żądza sławy, dzielność i duma szlachetna — są to niezawodnie warunki niezbędne człowiekowi, mającemu pełnąć społeczeństwo nowymi tory. Pomimo tego wszystkiego, odstąpił w nim umysłnie i z całą świadomością poeta także i własności ujemne, niedostatki, dla których owe zarody wyższości w duchu Kordyana nie dopełniają się do rozmiarów prawdziwej wielkości charakteru, na jaki się niby zanosí. W ogóle jest coś spaczonego, jest i coś z sobą sprzecznego w tym duchu. Szuka on pola szerokich działań i nie wzdryga się przed żadnymi trudnościami: a w każdej jednakże sprawie hamują go jakieś pęta, staje mu na przeszkodzie jakaś siła, której nie zwalczyć. Te pęta, te siły jemu na przeszkodzie stojące — one wynikają głównie z niego samego. I w tem też właśnie tragiczność jego zawodu.

Jedną z głównych takich ujemnych własności w charakterze Kordyana jest melancholia. Melancholia ma to wspólne z refleksją, że jak jedna tak też i druga, jeśli przemożnie i wyłącznie opanuje człowieka, zabija w nim wszelką zdolność do ostatecznego działania. Hamlet Szekspira przez ciąg całego dramatu morduje się ze skrupułami bezdennej jakiejś refleksyi, i przez to właśnie nie dochodzi wcale do powzięcia żadnego postanowienia. Podobnie ma się rzecz z melancholią. Komu się smutek wpije aż w samą rdzeń serca i zamieni w drugą u niego naturę: takiego człowieka dzielność duchowa jest jakby znurtowana. Każde silniejsze wstrząśnienie wystarczy, aby odstąpić niemoc na zewnątrz takiej wiecznie w sobie tylko pracującej natury.

»Wiercie mi, wiercie ludzie! jam jest wielki, mocny«

mówi Kordyan w chwili najwyższego zapału do sprzyśiężonych, w scenie owych narad prowadzonych w podziemiach kościoła. Kładzie mu poeta wszelako w usta natychmiast takie słowa, które to zapewnienie potężnie ograniczają:

»Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczem —
Robak smutku mnie gryzie.... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami!«¹⁾.

W ogóle zdaje się, że było zamiarem Słowackiego okazać jakąś sentymentalną miętkość w naturze swojego bohatera. Kiedy naprzykład już postanowił Kordyan wziąć na się wykonanie czynu, który zdaniem jego przyniesie dla ojczyzny zbawienie, ale

¹⁾ P. II. 286.

dla niego śmierć: — widzimy go w owej chwili w takim oto usposobieniu:

PREZES.

»Na Boga Kordyanie,
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie —

KORDYAN.

To nie! starcze. To włos mi siwieje i boli —
Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa;
To nie. — Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I róże. — Potem spadnie też rześzystych rosa,
To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —
Ona — jak w grobie. — Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym¹⁾. i t. d. ¹⁾.

Jest to przesłiczne miejsce i niezawodnie jedno z lepszych w dramacie. Wątpliwości nie podlega, że takich rozpaniętych zdolna być może tylko natura poetyczna, głęboko czująca, najidealniej szlachetna. Ale jeżeli to jedno pewne, to równie będzie pewnem i owo, że kto już tak fantazyjuje przed czasem, kto tak ze łzami rozbiera swoje poświęcenie, samotność i ofiarę, zanim jeszcze dzieła dokonał, i z takim usposobieniem przystępuje do rzeczy: ten jej pewnie nie potrafi dopełnić! Entuzjazm, serce, w ogóle władze duchowe będą go parły do czynu; ale ciało samo, fizyczność, nerwy rozigrane temu się oprą. A natenczas opadną go dokoła wspomnienia, widma, strachy jakies w wyobraźni rozkołysanej wylęte.... i taki

¹⁾ P. II. 292—3..

zamęt powstanie w głowie takiego człowieka, że owo z taką niby pewnością siebie powzięte i zapowiedziane jego postanowienie niepodobna żeby się mogło skończyć inaczej, jak tylko w sposób tej sceny, co potem następuje w dramacie, w sposób mówię sceny V-tej aktu III-go (w przedpokoju komnaty carskiej),

Są i inne jeszcze strony w charakterze Kordyana, których niepodobna nazwać inaczej, jak chorobami wieku, a które i sam już autor świadomie odślonił jako braki i niedostatki. Patrząc na człowieka tego z pewnego oddalenia, biorąc duchowy jego wizerunek w całości: każdy powtórzyłby do niego to, co mu mówi spowiednik jego w więzieniu:

»Synu! powstań z prochu

I leć do Boga, ale przebacź światu!

Bóg cię wyrwa z łwiej paszczy i z lochu,

W którymbyś uwiłł nakształt młodego kwiatu¹⁾.

Zważywszy jednak na ten brak miłości ludzkiej, zdradzający się mimowolnie w wyznaniu Kordyana, które on składa spowiednikowi nibyto w formie skargi, że nie ma nikogo na świecie, któremu by miał coś do przekazania.... że nikt z ludzi nie był dla niego przyjacielem: zważywszy na to, co mu Kordyan dalej oświadcza, iż słyszy jakiś głos tęskny w głębi ducha swojego, który

»Pamiętek woła i śladu na świecie²⁾,

to w każdym razie niepodobna niewidzieć i tego, że wiele w tej naturze jest niekonsekwencji i jak na

¹⁾ P. II. 314. ²⁾ P. II 314.

bohatera narodowego, za jakiego on sam chciałby siebie uważać — nader drobnoucznych, acz zresztą wcale ludzkich i poetycznych nawet podnieć. Jeżeli bowiem tacy mu obojętni ci ludzie, że nie obdarzył ani jednej duszy na świecie imieniem przyjaciela: to jakież tedy źródło zamierzonych jego poświęceń? Na cóż mu też w takim razie ów ślad na świecie, którego koniecznie pragnie? i dla kogoż te pamiątki, któreby rad pozostawił po sobie? — A nadto: czy to też tylko świat jedynie temu winien, że Kordyan na nim nie miłego dla siebie nie pozostawia? Czy się Kordyan usilnie starał zasłużyć sobie na to, na brak czego się teraz skarży? Czy Kordyan żył w świecie? czy w nim żył w taki sposób, żeby zasłużył na miłość ludzką? Czy ludzi poznał? Czy to potępienie, jakie na nich wszystkich ryczałtem rzuca, nie płynie też więcej z jakiejś dumnej, choć bardzo może poetycznej fantazyi, aniżeli z rzeczywistego doświadczenia?...

Wszakże słyszymy w tejże samej scenie i następujące oto jeszcze z ust własnych jego wyznanie:

»Gdybym był wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem: przed chwilą odlotu
Patrzyłbym na świat innymi oczyma —
Dłużej, ciekawiej, a może ze łzami; —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał! — Czegoś mi nie staje!« itd. ¹⁾

Powyższa analiza natury, stawionej jako główna postać tego dramatu, okazuje w niej zatem z jednej

strony niezawodnie szczytny i wyjątkowy fenomen w dzisiejszem społeczeństwie; z drugiej strony jednakże jest to i fenomen patologiczny, wizerunek choroby wieku. Że się czasy nasze zdobyć nie mogą na prosty, mniej czuły i poetyczny, ale za to zdrowy w sobie, a potężny organizm; że wydają w najlepszym razie tylko takich Kordyanów: — w tem całe nieszczęście obecnego stulecia! Słowackiemu zaś przeczytuję to za zasługę, że z pewną świadomością wprowadził w dzieło swoim typ taki. Garczyńskiego Wacław jest chorobliwy w wyższym daleko stopniu, a poeta tego nie widzi.

Wszystko, co dotąd się powiedziało, stosuje się do Kordyana, jakim go widzimy w akcie III-cim. Ta też właśnie tylko część dzieła i zasługuje na rozbiór i wytrzymuje go. Ona sama jedna stanowi tutaj wszystko. Pierwszy i drugi akt — są to tylko przystawki, niezawodnie szczątki dawniejszych planów, na wiosnę (1833) powziętych, a jesienią odrzuconych. Powleka je jeszcze w całej sile ów koloryt, złe pojętego byronizmu, jaki znamionuje dawniejsze Słowackiego roboty. Z artystycznego punktu widzenia węzeł też ich z właściwą sztuką jest zgoła luźny. Przy małej zmianie jednej i drugiej sceny aktu III-go, mogłaby się zupełnie obejść struktura tego dramatu bez tych skrzydeł psujących tylko proporcją. Autor zdaje się, że dlatego tylko pozostawił je przy zrębie nowej budowy, ponieważ chciał dać czytelnikowi spojrzeć na rychlejsze koleje życia swego bohatera. Miało to wyjaśnić tę całą stronę patologiczną charakteru Kordyana. Powody niedostatków w jego charakterze upatrywał autor w jego przeszłości w nienaturalny sposób przebytej: daje tedy klucz w rękę czytelnikowi do rozumienia tego wszystkiego.

W akcie więc pierwszym spotykamy się z Kordyanem w jego 15-tym roku życia. Widzimy go —

¹⁾ P. II. 315.

przynajmniej powiada on to o sobie — cierpiącego bardzo! Cierpienia jego jednak nie wzbudzają w czytelniku najmniejszego współczucia. Jest to dziecko w karykaturze, przeżyte, strawione czczością życia jak starzec, paniątko jakieś, zepsute widac próżnowaniem i otoczeniem. Leży sobie oto wygodnie pod wielką lipą na dziedzińcu swojego dworu i marzy.... o czym? — o świata tego marnościach! Już patrzy na rodzaj ludzki z piętra, jak geniusz: gardzi tłumem (wyraz w takich razach kanoniczny), i żali się, że nie widzi celu życia przed sobą.

»Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiedlonych liści!
Celem uczuć — zwiędnięcie; głosem uczuć — szumy
Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali« itd. ¹⁾.

— Nadaremnie mu stary sługa, dawny wiarus Napoleoński, prawi o wielkich swojej młodości wspomnieniach. Kordyan ciekawie go słucha, czasami wyznaje sobie:

»Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha ²⁾«.

Ale ta iskra w nim nie wydaje płomienia, bo młodzieniaszek już zbyt jest mądry, żeby wierzyć w co dodatniego.

»Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam«.

¹⁾ P. II. 242. ²⁾ P. II. 248.

Główną zaś przyczyną tej całej biedy jest, że się to małoletnie paniątko — kocha.

»Jam się w miłość nieszczęsną całym sercem wsączył!« ¹⁾.

Przedmiotem tej miłości, dlatego nieszczęsnej, bo niewzajemnej, jest Laura, osoba starsza nieco aniżeli kochanek, która go też za dziecko — zresztą wiele obiecujące, uważa i jako takie traktuje. Ta Laura jest to znana nam już z pierwszego rozdziału panna Ludwika, a Kordyanem w tym akcie nie kto inny, jak Julek Słowacki z czasów wileńskich. Rzeczywiście, cały ten akt, jakoby około jedynej osi obracający się około miłosnego stosunku rzeczony pary, jest to tylko parafraza dramatyczna odpowiedniego ustępu owej »Godziny Myśli«, w której autor swoją własną młodość opisał. Wiersz ten łączy się tak bezpośrednio z aktem I-szym Kordyana, że początek tego ostatniego byłby nawet niezrozumiały, gdyby go nie był tamten utwór poprzedził. Godzina Myśli kończy się tym czterowierszem:

»Oto jest romans życia, nieskładany niezem —
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconem na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny! — Powieść nie skończona« ²⁾.

Kordyana zaś początek taki:

»Zabił się młody. — Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu« itd. ³⁾.

¹⁾ P. II. 250. ²⁾ P. I. 26. ³⁾ P. II. 241.

Kto się zabił — tegoby się czytelnik wcale więc z Kordyana nie mógł domyślić, gdyby nie było wskazówki ze strony tamtego poematu, że mowa jest o przyjacielu owym poety, o Ludwiku Szpitznaglu, który z melancholii sam sobie życie odebrał.

Wkładając w ten sposób autor w opowieść dziejów Kordyana ustęp z własnej swojej przeszłości, nie zamierzał przeto bynajmniej pod przybranem imieniem przedstawić w dramacie siebie samego. Chciał on tu tylko dać wizerunek młodości spędzonej nienaturalnie i tak niefortunnie, że z niej jak z fałszywego punktu wyjścia snuć się już musiał i dalszy wątek życia beładnie. Więc podłożył bohaterowi swemu żywceem historią własnej swojej młodości, nad którą nie przypuszczał żeby być mogło coś jeszcze jaskrawszego.

W akcie drugim Kordyan już jest dorosłym. Jak się zdaje, przeboleł on już zawody, jakich w pierwszej wiosnie wieku doznał wskutek owych melancholii miłosnych. Wyleczony zupełnie on jednak z tego wszystkiego nie jest. Szuka tedy zdrowia duszy pod różnemi niebami. Spotykamy go wędrowcem to w Londynie, to gdzieś na skalistym wybrzeżu morza, to w Watykanie, to na szczytach gór szwajcarskich. Raz go widzimy rzucającego się w sam wir zbytku i zmysłowej rozkoszy — to znowu błądzącego samotnie z Szekspirem w ręku, albo oddającego korny pokłon głowie Kościoła. Kordyan szuka wszędzie leków na swoje słabość, szuka trwałości i prawdy w uczuciach, szuka ducha w pozornych formach, imponujących jeszcze ludzkości. Pragnie znaleźć choć w jednym świata zątku ten kwiat piękności i prawdy, któryby odpowiedział jego złotym marzeniom, a zakrył smutną rzeczywistość z przed oczu. Nadaremnie! To co go miało uleczyć, staje się dla niego nową trucizną. Przekonywa się, że wszystko jest na ziemi sprzedajne, fał-

szywe, zewnątrz pozornym szychem poszyte, a wewnątrz puste i martwe....

»Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka,
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — Ciężka praca!« ¹⁾.

Owoż więc straciwszy siłę ducha do reszty w tych wędrówkach pomiędzy ludźmi w dalekim świecie, rzuca się wreszcie w objęcia natury, natury dziewiczej, niepokalanej, dzisiaj jeszcze takiej samej, jaką kiedyś wyszła z rąk Stwórcy. To jeszcze piękność — jedyna, ostatnia dzisiaj piękność w stworzeniu! Wspina się na sam wierzch góry alpejskiej, ze szczytu jej ogarnia okiem cały widnokrąg. I w tej czystej atmosferze owianej wonią lepszych wieków, w atmosferze nie mającej żadnej wspólności z tym kałem technienia, jakim oddychają zaludnione niziny ziemskie, zapala się w nim pragnienie zużytkowania tych ostatnich niestety szczątków już życia na pożytek czegoś dodatniego na świecie.

»Uczucia po światowych opadały drogach....
Gorzkie pocałowania kobiety — kupilem!
Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nie — nie — nie — aż w powietrza błękitie
Skapałem się i ożyłem
I czuję życie!«

»O! gdyby tak się wdrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie

¹⁾ P. II. 261.

I przebieć czołem przesądów chmurę
 I być najwyższą myślą wieeloną!
 Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
 Pomyśleć tak — i nie móc? w sznaty podre łono!
 Nie móc? to piekło!
 Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!¹⁾

W takim usposobieniu — natchniony, porwany — ale tylko uczuciem i zapałem — nie woła ani też konsekwencyą dawniejszego żywota, powraca Kordyan do kraju i rzuca się w wir czynów. Z winy własnej i z winy okoliczności, wśród zawodu — upada....

Działania jego, od tej chwili począwszy, zamyka w sobie akt trzeci. Rozbierać go szczegółowo nie będę. Wystarczy tylko nadmienić, że jeżeli gdzie, to właśnie w tych kilku scenach, które odtąd następują po sobie, okazał Słowacki tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezji. Dramatyczne jego pisma później wydane ani siłą, ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością nie dorównywają już tym kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego akt trzeci. W ogóle jest to część utworu, którą pod względem artyzmu zdaniem mojem liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu²⁾.

¹⁾ P. II. 268.

²⁾ Osobnego studium krytycznego nie posiada do tej pory „Kordyan”; obszerna bowiem praca Wład. Mottego, — drukowana według bibliografii Biegeleisena (Słow. Dzieła V str. 438) w „Dzienniku poznańskim” w r. 1892, — zaginęła gdzieś w otchłani dziennikarskiej. Ograniczyć się musimy jedynie na wskazaniu, że obszerny ustęp „Kordyanowi” poświęcił St. Tarnowski w znanej

powszechnie ocenie niniejszej książki (Przegląd polski 1867 IV), że kilka trafnych uwag o nim wypowiedział Z. Kaczkowski w artykule p. t. „Romantyzm” (Lwów, 1891) i wreszcie, że znaleźć można o dramacie tym wzmianki w powyżej wymienionych pracach Tretiaka (O bajronizmie....) i Chmielowskiego (Kobiety....) Nadto prof. W. Nehring w rozprawie: „O kierunkach nowszej literatury polskiej” (Biblioteka warszawska 1883 I.) ocenił nader pochlebnie „Kordyana”, zaś Mar. Zdziechowski przeciwnie (Messyjańści i Słowianofile” i „Byron i wiek jego” II 456 i n.) poddał go ostrej krytyce, zarzucając, iż nie odpowiada wymaganiom dramatu i jest co najwyżej kroniką dramatyczną. — O postaci Doktora obacz wzmiankę w pracy J. Matuszewskiego: „Dyabeł w poezji” (Warszawa 1894).

W listopadzie 1899 r. przedstawiono po raz pierwszy „Kordyana” na scenie krakowskiej (ob. nader zajmujący fejleton pióra dr. Stan. Estreichera w „Czasie” nr. 279 i ocenę St. Tarnowskiego w „Przeglądzie polskim” 1899 II. 558—62). W r. b. (1900) w lutym wystawiono „Kordyana” we Lwowie.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

222
 741

SPIS RZECZY

w tomie pierwszym zawartych.

Str.

Rozdział I.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Ksiązę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju

I

Rozdział II.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Dreżna, Odyńec — okolice dreźnieńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatru — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacy i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — Ks. Pranie-

wicz. — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy.	
Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek	
między nim a Słowackim — wspomnienie pewnego	
zdarzenia w Wilnie	45

Rozdział III.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jej stosunek do literatur zachodnich — jej główne wewnętrzne znamię.	
Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacji. Czas pracy nad	
każdym z utworów ogłoszonych w roku 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe — rozbiór Maryi Stuart	96

Rozdział IV.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętej w poprzedzającym rozdziale.	
Nieco o powieści poetyckiej jako nowej formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija.	
Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiej	147

Rozdział V.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro.	
Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. Nagły wyjazd z Paryża. Pani Lenormand i podróż do Genewy.	184

Rozdział VI.

Rok 1833. — Pensjonat na przedmieściu genewskim i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie.	
Nowe stosunki i znajomości. Wrażenie francuskiej recenzji jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. — Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Ouwaroff —	

Potopoff — hrabina Ssuidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem	217
---	-----

Rozdział VII.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tem polega, ażeby obrabiać materjebrane jedynie ze sfery własnej? Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie.	248
---	-----



47924

3483/02/2



Am 720 —

3483/82/2



Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 47924



BGZs 47924